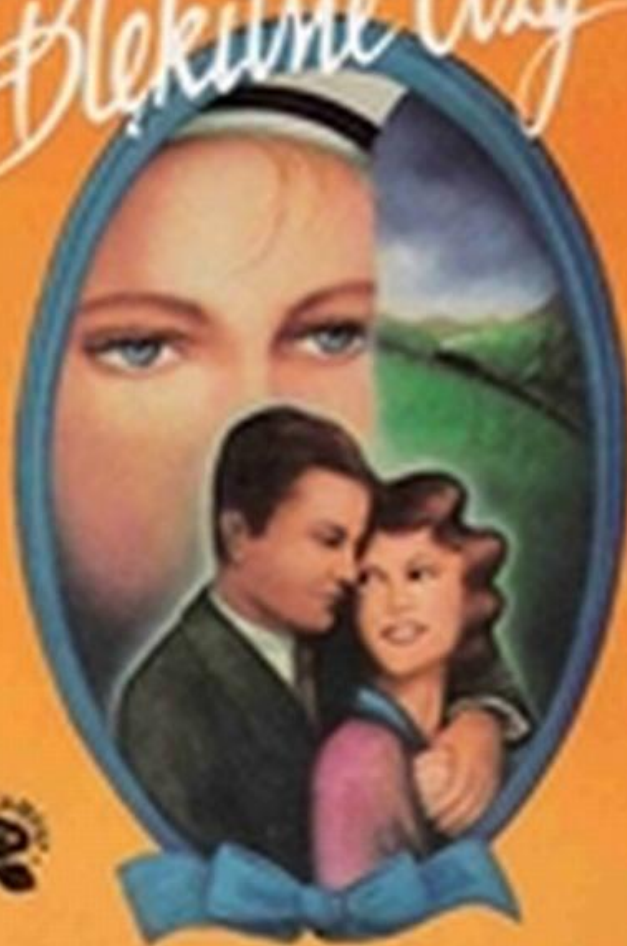


BARBONOWA OBCZY

*Błękitne Oczy*



# Orczy Baronowa

## Błękitne oczy

*Opowieść o wielkiej miłości Amosa Beyvina do pięknej Kanadyjki - Fay Mezaline. Miłość ich, zanim rozkwitnie w pełni przejdzie dramatyczną próbę i będzie musiała pokonać wiele ciężkich przeszkód. Z rozdziału na rozdział zmieniają się bohaterowie powieści, tj. ich osobowość. Amos z sentymentalnego, a później "złotego" młodzieńca, któremu nie obce były kasyna gry, hazard, miłostki, zmienia się pod wpływem dramatycznych kolei losu w twardego, zahartowanego w życiu mężczyznę. Ów hart i siła pozwalają mu stanąć do trudnej walki o ukochaną kobietę.*

Czekali razem na przystani. Statek z Montrealu niewidoczny był we mgle. Ale mgła podniosła się szybko; lada chwila statek wyłonił się z ciemności. Takie cenne, takie bardzo cenne są te ostatnie minuty. Obiad w zamku Frontenac był wyśmienity; wszyscy byli tacy uprzejmi; ciężko było odjeżdżać, opuszczać tę wesołość, tę gościnność tylu nowych przyjaciół, a nade wszystko — ją, Fay. Odprowadziła go aż tutaj, na przystań, pragnąc odwiec jak można najbardziej nieuniknioną chwilę rozstania. Tutaj, w Quebecu mgła bywa rzadkością. Teraz rozpięchła się i księżyc opromienił swym tajemniczym blaskiem, takim innym tutaj, w Kanadzie; ten księżyc opromienił poezją wybrzeże wielkiej rzeki i ponure, regularne zabudowania miasta, położonego nad brzegiem.

Amosowi wszystko wydawało się piękne; piękne, lecz smutne. Był bardzo młody, miał zaledwie 22 lata, po raz pierwszy w życiu był zakochany, a obiekt jego miłości stał tuż przy nim, z twarzą do połowy ukrytą pod małą budką, do połowy zaś w dużym futrzanym kołnierzu palta, tak, że widział tylko jej oczy, te ogromne, błyszczące oczy, zdające się patrzeć zawsze w nieuchwytną dal. Wczoraj jeszcze doznawali wrażenia, że ich cudowne szczęście trwać będzie wiecznie. Gdy oczy jej zachodziły łzami, gdy ręka jej stawała się gorąca i drżąca, gdy, jak w tej chwili, opierała głowę na jego ramieniu, Amos czuł, że świat jest rajem, w którym Fay i on mogą żyć, przytuleni zawsze jedno do drugiego.

Zapomniał, że nazajutrz wyjeżdża do Anglii z powrotem. Miał bilet: musiał wracać. Miał cel przed sobą: musi wywalczyć sobie pozycję, a jej

stworzyć ognisko, dom, który będzie jej godny. Snuł projekty, mózg rozsadzała mu ambicja. Gdyby ojciec jego żył, przestałby się od tej chwili uskarżać na chroniczne lenistwo syna, który, istotnie, nigdy nie pracował: ani w Harrow, ani w Oxfordzie. Nie chciało mu się nic robić, po prostu. Ojciec co tydzień posyłał po niego i prawił mu nieustanne kazania. Matka, ta jego ładna mamusia, o białych rękach i purpurowych wargach, płakała i wymuszała na nim przyrzeczenie, że weźmie się nareszcie poważnie do pracy: ale nic nie skutkowało, ani kazania ojcowskie, ani łzy matczyne. Jego wrodzone lenistwo, niedołęstwo, niedbalstwo brało górę nad najlepszymi postanowieniami. Życie jest takie piękne! Tyle można robić rzeczy ciekawych i ponętnych w szkole i poza szkołą, byle się nie uczyć i nie grać w przepisowego krokietu: jedno i drugie jest męczące i nudne.

— Przebaczyłbym ci — mawiał ojciec — gdybyś przynajmniej w sporcie był mocny. Bierz za przykład Johna lub Jamesa, albo Herry'ego, jak oni grają w krokietu lub w tenisa! Praca albo sport, mój chłopcze! Ale ty jesteś wręcz do niczego!

To była prawda. Był do niczego. Gdy rodzice jego przyjechali do Harrow na turniej krokietowy, Amos, którego zmuszono przemocą niemal do wzięcia udziału w zapasach, wywołał pusty śmiech swą grą niezdarną i roztargnioną. Ale do jazdy konnej miał zamiłowanie i nie było rumaka, którego by się uląkł! Celował również w fechtunku, był świetną szpadą; cóż, kiedy nie były to sporty objęte programem szkolnym! Natomiast słabo grał w krokietu, w tenisa i słabo wiosłował... Jakże ojciec mógł być z niego zadowolony?

Ale teraz to wszystko się zmieni. Z Fay przy boku, Amos świat zdobędzie.

Poprzedni wieczór spędzili na układaniu planów:

— Zgodziłabyś się chyba — pytał Amos ostrożnie — żebym wziął się do robienia interesów, co? Dostawy okrętowe to zajęcie bardzo intratne, wiesz? Mogę być dostawcą herbaty albo gumy — dodał, zataczając ręką łuk w powietrzu, gest nieokreślony, jak owe projekty.

Fay, która urodziła się na preriach i była pracownicą w sklepach w Neave, dopóki ojciec jej nie zdobył majątku, upewniła go, że zgadza się chętnie, by handlował herbatą lub gumą.

Zgadzała się również zamieszkać z nim w Anglii. Poprzedniego roku zwiedzała Anglię z rodzicami i tam poznała Amosa na balu u wspólnych znajomych. Amos obdarzał wówczas względami dwie, czy trzy jednocześnie londyńskie debiutantki sceniczne, a dziewczę z Kanady, jakkolwiek ładne, nie było tak szykowne, ani tak „współczesne”, jak te młode Angielki. Ale coś pociągało ich ku sobie wzajemnie. Aż gdy zdarzył się okropny dramat ucieczki jego ślicznej matki o białych rękach i o purpurowych wargach z przeklętym Burton - Conroyem, gdy ojciec jego z rozpacz i ze wstydu odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru — wówczas Amos przypomniał sobie o swych kanadyjskich znajomych, państwu Mazeline i przypomniał sobie córkę ich — Fay.

Odpisali mu przyjaźnie, z życzliwością, współczuciem i zaprosili go do Kanady, do siebie. Czuł potrzebę rozrywki, nerwy jego były strasznie napięte; mieszkał u Mazelinów w ich ładnej willi nad jeziorem, lub w ich kamienicy w Montrealu; podróżował z nimi po tym olbrzymim kontynencie i obserwował budzenie się tego nowego świata do życia z kilkunastowiecznego snu. Ale nad tym wszystkim górowało poczucie wzrastającej z każdym dniem miłości do Fay Mazeline; wydawało się, że zmienia się pod wpływem wielkiego, nowego uczucia. Razem podziwiali cuda przyrody, razem wiosłowali, razem jeździli autem.

Grywali w tenisa i tańczyli, kąpali się w jeziorze; sądzili, że życie zawsze upływa w ten sposób. Aż razu pewnego przyszło napomnienie: Amos winien wracać, już wydał za dużo pieniędzy! Adwokat młodego człowieka, dotychczas bardzo uległy, nagle zalecał oszczędzanie i kategorycznie odmawiał dalszego finansowania. Amos winien wracać i samodzielnie spojrzeć na swoje sprawy. Było to hasło do odjazdu. Skończyły się piękne dni kanadyjskie! Ten list starego prawnika zaskoczył Amosa Beyvina w Quebecu, dokąd towarzyszył Mazelinom, którzy przyjechali tu odwiedzić swych krewnych.

Spędził kilka dni w tym starym, historycznym mieście w obliczu olbrzymiego przestworza wód, które odtąd dzielić go będzie od Fay i od wszystkiego, co pokochał.

— Nie zapomnisz mnie? — szeptał bezustannie niemal, natrętnie, głupio, zbyt oszołomiony, by się zdobyć na coś więcej.

Fay odpowiadała z początku przeczącym ruchem głowy, usiłując powstrzymać się od płaczu. Ale gdy po raz piąty zadał jej to samo pytanie, odrzekła nieco opryskliwie:

— Obrażasz mnie, Amosie.

Na to nie mógł już nic odpowiedzieć. Nie nasuwały mu się zresztą żadne inne wyrazy. Tęsknił, niewypowiedzianie tęsknił do jeszcze jednego pocałunku: ten jedyny całus, ukradziony w kąciku w zamku Frontenac był najcudowniejszym zdarzeniem, jakie się może przytrafić człowiekowi! Pragnął z całej duszy raz jeszcze poczuć smak jej ust. Jakże nienawidził tych ludzi przechadzających się dokoła. A jakże nienawidził tej rzeki, wielkiej-milczącej, tego statku, który lada chwila wyłoni się z ciemności i przeniesie go o setki i tysiące mil stąd, o tysiące mil od Fay!

— Zrobię ogromne pieniądze, wiesz? — odezwał się po chwili.

— Jestem tego pewna — wyszeptała.

— A wtedy przyjadę po ciebie.

— Będę gotowa do drogi.

— I pobierzemy się.

— Tak!

Westchnęła głęboko, bo czuła wzbierające w piersi łkania, a usiłowała je stłumić. Objęła jego dłoń mocnym uściskiem.

— Patrz! — szepnęła.

Spoglądała w górę, w niebo; posłusznie sięgnął wzrokiem za jej oczami i wstrzymał oddech z zachwytem, upojony tym pięknem, które bał się spłoszyć najmniejszym ruchem. Całe niebo oświetlone było zorzą polarną. Były to najróżniejsze desenie, różowe i fioletowe, rzucone na tło mlecznej bieli, niewidzialną, a dobroczynną ręką.

Jakiś głos odezwał się w tłumie:

— Nigdy nie widziałem podobnego uroczego zjawiska!

Ale dla Amosa nie było to pięknym zjawiskiem przyrody, nie — to była bajeczna szata bogini, niedostrzegalnej dla oczu zwykłych śmiertelników, a tą boginią było Przeznaczenie, jego własne przeznaczenie! Te barwy, to światło olśniewające, te łagodne promienie księżyca, to wszystko było znakiem przymierza, zwiastunem wyśnionej przyszłości odjeżdżającego młodziana. Odpowiedział gorącym uściskiem na uścisk dłoni małej Fay, tego wcielenia wszelkich obietnic Losu!

Nawet to ostatnie pożegnanie, gdy nareszcie statek ukazał się na horyzoncie, gdy rzucono pomost, nawet ta chwila wypadła mniej tragicznie, niż się Amos obawiał. Powoli zwiększała się przestrzeń między nimi, malała drobna postać na przystani. Stała wyprostowana, przyciskając do siebie swój neseser, obejmując go kurczowo palcami, zdecydowana nie załamać się, dopóki będzie ją widać ze statku. Dwie czy trzy kobiety, które, podobnie jak ona, przyszły tu odprowadzić kogoś drogiego, szlochały głośno. Ale Fay nie płakała. Potem będzie czas na łzy. Gdy będzie sama.

Po raz ostatni obrzucił Amos długim spojrzeniem tę ziemię, gdzie zakosztował idealnego szczęścia. Szereg hoteli, stojących wzdłuż brzegu migotał niezliczonymi światełkami. A tam, na przystani stała Fay z twarzą zwróconą ku niebu. Na suknię jej padał odblask księżyca i zorzy.

Statek powoli zniknął za zakretem...

\* \* \*

Amosa Bey vina zaprowadzono z powrotem do celi, gdzie miał czekać na wyrok.

Wyrok! O, mój Boże!!

Wiedział z góry, jaki będzie wyrok. Był winien, to było jasne. Wiedzieli o tym równie dobrze, on sam, sędziowie, tych dwunastu panów o twarzach nieruchomych, jakby drewnianych, którzy siedzieli jak posągi podczas zeznań długiego szeregu świadków. Wszyscy ci świadkowie przyczyniali się do odmalowania pełnego obrazu tej ohydnej nocy. Przez cały czas trwania tego procesu, zaprzysięgania, pytań krzyżowych, sprzeczek pomiędzy prokuratorem a obroną — przez cały ten czas Amos Bey vin doznawał jednego tylko uczucia: szalonego zniecierpliwienia. Po co to wszystko? On się przyznał do winy; szczerze i odważnie powiedział: jestem winny!

A więc po co to wszystko? Dwa dni! Były one piekłem, gorzej niż piekłem. Ale teraz nareszcie ta nieznośna procedura ma się ku końcowi, za parę minut będzie spokój. Sędzia, włożywszy czarną pelerynę i powiedziawszy kilka słów o Bogu i Jego miłosierdziu, obwieści na zakończenie karę śmierci przez powieszenie.

Amos nieraz czytał o tych sprawach w dziennikach. Jakiś zbój został zesłany na ciężkie roboty; Amos wzruszył ramionami i odwracał stronę, by czytać wiadomości sportowe, co go bawiło znacznie więcej. Wówczas nie myślał o przestępcach z odcieniem współczucia; był zdania, że „taka bestia zasługuje na śmierć przez powieszenie, rozumie się!”



Amos ciekaw był, ilu spośród jego przyjaciół wzruszy ramionami, wyczytawszy w gazecie, jaki wyrok zapadł w jego sprawie i powie: „A to bestia z tego Beyvina. No, rzecz jasna, że zasłużył na karę śmierci przez powieszenie"! Wstrząśnięci będą tym faktem jego krewni, ludzie, którzy nigdy nie przeżyli nic bardziej wzruszającego, jak partię brydża, ludzie surowi, którzy na niego spoglądali zawsze ze znakiem zapytania w oczach, jako na syna lekkomyślnej matki — jego biednej, miłutkiej mamusi — oraz jako na syna ojca — samobójcy, który po tym nieszczęściu nie zdołał stanąć oko w oko ze światem otaczającym i opuścił syna i tak już osieroconego przez ową ucieczkę. Ci ludzie oczywiście wzniosą oczy do sufitu i szepną: „Naturalnie, moja droga, czegoż mogliśmy się spodziewać? Z takiej matki i z takiego ojca?! Ten chłopiec miał zawsze pecha".

Nie wiedzieli o Fay! To był wyjątek, to była jedyna chwila wolna od „pecha" w życiu Amosa. Ale zmarnował ją, jak szaleniec, jak zbrodniczy szaleniec, jakim się okazał istotnie. A jednak on ją kochał, kochał ją głęboko, miłość ta nie wygasła dotychczas. Owej nocy, kiedy parowiec unosił go w dal, kiedy nikły stopniowo światła Quebecu, odczuł taki ból w sercu, jakiego nie znał nigdy przedtem, ani nigdy potem. A w tym straszliwym bólu było przecież coś rozkosznego!

Ta rozkosz przekonała go o tym, czym jest prawdziwa miłość, radość z idealnego związku dusz, słodki smutek pożegnań przymusowych. Jedynym niepokojem, dręczącym go w tym okresie życia była troska, czy aby Fay nie zapomni... Czy nie zapomni o nim, czy nie przepadną bez echa te namiętne słowa, jakie jej szeptał do ucha, czy nie zatrze się wrażenie pocałunku, tego niezapomnianego, który zdawał, się spojść po wsze czasy ich serca i ciała.

Ponieważ trwożył się, czy ona nie zapomni, więc pisywał do niej codziennie, wkładał całą duszę w każde słowo, jakie rzucał na papier. Posłał jej długi opis podróży z Mersy i niemniej obszerny z Liverpoolu. A od tej pory miesiącami pisywał i wysyłał listy codziennie, otrzymywał zaś jej odpowiedzi raz na tydzień.

Fay nigdy dużo nie pisywała. To nie leżało w jej naturze. Nie lubiła się wywnętrzać ani ustnie, ani piórem.

Opowiadała mu o znajomych w Montrealu, gdzie spędziła zimę, o książkach przeczytanych, o swej działalności w Klubie Kobiet, o artykułach, które napisała, a które zamieściła „Gazeta Montrealska" lub „Star". Dopiero na samym

końcu umieszczala parę słów, jedno lub dwa zdania, słodkie i czułe, jak ona sama. Amos pod wpływem tych kilku słów końcowych powracał do tego raj, który mu otworzył jej pocałunek. Przyciskał do ust papier, na którym spoczywała jej ręka, tak niedawno wszakże... Zamykał oczy i przed nim stawała natychmiast drobna, samotna postać na przystani w Quebecu, otulona w palto z wielkim kołnierzem futrzanym. Widział jej twarzyczkę wzniesioną ku niebu. Słyszał szept jej: „Patrz!” i posłusznie spoglądał ku górze i znowu widział zorzę polarną, obłoki różnobarwne, sunące po niebie, jak draperie tiulowe rozwiewane dłonią Olbrzyma. Fay wydawała mu się królową tych obłoków, czystą i promienną jak one.

Miesiące upływały, a on pisał co dnia lisy do niej i otrzymywał niezmiennie raz na tydzień list od niej. Szukał pilnie pracy, ale dotychczas nie mógł znaleźć posady. Odziedziczył trochę pieniędzy po ojcu, tak że miał świadomość, iż głód mu nie grozi. Posada, którą przyjmie musi być dobra, dająca szanse przyszłości takiej, aby mógł zaślubić Fay przed upływem roku. Miał w perspektywie bardzo dobre stanowisko, przyrzeczono mu mianowicie, że na wiosnę zostanie przedstawiony wielkiemu magnatowi, właścicielowi okrętów handlowych, który powracał z Australii w czerwcu i zwierzył się jednemu ze znajomych Amesa, iż po powrocie potrzebny mu będzie młody sekretarz z uniwersyteckim wykształceniem. W sam raz posada dla Amosa.

Napisał o tym do Fay i zapytał ją o zdanie. Zanim otrzymał odpowiedź, postanowił nie śpieszyć się i czekać na powrót tego pana z Australii. Sądząc ze słów wspólnego znajomego, była to posada z płacą 1200 funtów rocznie na początek. Do czerwca trzeba było spędzić jakoś trzy, cztery miesiące. Amos przyłączył się do wycieczki, organizowanej przez klub młodzieży do Francji południowej. Zatrzymają się w Paryżu kilka dni, co będzie nader kształcące, zwiedzą bowiem wiele muzeów, galerii obrazów i pojedą na przedstawienie do Comédie-Française. A potem pojedą na Południe wśród bajecznych krajobrazów i spędzą miesiąc w Cannes, Nizy lub w Monte Carlo. Amos wciąż jeszcze pisał do Fay codziennie, podczas pobytu w Paryżu również. Dopiero od chwili rozpoczęcia podróży autokarem wkradła się pewna nieregularność w tę korespondencję. Jadąc cały dzień, zmęczony był wieczorem, szedł do łóżka wcześniej, zrywał się

skoro świt. Przez dwa dni nie pisał wcale. Po przyjeździe do Cannes napisał, tłumacząc przyczyny opóźnienia listu. Nazajutrz znów zaniedbał obowiązek względem Fay, minęły jeszcze dwa dni, aż wreszcie zdecydował, że będzie do niej pisał podczas pobytu na Riwierze dwa razy na tydzień i tego istotnie przestrzegwał pilnie. Na razie opowiadał jej o Francji, o Morzu Śródziemnym, o pięknym słońcu i ciepłych wieczorach, o tym klimacie, tak różnym od śniegów i mrozów prerii, od zimnych nocy księżycowych nad brzegiem jezior kanadyjskich.

Amos nie zdawał sobie sprawy, że zaniedbuje się w obowiązkach dobrowolnie na siebie przyjętych. Miłość jego dla Fay była równie gorąca, jak poprzednio, był tego pewien; ale naturalnie nie mógł do niej pisać co dzień, gdy ona stale odpowiadała tylko raz na tydzień, to byłoby śmieszne w końcu! A gdy pewnego razu opowiedział swym towarzyszom wycieczki, siedząc po obiedzie na tarasie, o czarującej nocy jesiennej nad jeziorami kanadyjskimi, o zorzy polarnej i wrażeniu, jakiego doznał — Muriel Lampriere wzruszyła ramionami i rzekła ze śmiechem:

— Brrr... Zimno mi... Z pańskiego opowiadania powiał lodowaty wiatr, panie Amosie!

Mówiąc to, wlepiła w niego dziwne, niepokojące spojrzenie spod długich, ciemnych rzęs i dodała:

— Przypuszczam, że od dziewcząt kanadyjskich również wieje lodowaty wiatr! Muszą być bardzo zimne, prawda?

Zimne? Amos natychmiast pomyślał o Fay. Czy ona była zimna, jak zorza polarna? Taka daleka? Taka nieuchwytna? Pochwycił samego siebie na gorącym uczynku porównywania jej w myśli do Muriel Lampriere. Z pewnością nie była taka wesoła, ani tak dowcipna. Muriel umiała zabawić całe towarzystwo swymi dykteryjkami i spostrzeżeniami i potrafiła również trzymać w napięciu nerwy mężczyzn iskrami, jakie rzucały jej oczy i grą namiętnych ust. A Fay była sobą, istotą pełną życia i prostoty, sympatyczną i uczuciową. Muriel o szczupłych ramionach i karminowanych ustach, o długich nogach i spiczastych kolanach, była wymarzoną rozrywką na jeden wieczór, ale Amos wyobrażał sobie tę samą kobietę nazajutrz rano przy pierwszym śniadaniu, z bladymi wargami i zmęczonymi oczami, zdenerwowaną i w złym humorze.

Amos zadowolony był, gdy ta młoda dziewczyna wyjechała z ciotką do Rzymu, gdzie miała spędzić miesiąc i gdzie, jak teraz postłyszał, zaręczyła się z jakimś amerykańskim milionerem. Młody człowiek wrócił do Londynu i według jego własnych słów miał tutaj „piekielny sezon”. Raz na tydzień pisał do Fay istne sprawozdanie z balów, teatrów, obiadów, śniadań i innych zdarzeń światowych. Tu był zaproszony na polowanie do Szkocji, to znowu do Yorkshire'u, a na zielony karnawał musiał być z powrotem w Londynie. Był więcej niż zajęty! Nie było sposobu pisać raz na tydzień! Fay musi zrozumieć! Podziękował jej za jej ostatnie listy i kochał ją goręcej niż kiedykolwiek. W ciągu ostatnich dwu tygodni nie miał ani minuty wolnej! Ale wkrótce będzie miał dla niej świetne wiadomości o tej nadzwyczajnej posiadzie, jaką ma przyrzeczoną.

I tak coraz bardziej zaniedbywał Amos swe obowiązki względem ukochanej. Załedwie zwrócił uwagę na fakt, że i listy Fay przychodziły bardzo nieregularnie, czasem mijał miesiąc bez wiadomości od niej. Głupiec! Zbrodniczy szaleniec! Za późno żałować teraz! Miłość i życie opuszczą go razem, ręka w rękę. Jedno i drugie było słodkie, było cenne; i jedno i drugie stało się zatrutym owocem zakazanym. Życie, takie wesołe w ciągu tych dwóch ostatnich lat, zakończy się wśród wstydu, takiego wstydu! A miłość była teraz tylko wspomnieniem tego, co być mogło...

Czy Fay dowie się kiedykolwiek?... Jedyne myśl skoordynowana, jaka zrodziła się w mózgu Amosa od tej pamiętnej nocy brzmiała pytająco: „Czy Fay się dowie?”... Czy ta jego nędzna sprawa nabierze takiego rozgłosu, że dotrze aż do prasy kanadyjskiej? Czy też może przypadkiem wpadnie jej w ręce jakaś gazeta angielska, opowiadająca o tym dramacie? Miał nadzieję, wierzył całą siłą swej znękaney duszy, że ona nigdy o tym nie dowie się. Nie, nie! Ona tylko pomyśli, że stopniowo zapomniał o niej.

Ale jeżeli Fay dowie się o procesie, co odczuje? Litość, czy pogardę? Miłość, oczywiście, będzie skończona, on sam zabił ją swym szaleństwem, a przy tym — Muriel! Jeżeli Fay dowie się o tej sprawie, to musi również dowiedzieć się o istnieniu Muriel i o jej roli w tych zdarzeniach. Biedna Muriel! Czy udało jej się uciec, czy też aresztowano ją wraz z innymi? Amos nie wie. On nic nie wie od tego wieczoru. Ale jeżeli

Muriel została schwytana, to czy Amerykanin nie zerwał zaręczyn? Amos sądzi, że niektórzy Amerykanie są bardzo surowi i że pan Colin J. Ross należy do tych konserwatystów. Może być nierad, że jego przyszła żona jest wmieszana w tego rodzaju historię. Jeżeli zerwał, to Muriel musi być srodze strapiona. Nieładnie z jego strony! Przecież to nie jej wina! Ale ludzie są tacy bezwzględni i zawsze bywają bezwzględniejsi dla kobiet niż dla mężczyzn. On sam zna wiele osób, które powiedzą, że to ta wstrętna dziewczyna, ta Lampiere wciągnęła biednego młodego Beyvina do klubów nocnych, kazała mu pić z sobą szampana, aż stracił głowę i nie wiedział, co czyni.

Co za niesprawiedliwość! Muriel lubiła życie nocne, to prawda, w tej samej mierze, co inne dziewczęta współczesne. Lubiała niezmiernie tańczyć i pić szampana, dobrze czuła się tylko wśród rozbawionego tłumu. Lubiała to wszystko, bo była młoda i ładna, miała powodzenie w towarzystwie; ludzie patrzyli na nią z podziwem i liczyli się z nią. Czyż to nie jest bardzo zrozumiałe, że ona lubi się bawić? To on, Amos, namówił ją do pójścia do tego lokalu. Skądże mógł wiedzieć, jakże mógł przewidzieć, że policja śledzi ten klub nocny? Że w tych godzinach nie wolno sprzedawać szampana? Nigdy mu nie przyszło na myśl, że są godziny policyjne! Gdy miał ochotę na szampana, wołał kelnera i zamawiał butelkę, a gdy mu napełniono kieliszek, wychylał go do dna, jak wszyscy dokoła niego. Tak samo lubił zagrać w bakarata, no, a Muriel również lubiła hazard. Wiedział, że niedobrze jest przegrywać więcej, niż mu pozwala jego stan majątkowy, ale nie wyobrażał sobie, by gra mogła być przestępstwem z jakiegokolwiek innego punktu widzenia. Nie miał pojęcia, że gra w bakarata jest niezgodna z prawem... Nigdy się nie zastanawiał nad takimi rzeczami... Inni też grali w bakarata. Dlaczegoż on nie miał grywać? A gdy zdarzyło mu się wygrać, przyjemność robiło mu ofiarowywanie Muriel drobnych upominków, które ją tak cieszyły: papierośnicy, torebki, parasolki. Prawda, że pieniądze jego topniały, ale miał prawie pewność otrzymania wkrótce dobrej posady. Jakże mógł przewidzieć?...

Ale tej nocy przyszli... policja przyszła... Podobno mieli prawo wtargnąć przemocą do klubu i aresztować ludzi, którzy o tej godzinie piją szampana (była druga po północy) i którzy grają w bakarata. Stary

Gotlieb, intendent klubu, taki był zabawny! Uwijał się na wszystkie strony, wrzucał butelki pod stoły, wylewał wino do doniczek i wazonów z kwiatami, zabierał sztony ze stołów gry i chował je do własnych kieszeni. Amos nie mógł się powstrzymać od śmiechu teraz nawet, gdy sobie go przypominał. Odrzucił głowę w tył i zaśmiał się, a dwaj strażnicy, pilnujący więźnia przyglądali mu się ze zdziwieniem, po czym zamienili porozumiewawcze spojrzenia: chyba zwariował, bo w przeciwnym razie czyż wolno oskarżonemu o poważne przestępstwo, oczekującemu wyroku, śmiać się tak głośno i swobodnie?

Już chcieli się odezwać, polecając, by zachowywał się stosownie do chwili i do swej roli podsądnego, gdy więzień i bez tego raptownie spoważniał i przybrał znowu postawę obojętną, oderwaną od rzeczywistości: tak powinien wyglądać szanujący się oskarżony, uznali dozorczy i nie zwrócili mu uwagi.

Amos przypominał sobie z kolei swoje wrażenie na widok policji, wkraczającej do sali gry. Policjantów było czterech, dwóch w cywilu, dwóch w zwykłym mundurze błękitnym. Byli to brutalni, barczyści mężczyźni, którzy bez pardonu roztrącali obecnych, nie bacząc na obecność eleganckich pań w toaletach wieczorowych.

Gotlieb momentalnie zamienił się cały w uśmiech. Kelnerzy uciekli. Jeden z dwóch ludzi ubranych po cywilnemu miał w ręku notes; pytał obecnych o ich nazwiska i wpisywał je do książeczki. Amos usłyszał kilka imion, nazwisk i fałszywych adresów, podanych przez osoby dobrze mu znane. Przyszło mu na myśl, że i on może zrobić to samo, podać fałszywe nazwisko za siebie i za Muriel Lampiere. Postanowił, że poda się za Alberta Smitha, 234, Regent Street, a co do Muriel, to powie, iż jest to jego siostra, Alicja...

Wtem poczuł gorącą dłoń, chwytającą mocnym uściskiem jego rękę. \_

— Amosie, nie trzeba, by mnie aresztowano — szeptał błagalny głos. — nie trzeba, by Colin Ross dowiedział się o tym... On by... O! Ja muszę się stąd wydostać, Amosie, zanim mnie zauważą!

Głos jej drżał, Amos, nie patrząc na nią, wiedział, że Muriel płacze. W kącie pokoju skupiła się strwożona gromadka, ku której właśnie skierował się człowiek z notesem. Większość osób wskazywała mu fantastyczne nazwiska i miejsca pobytu.

— Sprawdzimy te dane — rzekł poważnie, bez uśmiechu policjant, gdy Tommy Tredgold przedstawił mu się jako Jack Tiptoes, zamieszkały w Crystal Palace. — Nie potrzebuję przypominać państwu, że biada tym, którzy składają fałszywe zeznania. Następna osoba, proszę!

Osobą tą była Lady April Croune, która, rumieniąc się i drżąc wyjęła papierosa z ust i podała swoje prawdziwe imię i nazwisko. Amos uśmiechnął się na myśl o minie lorda Flinta, jej ojca, gdy zobaczy nazwisko córki w gazetach w związku z rewizją policji w nocnym lokalu.

— Amosie, czy możesz mi pomóc uciec? — spytała znów Muriel drżącym szeptem. — Nie dopuść, bym była zmuszona podać moje nazwisko!

Amos rozejrzał się bezradnie dokoła. Nie znał dokładnie topografii tego miejsca, ale uścisk dłoni Muriel dodawał mu odwagi i pomysłowości. Był do pewnego stopnia odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Na lewo od nich zwisała w drzwiach ciężka portiera. Amos pchnął lekko Muriel ku temu wyjściu. Były to oszklone drzwi: przez szybę dwoje oczu patrzyło na nich.

Przeciąg zdradził w tejże chwili bliskość jakiegoś okna.

— Czy potrafisz wyskoczyć oknem? — spytał Amos.

— Sądzę, że tak.

— Mimo że masz wysokie obcasy i długą suknię?

— Nie troszcz się o to — odrzekła niecierpliwie — rób coś, póki czas, bym mogła uciec niepostrzeżenie.

Muriel skoczyła w otwarte ręką Amosa drzwi, odepchnęła zdumionego właściciela owej pary szpiegujących oczu i jednym susem była za oknem. Widocznie nieopodal były inne parapety i występy muru, bo mignęła mu jeszcze parę razy mniej więcej na tym samym poziomie. Może pójsć za nią? Dlaczego nie? Dobrze będzie uciec również i pomóc Muriel w jej ryzykownej wędrówce po dachach. Był ukryty za portierą, którą nagle szarpnęła brutalna dłoń i człowiek z notesem stał przed nim oko w oko. Zadał mu kilka pytań, na które Amos nie mógł odpowiedzieć, bo natężył wszystkie nerwy, by słyszeć, co się dzieje w przyległym pokoju.

Ale przyszło mu na myśl, że musi zatrzymać tego człowieka rozmową, chociażby kilka minut, by Muriel zdążyła uciec. W sąsiednim

pokoju panował nieopisany zgiełk. Ktoś paplał bez przerwy, Gotlieb krzyczał głośniejsze niż klient. Amos pewien był, że człowiek z notesem pierwszy chwycił go za kołnierz. Jak śmiał? Bezczelna bestia! Amos zamierzył się i powalił go na ziemię. Rozległy się krzyki i piski, ramiona wyciągnęły się do Amosa, szerokie, ciężkie dłonie, które ujęły go za bary, za ręce, pod pachy. Trzymali go tak mocno, że ruszyć się nie mógł, w przeciwnym razie byłby znów któregoś z nich uderzył i powalił.

Aż wtem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, hałas ustał, zapanowało grobowe, przytłaczające milczenie. Amos słyszał wyraźnie tik-tak zegarka w kieszeni, oraz pulsowanie swego mózgu. Chciał podnieść rękę dotknąć nią czoła, które paliło go, jakby miał gorączkę: spostrzegł się, że nie może podnieść jednej ręki bez drugiej, że coś bardzo ciężkiego ciągnie mu ręce w dół. Rozejrzał się. Kilkanaście osób stłoczyło się w przeciwległym kącie pokoju: dziewczęta w barwnych sukniach i na wysokich obcasach, mężczyźni w wieczorowych strojach, wyglądający teraz znacznie mniej elegancko, aniżeli godzinę lub dwie przedtem. Wszyscy byli bardzo bladzi: nawet policzki kobiet kredowe •były pod wierzchnią warstwą różu. Amos dostrzegł tego głupca Tommy'ego Tredgolda, który wyglądał jak piwonia. Obok niego stał Jimmy Nutall. Nieco dalej dostrzegł Mariorie Condamine z okrągłą, zabawną twarzą. Amos zastanawiał się, dlaczego wszyscy oni byli tacy podnieceni. On sam ochłonął już, zdjęto mu z oczu czerwoną błonkę, przez którą widział świat w ciągu minuty. Dziwiło go również, że ten człowiek z notesem leży, jak długi, na ziemi, a dwóch ludzi w błękitnych mundurach pochyla się nad nim; ujrzał wówczas krew — ślad krwi na marmurze i na podłodze — dywan poplamiony na czerwono — czerwony pasek, podobny do tego, który przed chwilą przesłonił mu świat cały.

— Najlepiej pan teraz zrobi, idąc posłusznie za nami!

Amos usłyszał własny głos, protestujący przeciw wyjściu na ulicę z rozwiązany krawatem. Jakieś ręce poprawiły ten szczegół jego ubrania. Włożono mu palto na ramiona i kapelusz na głowę.

Po czym dał się spokojnie poprowadzić.

\* \* \*



Ale życie nie skończyło się na tym. Teraz czekał go wstyd, wieczna hańba, a nie śmierć, która przyniosłaby mu zapomnienie. O ileż lepiej byłoby umrzeć! Tęsknił do odpoczynku. Dlaczego ten stary człowiek nie włożył jeszcze czarnej peleryny i nie powiedział: — Niech Bóg zmiłuje się nad twą duszą! — Amos czytał o tym tyle w gazetach, teraz może jemu się to zdarzy, zabawne!

Ale czy mu się to zdarzy? Amos nie był tego pewien. Nie dowierzał sobie, że to on stoi tutaj między dwoma mężczyznami w błękitnych mundurach i że do niego odnosi się ten wyrok: dwa lata karnego więzienia. Wspomniano również coś o wzięciu pod uwagę przez sąd okoliczności łagodzących. Co to wszystko znaczy? Na czym polega więzienie karne? Amos nie miał o tym pojęcia. Było to coś zawstydzającego, upokarzającego, coś, z czego już żaden człowiek nie może się wydzwignąć. Coś znacznie gorszego, niż powieszenie, które bądź co bądź kładzie kres wszelkim utrapieniom.

Mężczyzna w błękitnym mundurze poklepał go po ramieniu i Amos rzucił okiem po raz ostatni na ten pokój, gdzie takie dziwne rzeczy się z nim działy, po czym posłusznie skierował się za nim. Dostrzegł jeszcze znajome twarze: Nutallów, z którymi poprzedniej zimy jechał autokarem na Riwierę, Lady Vousman, u której był na obiedzie dzień przed aresztowaniem go w nocnym klubie. I oczywiście była tu Muriel Lampriere, szykowna, jak zawsze, otoczona rojem młodzieży; jeden z tych młodych ludzi szeptał jej coś do ucha, co ją pobudzało do śmiechu.

Oczy jej spotkały przez sekundę oczy Amosa; spokojnie odwróciła głowę. Prawdopodobnie żywiła do niego urazę w duszy, iż namówił ją na bakarata owej pamiętnej nocy. Amos nie wiedział, co się stało po aresztowaniu go przez tych ludzi w niebieskich mundurach, ale przypuszczał, że Mr. Colin J. Ross dochował Muriel wierności, w przeciwnym razie bowiem nie wyglądałaby ani tak elegancko, ani tak wesoło.

Było to wszystko bardzo dziwne, niezrozumiałe! I w dalszym ciągu zdarzały mu się same niezwykle rzeczy. Tak na przykład tej nocy, po ogłoszeniu wyroku Amos spał wcale dobrze, bo był niezmiernie zmęczony, nie czuł dzisiaj, że łóżko jest strasznie twarde i że on sam jest głodny. Żołądek jego zbuntował się bowiem przeciw żywności więziennej.

Czyżby to wszystko, co się działo dotyczyło jego osoby. Może to jest sen, długi, długi sen w rodzaju baśni: „Alicja w Krainie Czarów”. Amos postanowił, że skoro się obudzi, napisze książkę, pod tytułem „Amos w Krainie Policji”. Pyszny tytuł! Książka będzie „szła”, jak bułki, i przysporzy mu masę pieniędzy, tak że przed końcem roku będą mogli się pobrać, on i Fay. Słyszał niedawno, że jakaś książka wydana w zeszłym miesiącu, przyniosła autorowi sto tysięcy funtów; tak, to się jemu też uda.

Wszystkie te plany snuł, starając się umyć w tej nieprawdopodobnie małej, wąskiej miseczce; następnie mocował się z niemożliwie twardym chlebem. Gdy miał wkładać ubranie, które mu przyniesiono, roześmiał się. — Gdyby mnie teraz zobaczyli w tym stroju bywalcy klubu! — mruknął. Wyobrażał sobie Tommy Tredgolda w monoklu, wydającego swój zwykły okrzyk: „Na Boga!”

Potem ostrzyżono go, a jakiś starszy jegomość w czarnym ubraniu obejrzał mu język i zęby, mrużąc coś nierzyjemnie.

Amos nie umiałby powiedzieć, kiedy po raz pierwszy usłyszał nazwę „Dartmoor”. Ale faktem jest, że dowiedział się nagle, iż wiozą go do Dartmoor. W gazetach czytał o więzieniu w Dartmoor. Czasami jakiś nieszczęśnik zdołał zbiec stamtąd i pisma były wówczas przepełnione szczegółami ucieczki i pościgu. Niemal zawsze udało się władzom pochwycić nieszczęśliwego. Ktoś wydał go policji, a co z nim się stało potem, nikt nie wiedział, gdyż gazety milczały na ten temat.

A teraz on, Amos Beyvin, o którym nieraz pisano w dziennikach w rubryce towarzyskiej, jako o jednym z najwykwintniejszych młodych ludzi stolicy, którego wymieniano, jako gościa księżnej X., lub lady Y., on, Amos Beyvin, jechał do Dartmoor w tym szarym odzieniu, trzecią klasą. Siedział pomiędzy dwoma roslymi chłopami w niebieskich mundurach, z tym okropnym żelastwem na rękach, które już go pokaleczyło, wpijając mu się w ciało. Cóż za dziwny sen! Tylko, że trwał dłużej niż trwają sny zazwyczaj.

Przez chwilę zaświtała nadzieja, że podróż nie będzie tak rozpaczliwie monotonna, jak się zapowiadała. W Waterloo, gdy go wepchnięto do tego okropnego przedziału trzeciej klasy, wsiadła do tegoż przedziału przystojna młoda dziewczyna w stroju Armii Zbawienia. Na kolanach postawiła neseser podróżny i skrzyżowała na nim białe, dość duże ręce.

Nadszedł niebawem młody człowiek, niosąc oburącz mnóstwo dzienników i czasopism: stanął w dźwiękach przedziału i rzekł:

— Chodź, Leno, tu nie miejsce dla ciebie.

— Ach! Czyżby?! — odrzekła zgodnie.

Jakaś młoda osoba prawdopodobnie z prowincji. W normalnych warunkach Amos nie spojrzalby na nią, ale teraz... Podjęła swój neseser i wyszła z przedziału, nie przyjmując wyciągniętej ku niej usłużnie ręki młodego człowieka. Amos zauważył, że nosiła bawełniane pończochy i ciężkie, grube buciki, oraz że suknię miała zbyt długą, niemodną. Zatrzymała się parę minut w przejściu, zwróciła wzrok w kierunku Amosa i jego dwóch strażników. Amos pochwycił jej spojrzenie. Miała oczy błękitne, lazurowo — niebieskie, okrągłe i szeroko otwarte, co nadawało jej twarzy wyraz pewnej naiwności; spod przylegającego do głowy czepka nurse'y wyglądał jeden blond loczek — zalotny i prowokujący. Gdy spojrzała na ubranie i na kajdany Amosa w jej oczach pojawił się wyraz bardzo kobiecy, pełen współczucia, słodczy i smutku. Było to pierwsze życzliwe spojrzenie, jakie Amos spotkał od owej ohydnej nocy; ogarnął go żal nad samym sobą i na myśl, że ona odbędzie podróż w innym wagonie, że on będzie skazany na wielogodziną, ponurą samotność.

Ale cóż można było zrobić? Musiał siedzieć spokojnie plecami do lokomotywy, mając po obu stronach dwóch mężczyzn w niebieskich mundurach. Widział jeszcze, jak „Lena” wsiadała od innego wagonu, dalej od lokomotywy. Jakie to smutne — przez dwa lata nie zobaczy Londynu, jeżeli w ogóle go zobaczy jeszcze w życiu. Przyglądał się po raz pierwszy z ciekawością przedmieściom, przez które pociąg toczył się z wolna. Były brzydkie i brudne. Amos nigdy przedtem nie zwracał na nie uwagi. Ale dzisiaj każde wrażenie było pożądane, każde chciwie chwycił. Ze wzruszeniem przyglądał się tym równym rzędom wyszczerbionych i brudnych murów, jakby już nigdy w życiu nie miał ich oglądać.

Amos stracił rachubę czasu. Spuszczono rolety w przedziale. Nie wiedział, kiedy mijali stacje, ani którą godzinę pokazują zegary kolejowe. Wyjechali z Waterloo o wpół do czwartej, tak że teraz musiała być chyba siódma. Posiłek południowy składał się z zupy i z kromki twardego, czarnego chleba. Od tej chwili upłynęło już sporo czasu

i żołądek dopominał się o swoje prawa. Ci dwaj ludzie w niebieskich mundurach zjedli na pewno porządny obiad przed wyjazdem i dostali herbaty: tacy mają szczęście, pomyślał Amos.

Zamieniali ze sobą niewiele słów podczas trwania podróży, ale obaj głośno sapali. Znali zapewne wybornie całą tę trasę kolejową, bo ani jeden, ani drugi nie zadawał sobie trudu zerknięcia choćby od czasu do czasu przez szparę między firanką a szybą. Nic ich nie interesowało.

— Hallo! Co się dzieje?

Rubaszny głos zbudził Amosa z półsnu, w jaki zapadł. Podniósł głowę i spojrzał w kierunku, z którego głos dochodził. To człowiek po jego lewej ręce przemówił i jednocześnie pokazywał swemu koledze plamę na kolanach Amosa. Amos machinalnie spojrzał również. Na spodniach widniała wielka, okrągła plama czerwona w miejscu, gdzie poprzednio trzymał skrepowane ręce.

— Czy mu je zdjąć? — zapytał człowiek, siedzący po prawej stronie. Amos zastanawiał się: czy to mowa o zabrudzonych spodniach?

A drugi odrzekł:

— Mnie się zdaje. Cóż on może zrobić złego?

Ściemniało się. Nad głowami ich zapalono mdłe światełko, które bezustannie migało. Pociąg biegł po licznych mostach i czuło się, że były tu ostre zakręty. Ciągłe wstrząsy przykre były, Amosa bolało całe ciało, a zwłaszcza jedna ręka w zgięciu. Gdy spojrzał na nią, zobaczył, że krwawi dość obficie i że to spowodowało ową plamę na spodniach. Człowiek siedzący po prawej stronie zdjął mu te okropne, ciężkie żelastwa, które wywołały ów ostry ból. Poczul ulgę i z wdzięcznością podziękował strażnikowi.

Kołysanie i hałas stawały się z każdą chwilą nieznośniejsze.

— Za szybko przejeżdża mosty — zauważył jeden z ludzi.

Były to ostatnie dźwięki zwykłe, jakie przeniknęły do świadomości Amosa. Wszystko, co było potem, pamiętał, jako chaos na początku, a jako milczenie równe śmierci — potem.

Zaraz po odezwaniu się tego człowieka rozległ się przeraźliwy trzask i szczęk. Wszelkie hałasy istniejące na świecie — ryki, wybuchy bomb, huk i pisk, jęk i wycie — zdawały się być ześrodkowane w tej niebywalej kakofonii. Amos czuł, że został nagle wyrzucony w przestrzeń, czuł, jakby deszcz odłamków żelaznych, padający mu na głowę, ramiona,

nogi, podczas tego lotu meteora. Przez kilka sekund zdawał sobie sprawę ze straszliwego bólu w całym ciele; ból ten wzrastał się tak dalece, aż stał się nie do wytrzymania i Amos stracił przytomność.

Na krótką chwilę przynajmniej opuściła zmęczona dusza zbolełe ciało. Zaznała spokoju i odpoczynku, ulotniła się w ów błękitny eter, w królestwo gwiazd. Ciało leżało spokojnie: oczy były zamknięte, jakby śmierć już przyniosła ukojenie temu nieszczęśliwemu.

Pierwszy powrót do świadomości zbiegł się z dźwiękiem głosu, wymawiającym urywane wyrazy: — Nie umarł — żyje — niech pan pozwoli — ależ mówię panu. — Stopniowo wyrazy te nabierały dla niego znaczenia, wiązał je powracającą świadomością: — On żyje, mówię panu. Niechże się pan nie sprzecza... Proszę podać mi rękę, dobrze? Otworzywszy oczy Amos ujrzał nad sobą parę oczu błękitnych, okrągłych, życzliwych. I znowu... ból nie do zniesienia i zapadł w stan omdlenia, będący dla niego jedyną ulgą.

\* \* \*

Gdy Amos ocknął się, leżał na wąskim, polowym łóżku. Nad głową swoją zobaczył biały, dobrze wymyty sufit. Chciał rozejrzeć się, ale każdy ruch powiek wywoływał w jego głowie nieznośny ból, zamknął więc oczy. Dokoła niego panowało błogie milczenie, przerywane rozkosznym szeptem.

Po chwili rozróżnił łagodny dźwięk szeptu kobiecego:

— Cóż powiedział doktor?

— Że już mu teraz nic nie grozi.

— No, ale głowa jest jeszcze zagrożona.

— Tak, jest obawa, by nie stracił pamięci.

— Kiedy przyjeżdża doktor?

— Najwcześniej pojutrze.

— Czy rozmawiałaś z Jamesem?

— Tak.

— Zgadza się?

— Zdaje się, że wszystko w porządku.

Potem słyhać było delikatny szmer, sunięcie lekkich kroków po dywanie, otwieranie i zamykanie drzwi. Ktoś szedł ku niemu.

— Hallo! Obudził się pan, prawda?

Raczej miły głos, jakkolwiek nieco twardy i chłodny. Wydało mu się to całkiem naturalne, że otworzywszy oczy, spojrział w parę błękitnych oczu, dziwnie okrągłych. Chciał się dowiedzieć, gdzie jest, co to wszystko znaczy i próbował zadać kilka pytań, ale twardy, chłodny głos przeciął te zamysły:

— Nie ruszać się, proszę! Starać się usnąć znowu, jak przystało na dobrego chłopca.

Pewna, mocna dłoń wstrząsnęła poduszką i wyprostowała mu kołdrę pod brodą, po czym błękitne oczy znikły z jego pola widzenia. Usłyszał dźwięk otwieranej ramy okiennej i poczuł powietrze słodkie, woniące wilgotną ziemią i świeżymi kwiatami. Lekki powiew musnął mu policzek. Świergotanie ptaka doleciało jego uszu i — usnął.

Teraz na przemian spał, jadł i cierpiał. Był posłuszny, śledził w miarę powracającej świadomości każdy ruch młodej kobiety, uwijającej się po pokoju. Ubrana była w błękitną sukienkę, której rękawy i część pleców były widoczne, resztę zasłaniał szeroki, biały fartuch, którego szelki krzyżowały się na plecach. Na głowie miała biały czepek, na nogach białe pończochy i białe pantofle. Twarz jej była różowa i okrągła, otoczona złotymi lokami, wymykającymi się figlarnie spod czepeczka. Amos zauważył, że suknia jej sięgała za kolana i że buciki osadzone były na szerokich, płaskich obcasach.

Nie znając jej nazwiska, ani imienia, nazywał ją w myśli: Błękitne Oczy.

Nie litowała się nad nim, nie patrzyła na niego czule i słodko, gdy zmieniała mu opatrunki i poprawiała bandażę, ale ręce jej były pewne i stanowcze, jak jej chód, jak jej głos i bardzo, bardzo miłe w dotknięciu; a gdy skończyła, mówiła za każdym razem: „O, tak! Teraz proszę odpocząć. Przepraszam, że wymęczyłam pana”. On próbował uśmiechnąć się i szeptał: „Pani mnie bynajmniej nie męczy!” Ona roześmiała się serdecznie na te słowa i rzekła: „Kłamca!” tak wesoło, że i on się zaśmiał po raz pierwszy od wielu dni.

Amos doszedł wreszcie do wniosku, że się ocknął z długiego, przykrego snu. Był już całkiem przeświadczony, że śnił przedtem,

ponieważ wypadki plątały mu się w głowie w beznadziejny sposób. Beładnie pamiętał wszystko: policję, klub nocny, Muriel Lampriere, człowieka z notesem, leżącego na ziemi, krzyżowe pytania w sądzie, celę więzienną, dwunastu uroczystych i zimnych starszych panów, wyrok, jazdę do Dartmoor, straszliwy trzask — wszystko to przewijało się przed jego oczyma, ale jako gmatwanina nie do rozwikłania. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy i w jakim porządku zaszły wypadki. Było to bardzo ważne, bo wciąż jeszcze trwał on w zamiarze napisania epokowej książki: „Amos w Krainie Policji”, która to powieść przyniesie mu sławę i majątek.

Parę razy próbował porozmawiać o tym z Błękitnymi Oczami. Pragnął usłyszeć jej zdanie o tych wypadkach, jak również o projektowanej powieści. Ale w jaki by sposób nie podchodził do tego zamiaru, ona zawsze mu przerywała i nie dopuściła do rozmowy na ten temat. Parę razy nawet przecięła dość szorstko.

Stopniowo jednakże, myśl jego rozjaśniała się, wracała pamięć, a wraz z nią i fakty, o których tak chętnie by zapomniał! Od tej chwili przestał zadawać pytania Błękitnym Oczom: wolno mu było wstawać z łóżka codziennie, na godzinę lub dwie. Błękitne Oczy umieszczały fotel przy oknie i pacjent siadał i patrzył smutno na trawnik, na drzewa, na pobliski strumyk i myślał, jaka szkoda, że ten okropny sen nie zakończył się ostatecznie, że będąc chorym nie usnął na wieki.

Tego dnia Amos przypomniał sobie, gdzie widział po raz pierwszy Błękitne Oczy.

Był to ważny dzień. Doktor odwiedził go; przyjeżdżał teraz coraz rzadziej. Amos lubił go. Był to miły staruszek. Zawsze się śpieszył, oznajmiał, że ma najwyżej 5 minut czasu, po czym gawędził godzinę, opowiadał anegdotki, które uważał za bardzo dowcipne, mogące rozweselić pacjenta. Większość tych dykteryjek pamiętała okres przedpotopowy. Uparcie nazywał Amosa Mr. Madoc, co było nudne, ale Amos zbyt był wyczerpany, by to sprostować. Tego wieczoru, po odejściu doktora, Amos wrócił do łóżka na rozkaz Błękitnych Oczu i powiedział jej o tym zabawnym przyzwyczajeniu doktora.

— Wiecznie nazywa mnie Madoc — rzekł. — Głupia mania!

Błękitne Oczy odpowiedziały spokojnie w swój zwykły, rzeczowy sposób:

— To nie głupia mania. Pan będzie w przyszłości panem Madoc. Będzie się pan nazywał Lance Madoc, niech pan to zapamięta.

Zbyt był zmęczony, by się z nią sprzeczać. Ale w kilka dni później, czując się znacznie silniejszy, postanowił to wyjaśnić. Powiedziała mu' że uległ strasznej katastrofie kolejowej.

— Wiele wagonów zostało zupełnie zmiądzonych — tłumaczyła. Między innymi i ten, którym pan jechał.

Lokomotywa wyskoczyła z szyn na tym ostrym zakręcie pod Barminster i przewróciła się. Pociągnęła za sobą wszystkie wozy, tylko dwa ostatnie ocalały. Śmierć była prawie pewna. Wszystkie rezerwuary gazu wybuchły, niektóre wagony zapaliły się i zdawało się niemożliwe, by ktokolwiek uszedł śmierci.

— Ale — spytał Amos — jak to się stało, że ja... To znaczy, jak to się stało, że pani mnie...?

— Jak ja pana znalazłam? — pomogła mu. — Otóż, mam tutaj brata, tutaj, to znaczy na przedmieściu Barminsteru, mieszkamy niedaleko stacji kolejowej. Brat mój usłyszał huk i trzask. Wybierał się właśnie po mnie na dworzec, bo wiedział, że przyjeżdżam tym pociągiem. Zobaczywszy katastrofę, ratował, rzecz jasna, kogo się dało, ja również. Znalazło się pod ręką na szczęście kilku lekarzy i paru miejscowych duchownych. Widok był ponury, może mi pan wierzyć — dodała ze zwykłym spokojem. — Dobrze, że było ciemno.

Zamilkła na chwilę. Okrągła twarzyczka zachowała wyraz spokoju, ale poblądła, a wielkie błękitne oczy patrzyły w dal. Spojrzenie ich było dziwnie przenikliwe. Amos rad był, że leży w ciszy i czekał. Jeżeli ona mu nie powie, co się zdarzyło później, to będzie czekał cierpliwie: wszakże kiedyś mu to powie, może jutro, albo pojutrze? Zdawało mu się, że ma przed sobą nieskończoność.

— Jakie to dziwne, że ja pana zapamiętałam — rzekły Błękitne Oczy. — Rzuciłam okiem w pana stronę w Waterloo. Brat mój dopomógł mi odszukać pana. Nikt nie zwracał na nas uwagi na szczęście. Każdy zajęty był własnymi sprawami, a światło latarni było bardzo słabe. Ledwo było widać, jak stąpać, ale, jak już wspomniałam, szczęśliwa byłam z tego obrotu rzeczy.

— Brat mój — ciągnęła dalej — zajechał swym samochodem tuż pod tor kolejowy. Szliśmy wzdłuż rozbitych wagonów, wypatrując



rannych, którym można było nieść pomoc. Wtem usłyszałam jęk; zawołałam brata, który miał jedyną na miejscu katastrofy latarkę elektryczną. Przy jej świetle ujrzałam pana i obu policjantów. Zapamiętałam pana twarz. Obaj policjanci zginęli na miejscu, ale pan dawał oznaki życia. Brat chciał biec po lekarza i po nosze, ale ja sądziłam... Urwała nagle. Amos milczał. Odgadł jej myśli i dziwił się, że ona ją powzięła, bo nie robiła wrażenia kobiety, dającej się opanować przez uczucie i roztkliwianie się nad czymkolwiek losem.

— James, to jest brat mój, postanowił najpierw zawiadomić policję, że pan jest tutaj. On jest mężczyzną, widzi pan: sądził, że to jego obowiązek. Ale ja odwiodłam go od tego zamiaru.

— I cóż będzie teraz? — spytał Amos, nie panując dłużej nad ciekawością.

— Teraz... ma pan szansę...

Zapanowało tak długie milczenie, że Amos stracił nadzieję usłyszenia dziś czegoś więcej. On nie śmiał mówić... Po pierwsze, nie wiedział, co powiedzieć. Widoki, jakie jej słowa odsłaniały przed nim, były tak ponętne, że jeszcze nie zdążył oswoić się z ich rzeczywistością. Jego siły fizyczne zaledwie mu pozwalały myśleć o przyszłości. Próbował już parę razy coś obmyśleć, coś przewidzieć, ale zawsze odwracał oczy z przerażeniem od tej beznadziejnej wizji, jaką mu nasuwał sam wyraz: przyszłość.

— Widzi pan — mówiły teraz znowu Błękitne Oczy powoli, ale bez żadnego nacisku, chłodnym, nieco twardym głosem. — Ja się wybieram do Kanady. Mam tam siostrę. Jest ona pielęgniarką w szpitalu dziecięcym w Winnipeg. Ja miałam tutaj wyjść za mąż za pana Madoca. On jechał ze mną, widział go pan w Waterloo, przyniósł mi dzienniki i czasopisma, i prosił, bym wysiadła z pańskiego przedziału. Nie wiem, czy pan go sobie przypomina — dodała z lekkim załamaniem głosu, jakby ją coś dławiło w krtani.

Amos przytaknął w milczeniu. Nie mógł mówić.

— Na przedostatniej stacji — ciągnęła dalej młoda kobieta — wysiadł, by porozmawiać ze znajomym, którego zobaczył przez okno. Nie pamiętam nazwy tej stacji, dość, że wskoczył do pociągu już w biegu, naturalnie do wagonu, przy którym stał właśnie. Był to wagon przy lokomotywie. Spalił się na drobny popiół Y/raz ze wszystkimi pasażerami.

— Tak mi przykro — wyszeptał Amos, czując jednocześnie niedorzeczność tych słów.

— Trudno — rzekła spokojnie i przyglądała swymi mocnymi, zręcznymi rękami fartuch, obciążając nim równo kolana. Nie byłam w nim bardzo zakochana, chociaż był to dobry, porządny człowiek i znakomity inżynier. Mieliśmy pojechać razem do Kanady zaraz po ślubie, ponieważ on był zdecydowany przyjąć przez wzgląd na mnie posadę w Montrealu. Nie mam co robić tutaj, więc pojedę do mojej siostry. Zajmę się czymś pożytecznym. Wolę pracować przy jej boku niż tutaj.

Tym razem milczeli oboje. Amos wpatrywał się uważnie w okrągłą twarzyczkę o błękitnych oczach, które robiły tak dramatyczne wrażenie swym bezbarwnym, apatycznym zapatrzeniem w dal. Białe, duże ręce leżały na kolanach, splecione na śnieżnym, schludnym fartuszk. W całej postawie dziewczęcia był spokój, była niemal obojętność, która kojąco działała na stargane nerwy Amosa. Cały dom był taki cichy... James, brat Leny pracował widocznie na dole, bo go nie było słychać całymi dniami. Amos nie wiedział, kto to jest, czy pracuje w wolnym zawodzie, czy też jest kupcem lub przemysłowcem. Jakże to dziwne, że człowiek, którego nigdy świadomie nie ujrzał, jest panem jego przyszłych losów. Jak on nimi zarządzi, Amos nie wyobrażał sobie nawet. Nie przerywał milczenia, które od kilku tygodni było poniekąd wyrazem paktu między nim a przeznaczeniem, paktu dochowywanego również przez Błękitne Oczy.

Po drugiej stronie pokoju było otwarte okno, Amos słyszał miarowy odgłos deszczu, uderzającego o blachę. Gdzieś w pobliżu czekał pies. Lampka nad łóżkiem, ocieniona różowym abażurkiem uwydatniała jeszcze białość siedzącej obok niego postaci. Ale głowa młodej kobiety była teraz nisko pochylona, tak że Amos nie mógł dojrzeć jej twarzy, widział tylko jej jasne włosy, które w tym oświetleniu wyglądały jak złotawe płomienie.

I to dziwne, że nie odczuwa szybszego bicia serca, ani podniecenia zmysłowego w bliskości tej dziewczyny, która wносиła pierwszy promyk nadziei w jego okropny sen. Ciało i nerwy były widocznie zbyt wyczerpane, by odczuwać coś więcej, niż zrozumienie i sympatię. Błękitne oczy, kształtne ręce, dźwięczny głos działały na niego tak mniej

więcej, jak obecność kochanej siostry, której winien byłby wdzięczność za troskliwą opiekę.

Na dźwięk przejeżdżającego w pobliżu tramwaju drgnęła. Podniosła głowę i roześmiała się:

— Śmierć zajrzała mi w oczy — rzekła w swój zwykły, rzeczowy sposób. — O czym mówiliśmy?

— Mówiła pani o swym wyjeździe do Winnipeg, do siostry — rzekł Amos i dodał wolniej: — Ja znam Winnipeg.

— Był pan tam? — zapytała ucieszona. — Czy pan lubi Kanadę?

— Bardzo lubię.

— Zgodziłby się pan zatem pojechać tam znowu? Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej:

— To właśnie był mój projekt: mianowicie pan Madoc, wysiadając z pociągu w Diprose — przypomniałam sobie, że ta stacja nazywa się Diprose — zostawił swój neseser w przedziale. Po katastrofie ja zabrałam swoje rzeczy i wzięłam również jego walizkę, nie wiedząc jeszcze, że... No! Krótko i węzłowato: w tej walizce był paszport pana Madoca.

Okrągłe błękitne oczy spoczywały na twarzy Amosa z badawczym wyrazem. Zdawała się przenikać z wysiłkiem jego ukrytą myśl. Nic nie wyczytawszy, mówiła znowu:

— Powiedziałam do Jamesa: dlaczego nie? Teraz, kiedy panu urosła broda i wąsy, stał się pan poniekąd podobny do Lancea, pardon, do pana Madoca. A ubrawszy się podobnie, przy odrobinie charakteryzacji, może się pan upodobnić jeszcze bardziej do jego fotografii. Dostyc ciężko mi było przekonać Jamesa, ale teraz nareszcie triumfuję a on decyzji raz powziętej nie zmienia nigdy. Mój brat to człowiek dużej wiedzy, robi doświadczenia chemiczne i jest znany w tej dziedzinie wiedzy. Antytoksyny. Pan zapewne nie rozumie. Przed laty, to znaczy przed wojną, brat poświęcał się sprawom społecznym, potem uwalniał i wymieniał on jeńców, był w niezliczonych komitetach. Pańska sprawa z natury rzeczy była mu sympatyczna. Ale pan wie, jacy są na ogół mężczyźni, obowiązek społeczny... tarara... i tym podobne „zasady”. A ja powiedziałam: daj szansę rehabilitacji temu człowiekowi. Jeżeli się nie poprawi, kara dosięgnie go w końcu mimo naszej obecnej interwencji.

Przerwała swe rozwlekłe opowiadanie i rzekła nagle nieco szorstko:

— No, co pan na to?

Amos nie mógł nic odpowiedzieć. Mógł tylko leżeć i patrzeć na tę białoróżową twarzyczkę przy jego łóżku.

Zdawało mu się, że ona zamieniła się w anioła światłości, podającego mu złotą gałązkę zmartwychwstałej nadziei.

— Moja bratowa zgadza się i od pierwszej chwili wie o wszystkim

— rzekła młoda dziewczyna. — Teraz możemy, uzyskawszy zgodę Jamesa, przystąpić do realizowania naszych planów. Służba, oczywiście, nie jest wtajemniczona. Mamy tu tylko dwie głupie wiejskie dziewczyny, które nie widziały pańskiej odzieży, ponieważ był pan zakryty płachtą samochodową, gdyśmy pana przywieźli, a tylko James i ja rozbieraliśmy pana i kładli do łóżka. Tę okropną odzież ukryłam w mojej szafie z sukniami. Nikt jej nie widział z wyjątkiem Jamesa, jego żony i mnie samej.

— Ciekaw jestem — rzekł Amos — czy pani zdaje sobie sprawę, jakim pani jest aniołem.

— Proszę nie mówić głupstw! — odparła spokojnie i pogodnie.

— Lepiej proszę mi powiedzieć, czy pan się zgadza.

— Czy zgadzam się wyjechać do Kanady pod przybranym nazwiskiem i z fałszywym paszportem?

— Tak!

— Równie dobrze mogłaby się pani spytać człowieka, czy zgadza się iść prosto do raju, zamiast zostać wtrącony w czeluście piekielne.

— Zatem wyraża pan zgodę? — nalegała niecierpliwie.

— Naturalnie. Tylko...

— O cóż chodzi?

— Nie mam grosza przy duszy.

— Wiem o tym, głuptasie, ale niewiele panu potrzeba. James pożyczy panu niezbędną sumę. On ma znacznie więcej pieniędzy, niż może i niż potrafi wydać. On również podaruje panu ubranie. A przybywszy do Montrealu musi pan rozejrzeć się za pracą.

— A co pani będzie robić? — zapytał Amos, przekonany, że lada chwila rozwieje się ten cudowny, nieprawdopodobny sen.

— Mówiłam panu, że jadę do mojej siostry, do Winnipeg.

— Czy nie mógłbym być pani sługą, pani niewolnikiem lub czymś w tym rodzaju? Mój Boże, pozwoli mi pani chyba służyć sobie, dobrze?

— Znowu mówi pan trzy po trzy. Pan ma się zrehabilitować, oto jest pańskie zadanie. Wiem o panu wszystko, bo widziałam pańską fotografię w „Daily Mirror”. Uważam pana za młodego szaleńca, który naprawdę nie jest złym chłopcem. Jemes podziela moje zdanie, w przeciwnym razie nie byłby panu ułatwił ucieczki, nawet na moją prośbę. Na dziś dosyć rozpraw! Proszę spać teraz, a jutro pogadamy znowu. Jemes zatrzymał panu na razie miejsce na pokładzie „Campanii”. Wyrusza ona 18-go z Liverpoolu do Montrealu, tak, że niewiele ma pan czasu na całkowite odzyskanie sił.

Wstała i zaczęła szykować pokój na noc: zamknęła okno, przesunęła na właściwe miejsce flaszki z lekarstwami, poprawiła poduszki, odstawiła krzesło. Amos wodził oczyma za każdym jej ruchem. Stanowczo nie odpowiadała zwykłemu naszemu pojęciu zesłanek niebiańskich. Twarz jej, młoda i miła, nie była bynajmniej wydłużona, jak u typowej Madonny, była raczej krótka, szeroka. Stopy w wygodnym obuwiu na niskim obcasie nie były drobne. Głos nie miał bynajmniej niebiańskiego dźwięku, a jej angielszczyzna nie była wykwintna. Przypominała raczej przedmieście Londynu, aniżeli niebo. Najwidoczniej otrzymała wychowanie raczej praktyczne, niż salonowe. Była uosobieniem cech, które odstręczyłyby Amosa od każdej innej kobiety. A jednak była stworzeniem najbliższym ideału, jaki spotkał kiedykolwiek na ziemi, a utwierdzał go w tym mniemaniu fakt, że nie odczuwał w stosunku do niej najmniejszego pociągu fizycznego.

Podczas krzątania się po pokoju podeszła na chwilę tuż, tuż do jego wezgłowia. Wyciągnął rękę i chwycił ją za rękaw, ale usunęła się szybkim ruchem.

— Bez głupstw! — rzekła surowo.

— Czyż nie wolno mi pocałować panią w rękę? — spytał Amos prosząco.

— Rozumie się, że nie — odrzekła. — Także pomysł! Nie jest pan Francuzem, o ile mi wiadomo?

— Nie. Ale pani jest aniołem.

— Głupstwa! — powtórzyła, wzruszając ramionami i spokojnie zabrała się do liczenia kropeł lekarstwa.

— Czy pani wie — rzekł Amos cichym, posłusznym głosem — że ja nie mam pojęcia, jak pani się nazywa?

— Doprawdy? — spytała. — Nazywam się Browne.

— A jak pani na imię?

— Lena. Nie jest to ładne imię.

— Wolę to, które ja pani dawałem w myślach.

— Jak mnie pan nazywał?

— Błękitne Oczy — odrzekł.

Roześmiała się krótkim nerwowym śmiechem:

— Nie jest pan jeszcze normalny, to widać — rzekła krótko.

Po czym, nie zwracając już na niego, uwagi, nie zaszczycając go nawet zwykłym „dobranoc”, poprawiła raz jeszcze poduszki, zgasiła światło i wyszła na palcach z pokoju.

\* \*

Kwietniowy poranek na preriach. Budzi się preria, beżmierna, ciężarna owocem, wyciąga z utęsknieniem ramiona ku dobroczynnemu ciepłu nadchodzącego dnia. Na północy i na zachodzie falują pagórki, na których tu i ówdzie lśnią pod wpływem delikatnego pocałunku słońca, duże, białe płaty śniegu. A za nimi roztacza się imponująca panorama: ośnieżone potężne góry skaliste wylaniają się spoza ciemnych wzgórz; sterczą ponuro, jakby forty twierdzy Tytanów.

O zmroku spokój zstępuje na ziemię. Przyroda zdaje się odpoczywać po pracy. Poprzez to milczenie nieskończoności przedzierają się nieśmiało dźwięki tajemnicze, zagadkowe... To daleki pomruk rzek i strumieni górskich, to odgłos jakiejś niewidzialnej lawiny śnieżnej.

W dolinie i tych dźwięków nie było słyhać. Tutaj spokój szedł w parze z pełną ciszą. Tylko w jednym zakątku szmery zdradzały obecność człowieka. Był nim jeden mężczyzna. Zajęty był w tej chwili zmywaniem naczyń po pierwszym śniadaniu: na talerzach i szklankach widniały resztki oczywistego dostatku w postaci chleba, masła, świeżego mięsa, kakao i Bóg wie czego jeszcze. Mężczyzna gwizdże piosenkę z operetki „No, No, Nanette”, która dzisiaj wydałaby się już staromodna niejednym uszom. Obok niego uwija się, kręcąc ogonem, mały czarny jamnik. Czeka na kęski z talerzy, a nie mogąc się doczekać, wylizuje zawzięcie talerze i szklanki.

— No dosyć tego, Mr. Micawber — odzywa się jego pan. Bierze do ręki i ogląda z uśmiechem półmisek, który pies wylizał tak, jak nie

zdołałaby zmyć najsumienniejsza pomywaczka. — Lepiej byś zrobił, nie płacząc mi się pod nogami. Nie będę miał czasu pilnować cię, mój drogi.

Następnie idzie do konia i z nim wszczyna rozmowę. Pieści mu uszy, szyję, sprawdza, czy mu niczego nie brak. Wszystko jest w porządku: posłanie jest już przygotowane na noc, wiadro z wodą stoi nie opodal. A zatem właściciel farmy może z czystym sumieniem wyruszyć do roboty. Udaje się teraz do folwarku pana Crumch. Sześć mil drogi. Mr Micawber zostaje na straży domku i stajni. Pan rzuca na pożegnanie ostatnie spojrzenie na wiernego sługę. Spojrzenie jego mówi: „bądź dobrym pieskiem!”, a mr Micawber w odpowiedzi na ten dobrotliwy, niemy nakaz ma anielski wyraz pyszczka. Jedną brew uniósł znowu na znak posłuszeństwa, jedno ucho postawił, by dobrze słyszeć ostatnie rozkazy.

Farmer jedzie teraz konno między łąkami i pałac fajeczkę, rozgląda się dokoła z widocznym upodobaniem. Oczy jego zatrzymują się na szczytach górskich, nabierają wyrazu tęsknoty, zamyśla się, traci poczucie rzeczywistości... Wtem zza zakrętu wyskakuje, machając ogonem, jamnik, mr Micawber! Farmer osadza konia i surowo spogląda na nieposłusznego psa.

\* \* \*

Jakiś nieznajomy skręcił z szosy na folwark pana Crumcha i stanął przed jego domkiem.

— Jestem! — zawołał. Na progu ukazał się mężczyzna w bluzie służącego.

— Proszę dojrzeć mego konia, dobrze? Ja tymczasem pójdę pogadać z panem Crumchem.

Mężczyzna nie raczył odpowiedzieć. Spojrzał tylko, kto do niego przemawia, ale nie uznał widocznie nieznajomego za godnego uwagi. Psy na folwarku zaczęły szczekać głośno i niebawem opadły przybysza, który jednak nie uląkł się bynajmniej i krzyknął gromkim głosem:



— Leżeć! Bestie! — I zwrócony do mężczyzny dodał: — Proszę wziąć psy na smyczę, żeby mi nie przeszkadzały! Mężczyzna nie uznał przybysza za godnego uwagi, ani grzecznej odpowiedzi, ale przyglądał się życzliwie psu.

— Zmyślne zwierzę, ten pański jamnik — rzekł łaskawie. — Jak się wabi?

— Mr Micawber — odrzekł człowiek w bluzie lakonicznie i dodał. — To rasowy jamnik.

Mężczyzna zaśmiał się niedowierzająco. To do reszty zraziło służącego.

— Czy Mr Crumch jest w domu? — spytał przybysz i nie czekając na odpowiedź (widocznie miał już taki zwyczaj) wbiegł drzwiami, prowadzącymi do wnętrza domu.

Ów pan Crumch był to zamożny właściciel kilku folwarków okolicznych. To właśnie w jego domu pracował niejaki pan Lance Madoc, ten sam, który przed chwilą przybył tu na klaczy w towarzystwie swego wiernego jamnika, Mr Micawbera, a teraz, w niebieskiej bluzie przyjął nowego przybysza. Lance Madoc zjawił się na folwarku pana Crumcha przed czterema miesiącami, podczas srogiej zimy; zjawił się z ogłoszenia w jednej z gazet miejscowych, iż poszukuje się doświadczonego szofera i służącego w jednej osobie, a że on pracował już w garażu w Winnipeg i był przez czas jakiś służącym na statku w okolicy Wielkich Jezior, więc sądził, że może słusznie pretendować do tej posady.

Podobał się panu Crumchowi, robił wrażenie, że nie tylko nie cofnie się przed spędzeniem zimy na preriach, lecz i przed żadną ciężką robotą, byle tylko być pożytecznym. Wyglądał przy tym na poczciwego człowieka. Okazało się istotnie, że nowy służący zarówno przy kierownicy, jak na koniu był istną perłą. Ci Anglicy, mówił pan Crumch, mają jednak duże zalety! I w Europie zdarzają się ludzie, umiejący pracować i zaradni! Niektórzy wyrażali nawet przypuszczenie, że Lance Madoc najwidoczniej był kiedyś paniczem; miał maniery panicza, człowieka z dobrej sfery, paznokcie jego i chusteczka do nosa najwymowniej, zdaniem tutejszych ludzi, o tym świadczyły. A serce miał niezawodnie dobre z przyrodzenia, gdyż tak oględnie, tak ludzko obchodził się z końmi i ze zwierzętami w ogóle! A jaki odważny! Pan Crumch

przepowiadał, że ten zuchwalec jeszcze kiedyś kark skręci na koniu lub w samochodzie, ale dotychczas Lance spisywał się pierwszorzędnie.

Z psami mógł rozmawiać całymi godzinami, a swego jamnika, którego nazwał mister Micawber, rozumiał znakomicie. Przystosował się też w krótkim czasie do całego otoczenia, czego dowodem najwymowniejszym było, że przyswoił sobie świetnie amerykański sposób mówienia po angielsku. Po dwóch latach pobytu wyrażał się, a chwilami nawet akcentował, jak urodzony Kanadyjczyk z Winnipeg.

\* \* \*

Pan Crumch miał gościa; wyszli przed dom i stali na werandzie, skąd roztaczał się wspaniały widok na całą okolicę. Gość załatwił widocznie wszystkie sprawy, które go sprowadziły, gdyż zaczął się żegnać. Pan Crumch poczęstował go cygarem, co było o tyle wymowne, że pan Crumch częstuje cygarami tylko ludzi, z którymi zrobił dobry interes. — Nie, dziękuję panu — odrzekł cudzoziemiec. — Nie palę cygar. Wyjął z kieszeni papierośnicę, najwidoczniej bardzo kosztowną

i poczęstował pana Crumcha, który odsunął papierosy lekceważącym ruchem ręki.

— Nie uznaję papierosów, dziękuję, panie Horfman — rzekł. — Nigdy nie paliłem tego świństwa.

Madoc stał nie opodal i czekał cierpliwie, aż pryncypał skończy rozmowę.

— No, już idę, panie Crumch — odrzekł obcy. — Więc stanowczo nie sprzedaj mi pan swej Tin Lizzie?

— Dlaczego nie? Przeciwnie, chętnie sprzedam ją panu — zaśmiał się farmer.

Zwrócił się do Madoca: — Słuchaj, Madoc, oprowadź klacz nr 5, pokaż ją panu Horfmanowi, dobrze?

Ale zmuszony był powtórzyć to polecenie, bo Lance zdawał się go nie słyszeć. Patrzył uważnie na drogę, gdzie dojrzał jakiś pojazd, zbliżający się szybko. Na razie była to ciemna plama na horyzoncie, przynajmniej dla oka nie tak wprawnego, ale z każdą sekundą przybliżała się i rosła.

— Na co tak patrzysz, do diabła, człowieku? — zawołał Mr Crumch.

— Na tego gniadego konika, sir.

Mr Crumch i jego gość spojrzeli w tymże kierunku. Ale słońce raziło ich, nie mogli rozróżnić konturów na drodze. Pan Crumch podniósł do oczu lornetkę, z którą nie rozstawał się nigdy.

— Mam wrażenie — rzekł — że nadjeżdża pani van Menterghem w swej staromodnej karocy.

— Nowi właściciele Boothamu?

— Tak. Zna ich pan?

— Znam starego, robiłem z nim interesy: spotykałem go najczęściej w Macleod. Żony nie widziałem nigdy.

— Dopiero rok temu się pobrali.

— No, to nie mogłem jej widywać, rzecz jasna. Słyszałem o niej, że uległa ciężkiej katastrofie samochodowej w czasie podróży poślubnej.

— Tak, to prawda.

— To już pech wyraźny.

— Od tej pory unika samochodu jak tylko może.

— Teraz rozumiem, dlaczego jeździ tą staroświecką kareta. Nieraz się dziwiłem.

Powóz był teraz blisko nich, widzieli go wyraźnie. Widać było dwie panie w głębi pojazdu i starszego człowieka powożącego na koźle.

— Przejeżdżali już tędy dwa czy trzy dni temu — rzekł Mr Crumch.

— A tak! Mrs. van Menterghem była z wizytą u Tommersów.

— No, ale teraz muszę już uciekać... Obaj mężczyźni podali sobie ręce.

— Zatem — rzekł Mr Crumch — niech pan zatelefonuje, panie Horfman, skoro tylko będzie pan miał wiadomość z Halifaxu. Niech pan pamięta, że lubię tę klacz i chętnie ją panu odstąpię za odpowiednio wysoką cenę.

Pan Crumch urwał nagle i wpatrzył się w punkt drogi, gdzie poza wielką karocą widać było dym, wznoszący się ku górze.

— Boże wielki! — rzekł. — Co za nierozwaga! Ledwo zdążyli przejechać... Pociąg nadjeżdża... Pan wie, że w tym miejscu szosa przecina tor kolejowy.

— Młody człowieku!— zawołał pan Horfman, zwracając się do Madoca. — Niech pan mocno trzyma klacz! Ona zapewne nie lubi ekspresów, gotowa się wyrwać, spłoszona.

Rozległ się ostry gwizd, przeciągły i donośny.

— Na Boga! Ponosi!...

— Co?... Kto?...

— GniadyL. Mówię panu...

Istotnie, gniadosz, jakkolwiek ujechał już spory kawałek drogi od toru kolejowego drgnął na odgłos gwizdu, stanął dęba, po czym puścił się galopem ze spuszczoneymi uszami, z zaciśniętymi zębami, gryząc wędzidła i ciągnąc za sobą ciężką karocę, niczym piórko. Droga była równa, ale czas wyłobił w niej tu i ówdzie wyboje, tu i ówdzie leżały kamienie; karoca podskakiwała jak piłka. Podkowy gniadosza dźwięczały na szosie, rywalizując z szumem nadjeżdżającego pociągu. Na szczęście na drodze nie było widać żadnego innego pojazdu, który mógł by wywołać zderzenie. Ale pociąg zbliżał się coraz bardziej i będąc zaledwie o kilkadziesiąt kroków za gniadoszem wydał powtórny, przeraźliwy gwizd. Koń oszalał z trwogi... W tejże sekundzie ludzie pana Crumcha rzucili się ku szosie, by zastąpić drogę gniademu i okiełznać rozhukane zwierzę, zanim będzie za późno.

— Samochoden podjechać, prędko!

— Ależ, drogi panie, zanim zdążymy, będzie po wszystkim!

— Patrzcie, co ten robi? Nie pozwólcie mu...

Madoc bez namysłu wskoczył na grzbiet klaczy, którą trzymał za uzdę, czekając na koniec rozmowy obu mężczyzn i galopował na spotkanie gniadosza i karocy.

— Nie miał prawa tego zrobić... Taka klacz!...Warta dwieście gwinei!...

— No, dobrze, ale tymczasem ona do mnie należy, prawda? — odrzegł flegmatycznie Mr Crumch — a przy tym Madoc krzywdy jej nie robi.

— Może jej zrobić krzywdę takim dzikim galopem — odparł Horfman podrażnionym tonem. — Nie powinien pan trzymać u siebie człowieka, który...

— Mówię panu, że według mnie Madoc jest w porządku...

Lance Madoc, pochylony ku grzywie klaczy tak, że nieledwie nosem jej dotykał, pędził jak wicher.

— Boże wielki! On połamie ręce i nogi!

— Każdy na jego miejscu, ale nie on! — odparł Mr Crumch.

— Odjechał, zanim zdołałem wymówić słówko. Ach! Że też pan mu nie zabronił...

— Mówię panu, że wszystko jest w porządku.

— Ale ta klacz?...

— Niech diabli wezmą klacz! — zgniewał się Mr Crumch, zbiegając ze stopni werandy, przed którą jeden z jego ludzi podjeżdżał właśnie samochodem prosto z garażu.

Sześciu mężczyzn kręciło się teraz na drodze; paru z nich biegło dzielnie, a najszybciej posuwał się oczywiście Lance Madoc, pędząc jak wicher. Gniadosz również pędził, jak szaleniec, karoca podskakiwała i przechylała się raz na lewo, raz na prawo, co groziło jej wywróceniem się do przydrożnego rowu, gdyż kilkakrotnie już była na samym skraju szosy. Ale najgroźniejsze, że na niewielkiej przestrzeni szosy w okolicy folwarku Crumcha dwa razy przecinała tor kolejowy. Rozhukany koń zbliżył się w piorunującym tempie do tego drugiego skrzyżowania, podniecany coraz bardziej wzrastającym hukiem ekspresu: Za 60 sekund z karocy i jej właścicieli zostanie tylko bezkształtna masa... Co robić? Zastąpić drogę koniowi, chwycić go za uzdę, zmusić do zahamowania lub do zawrócenie?... Ależ na to nie ma czasu!

— Co ten chłopak?...

Pytanie to rzucił bez tchu pan Horfman, który, stojąc wciąż na werandzie, przybrał z konieczności postawę wyczekującą. Pan Crumch wsiadł do samochodu i pośpieszył na miejsce niechybnej katastrofy.

— Cóż ten chłopak zamierza?... — mruczał również pan Crumch w samochodzie. Bo Madoc, nie wdając się w zapasy z rozszalałym zwierzęciem, zwrócił klacz prosto na tor kolejowy i powiewając chustką do nosa tuż przed jej oczami zmusił ją do nagłego zatrzymania się, po czym niezwłocznie stanął na siodle, nie puszczać lejc z ręki i zaczął wymachiwać, jak szalony, ramieniem, u szczytu którego powiewała biała chusteczka. W tejże sekundzie już znów siedział na siodle i stał z drugiej strony toru: czekał.

— W porządku, maleńka. Ludzie na lokomotywie dostrzegli nas, to najważniejsze, zahamowali w porę. Mniejsza o karocę i o tego idiotę gniadosza. Póki ty i ja jesteśmy cali, potrafimy ich również ocalić, nieprawdaż?

Ręka jego ociekała krwią. Skaleczył ją o uprzęż lub o krzewy, pędząc bez pamięci. Pot spływał mu strumieniem po twarzy, ubranie przylepione było do skóry. Kołnierzyka ani śladu, spodnie podarte na kolanach. Ale nikt nie zwracał już uwagi na niego. Ekspres został gwałtownie zahamowany i stoi o jakieś 200 jardów. Pasażerowie wysiedli i patrzą ciekawie i niespokojnie, co się stało. Karoca stoi nie opodal, gniadosz ocieka potem i pianą. O Lancie na razie zapomniano, a jego klacz drży z radości; zwierzył się jej, że dzielnie się spisła.

— Objedziemy tę łączką, maleńka, by wymknąć się niespostrzeżeniu — rzekł do niej znowu.

Objechał ostrożnie, wolniutko, dookoła i ominąwszy tłum zbierający się przy karocy, dotarł przed dom Crumcha. interesowało go tylko, czy kobietom i koniowi nic się nie stało, reszta była mu obojętna.

Ale najpierw trzeba się było umyć, oczyścić i przebrać. Zajęło mu to pół godziny. Jedna z dziewcząt opatrzyła mu chorą rękę. Klacz odpoczęła i zachowywała się spokojnie.

Wtem rozległo się wołanie pana Crumcha;

— Madoc! Ma-a-aadoc! Gdzież ty jesteś? A nareszcie! Rządca cię szuka.

— Proszę dojrzeć klaczy — rzekł Madoc dziewczynie, która opatrzyła mu rękę.

— Jestem, panie — rzekł, stając przed Crumchem.

— Rządca pyta się, czy zechcesz zawieźć te panie z powrotem do majątku?

— Owszem.

— Miałeś szczęście, że udało ci się zatrzymać pociąg, mógł cię wszakże nie dostrzec maszynista, prawda?

— Oczywiście, panie.

— Jeszcze minuta, a byłaby miazga...

— Tak jest, panie.

— Klacz w porządku?

— Tak jest, panie.

— To dobrze. Sprawdź, czy koń pani van Menterghem nie pokaleczył się i czy jest zdolny do drogi powrotnej. Jeśli tak, to zaprzęgnij go i zaczekaj na obie panie, dobrze?

— Dobrze, panie.

— Znasz majątek Bottham?

— Znam, panie.

— Wracaj jaknajśpieszniej. Jest to nie więcej niż 15 mil odległości, a zapewne pożyczą ci rower.

— Rozumiem, panie.

Pan Crumch milczał chwilę. Puścił kilka gęstych kłębow dymu ze swego cygara i obojętnie spytał:

— Nie zraniłeś się przecież, Madoc, mam nadzieję?

— O! nie, sir.

— Dobrze! No, to śpiesz się, chłopcze.

Lance Madoc miał ochotę spytać, czy paniom nic się nie stało, ale nie lubił z zasady zadawać pytań. A przy tym, jeżeli panie jechały do domu z powrotem, to nie czuły się widocznie bardzo źle. Później dopiero dowiedział się, że kiedy on zatrzymał ekspres na szynach, gniadosz bynajmniej nie od razu zaprzestał swego szalonego galopu. Nie wiadomo jeszcze, jakby się ten wypadek skończył, gdyby pan Crumch nie stanął w samochodzie w poprzek szosy. Rozhukany koń o mało co nie wjechał w samochód, gdyż prerażenie oślepiło go po prostu, ale na szczęście dwóch farmerów wybiegło ze swych zagród i energicznym chwytem zdołali osadzić zdyszane, nieprzytomne zwierzę. Mrs. van Menterghem zemdląła, wniesiono ją do domu, ale ani jej towarzyszce, ani stangretowi nic się nie stało. Niemniej Mrs. van Menterghem nie życzyła już sobie powierzyć cugli swego pojazdu temu samemu stangretowi; pan Crumch ofiarował jej zatem usługi swego stangreta i szofera w jednej osobie.

— Znakomicie umie się obchodzić z końmi, Mrs. van Menterghem. Może pani być zupełnie spokojna.

— Jestem spokojna, panie Crumch, polegam na pańskiej opinii. Idziemy, Nurse?

Nurse była ciekawa poznać młodego człowieka, który zatrzymał pociąg i życie im ocalił. Pragnęła ujrzeć go z bliska i pewna, że pani van Menterghem podzieli to życzenie...

— O! — rzekł Mr Crumch. — Niech się pani nie obawia, Miss. Każdy z moich ludzi byłby zrobił to samo, gdyby zaszła taka potrzeba. Lance stał przypadkiem obok pana Horfmana, a jest on świetnym jeźdźcem, to trzeba mu przyznać.

— Lance? — zapytała Nurse, ściągając brwi.

— Lance Madoc — odrzekł pan Crumch. — Znakomity jeździec i woźnica. On zawiezie panie do domu. Niech się panie nie obawiają żadnego wypadku, oddaję panie pod wyborną opiekę.

— Lance Madoc, mówi pan?

— Tak jest. Lance Madoc.

— Ach! — wykrzyknęła lekko Nurse z dziwnym akcentem w głosie. Pani van Menterghem nie była zbyt spostrzegawcza z natury, nie

zwróciła więc na to uwagi, ale gdy już siedziała wygodnie w głębi swej karocy, a Nurse otulała ją szalami i wsuwała jej poduszki pod plecy, młoda dziewczyna podniosła oczy na Lance'a Madoca, stojącego obok pojazdu w postawie wyczekującej.

— Co za zbieg okoliczności, że to właśnie pan... — rzekła ze swym pogodnym uśmiechem.

\* \* \*

Mr Crumch oznajmił, że Bootham jest położone o 15 mil odległości od jego folwarku. Mylił się: odległość ta wynosiła najmniej 18 mil. Jazda trwała przeszło dwie godziny, zwłaszcza, że koń był zmęczony i wystraszony, gotów przy lada sposobności do nowych wybryków. Lance Madoc musiał czuwać nad nim bezustannie i trzymać go mocno na wodzy. Nie było to łatwym zadaniem, zważywszy, iż on sam miał pokaleczone dłonie i doznał silnego wstrząsu. Południowe słońce prażyło nieznośnie. Jedyнным pocieszeniem był brak kurzu na szosie. Lance nauczył się brać życie z możliwie najlepszej strony, powtarzał więc sobie: „Szczęście, że kurzu nie ma!” Doszedł w końcu do wniosku, że nie jest tak źle.

Później, gdy pani van Menterghem, leżąc już w łóżku i czując się stosunkowo nieźle, zaczęła się dowiadywać o zdrowie swego młodego wybawcy, Nurse ofiarowała się chętnie, że pójdzie z nim porozmawiać.



Zastała go w kuchni, przed nieruszoną talerzem zimnej wołowiny. Siedział podparty na łokciach i chłodził zbolaną głowę zwilżoną chusteczką, starając się nie urazić w ranną rękę.

— Hallo! — rzekł słabym głosem, gdy weszła do pokoju! Spróbował się uśmiechnąć i wstać z krzesła, ale był to zbyt wielki wysiłek, tak, że rozkazała mu natychmiast w swój zwykły, praktyczny i stanowczy sposób, by siedział spokojnie.

— I proszę się nie ruszać, dopóki tu nie wrócę — dodała bezapelacyjnym tonem. W kilka minut później wróciła uzbrojona w cały szereg flakonów, buteleczek, plastrów i bandaży. Lance pozwolił jej robić, co jej się podobało, poddał jej się biernie, z całkowitym zaufaniem. Wiedział już, że te silne, zręczne dłonie przynoszą ulgę cierpiącemu. Obmyła mu rany, jak ongiś po katastrofie kolejowej; założyła opatrunki.

— Teraz będzie dobrze. Przepraszam, że wymęczyłam pana. Madoc siedział z zamkniętymi oczami. Dwa lata! Czy istotnie dwa

lata już upłynęły od tej chwili, kiedy ona uratowała mu życie tymi rękami i przywróciła mu równowagę psychiczną tym spokojnym, nie zdradzającym nigdy wzruszenia głosem? Te dwa lata wydawały mu się, jakby nieistniejące, widział się znowu w pokoju o białym suficie i otwartym oknie, przez które dochodziły zapachy wilgotnej ziemi i pierwszych kwiatów wiosennych.

— A zatem, niech mi pan powie — rozległ się przy nim ten chłodny, rzeczowy głos, dobrze mu znany — jak się panu podoba pańskie obecne życie?

Jakie to w stylu Błękitnych Oczu! Nigdy nie pytała go, czy jest zdrow, czy chory, zmęczony, czy rażny, syty, czy głodny. Pytała o całokształt jego życia, mając głównie na myśli jego pracę, zarobki.

Lance Madoc otworzył oczy i odpoczywał jeszcze chwilę z uczuciem niewysłowionego zadowolenia, że spogląda znowu na tę miłą twarzyczkę, wyłaniającą się z bieli fartucha, zza którego tu i ówdzie tylko widać było niebieską suknię.

Dwa lata, odkąd jej nie widział! Nie zmieniła się ani na jotę. Była równie praktyczna, równie spokojna, jak przedtem, taka przynajmniej jemu się wydawała ongiś i teraz również. Była w jego oczach równie bezpłciową istotą, jak przed dwoma laty. Usiłował wykazać się przed nią

swoją świeżo nabytą praktycznością i opanowaniem. W tym kraju, gdzie ma znaczenie tylko to, co mężczyzna dokonał i dokonać potrafi, w tym kraju, wiedział dobrze, że nie o uczuciach, ani o marzeniach należy mówić. Dusza człowieka obchodzi jego bliźnich w Ameryce tylko w stosunku do czynów, których jest źródłem.

— Zadowolony jestem — rzekł. — Lubię przyrodę, przestrzeń, lubię zwierzęta.

— Woli pan to, niż grę w karty?

— Jazda konna była moją namiętnością — odparł z uśmiechem.

— To widać! — uśmiechnęła się również. — Na szczęście dla pani van Menterghem i dla mnie.

Zapewne trudno przypisywać jakąś szczególną wagę przypadkowi tego rodzaju... Ale dziwny zaiste zbieg okoliczności, że w karocy, którą ratował od wywrócenia się z narażeniem własnego życia znajdowała się właśnie ta, którą stale nazywał w myśli: Błękitne Oczy. Ale spostrzegł się, że już znowu ogarnia go sentyment, który lada chwila ujawni się całkiem niepotrzebnie w jakimś zwrocie i wywoła uśmiech ironiczny na jej ustach. Za nic na świecie nie chciałby...

— Niech mi pani powie, co pani porabia? — rzekł nagle.

— Ja? Mam się wybornie.

— Kiedy pani tu przybyła?

— Ponad miesiąc temu.

— A to skryta istota!

— Dlaczego skryta?

— Bo tak już dawno temu... pamięta pani... było to w listopadzie... pamięta pani, kiedy przyszedłem z wiadomością, że zimę spędzę na preriach, na posiadzie u właściciela dużego folwarku...

— Więc?...

— Ja powiedziałem, że jestem prawie zdecydowany przyjąć tę posiadę, a pani powiedziała...

— Ja powiedziałem, pani powiedziała...jak pan wybrnie z tego zawilego opowiadania?

— Pani powiedziała, że nigdy pani nie opuści swojej siostry, szpitala i miasta Winnipeg.

— Cóż to ma za związek? Pan postanowił przyjąć posiadę w farmie pana Crumcha, ja zaś odpowiedziałam ofertą na ogłoszenie pana van

Menterghem, który poszukiwał towarzyszkę i pielęgniarki dla swojej żony. Nie widzę, co to pana może obchodzić, jeżeli nawet ja zmienię projekty dwadzieścia razy w ciągu jednego dnia.

— Oczywiście, że nie. Ale mam prawo twierdzić, że pani jest skrytym stworzeniem.

Wstała i zaczęła porządkować przedmioty rozrzucone dokoła. Zawsze praktyczna, zawsze milcząca! Lance nie mógł powstrzymać uśmiechu, patrząc na kolekcję plastrów, bandaży i tym podobnych przyborów opatrunkowych, które skrzętnie pozbierała i ułożyła we wzorowym porządku. A teraz podeszła do niego z filiżanką gorącej kawy, którą parzyła Bóg wie jak i kiedy, oraz z apetycznymi bułeczkami i masłem na talerzyku. Jakże inaczej wyglądało to śniadanie, aniżeli zimna wołowina i kluski, zastawione przed nim przez dziewczynę kuchenną! Ale nawet gdyby te przysmaki były według niego do przełknięcia, Lance byłby je połknął chciwie, jak pochłaniał wszelkie lekarstwa, podawane mu jej ręką dwa lata temu.

Dwa lata! Jakże nikły ślad pozostawiły w jego pamięci! Widywał przez ten czas Błękitne Oczy, widywał ją nawet dość często, ale dzisiaj ona wydawała mu się znacznie podobniejsza do tej, jaką poznał w Anglii, niż do tej, którą spotkał w Winnipeg. Z pewnością strój jej przyczynił się głównie do wskrzeszenia dawnych wspomnień z taką siłą. Wypił kawę, zjadł chleb z masłem w milczeniu, ona patrzyła na niego w swój zwykły sposób, milcząca również, obejmując swymi mocnymi, dużymi rękami kolana, okryte śnieżnym fartuchem.

— Byłbym chciał wcześniej się dowiedzieć o pani pobycie w sąsiedztwie — rzekł, skończywszy ten zaimprovizowany posiłek. — Dzieli nas zaledwie 18 mil.

— Po co pan miał wiedzieć o tym wcześniej? — zapytała.

— W zimie człowiek czuje się dziwnie samotny. Dlaczego nie dała mi pani znać?

— Miałam zamiar to uczynić. Aż właśnie pani van Menterghem postanowiła pojechać do Victorii na całą zimę i pojechaliśmy wszyscy. Dopiero od tygodnia jesteśmy tu z powrotem.

— Czy to mili ludzie?

— Państwa van Menterghem ma pan na myśli? Owszem, ona jest miłą kobietą, córka również. Pana mało widuję, chłopak to łobuz.

— A córka ładna?

— Bardzo. Ona i jej brat są dziećmi z pierwszego małżeństwa. Pani van Menterghem poślubiła dopiero przed rokiem swego obecnego małżonka.

— I jest ciężko chora?

— Niekoniecznie. Nerwy jej tylko ucierpiały strasznie wskutek wypadku samochodowego. Ani mąż, ani córka nie mogli sobie z nią poradzić, dlatego szukali pielęgniarki i dali ogłoszenie do kilku pism codziennych. Ja nie mogę się na nią uskarżać.

— No, pani! Nie dziwię się...

— Ona nie znosi nawet widoku samochodu, pojechałyśmy więc tą staromodną karocą. Dzisiejsza przygoda nie przyczyni się do polepszenia stanu zdrowia pani van Menterghem, a jej niderlandzki małżonek również na to nie wpłynie. On ma najlepsze intencje, ale jest nudny, ciężki i mówi wyłącznie o interesach. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego kobieta, mająca córkę (zatem nie samotna), oraz tę niezależność, jaką daje stan wdowi i duży majątek — wyszła powtórnie za mąż.

— Pani van, jak - ja — pani - tam - nazywa, zakochała się widocznie w tym Holendrze.

Wzruszyła ramionami, jakby takie rzeczy były dla niej niezrozumiałe.

Lance nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Wyglądała tak spokojnie, tak nieprzystępnie w tym białym fartuchu, białym czepeczku i praktycznym obuwiu.

— Z czego się pan śmieje? — zapytała.

— Bo jest pani najdziwniejszym stworzeniem pod słońcem — rzekł. — Sądzę, że pani nie uznaje rzeczy nie będących ściśle praktycznymi, celowymi; wszystko inne wydaje się pani grzechem śmiertelnym, a ludzi traktuje pani jak maszynę o wielu różnych sprężynach, służących do wspólnego celu-pracy. Niech mi pani powie,. Błękitne Oczy, czy pani kiedyś... no... zależało na kimś... bardzo, bardzo?

Nie odpowiedziała. Rzuciła tylko na niego błyskawiczne, zimne spojrzenie, które na sekundę dreszczem go przeszyło. Czy obraziła się? Zapewne, pytanie było niedyskretne. Przed oczami jego duszy stanął nagle młody człowiek, stojący na platformie wagonu z paczką dzienników w ręku, ten młody człowiek, którego nazwisko on nosił obecnie,

którego tragiczna śmierć pozwoliła Błękitnym Oczom dać jemu, Amosowi, możliwość ocalenia i poprawienia się. Wówczas zdawało się, że nie bardzo jej zależało na owym Lance Madocu numer pierwszy, ale może i była nim zajęta, kto to może wiedzieć? Ale myśl, że Błękitne Oczy mogą być zakochane, wydała mu się zabawna. Byłby się znowu uśmiechnął, gdyby miał odwagę. Ale on odczuwał zawsze pewną bojaźń wobec niej, było w niej coś, co wyłączało wszelką możliwość poufałości. Lance ustalił już od dawna, że ona nie ma najmniejszego poczucia humoru. A za nic na świecie nie śmiał jej urazić nieopatrnym słowem.

— Nie obraziłem pani chyba, co? — spytał bardzo łagodnie. Odstawiła filiżanki i talerze, wciąż jeszcze nie odpowiadała mu ani

słowem, zwijała starannie bandażę i wkładała do białej szafeczki pod ścianą. Ale po chwili odwróciła głowę w stronę skruszonego Lance'a i spojrzała na niego zdziwionymi, jasnymi oczami.

— Miałby mnie pan obrazić? Czym, na Boga? Co mogło mnie obrazić, nie pojmuję!

Zadałem pani takie głupie pytanie...

— O! — odrzekła spokojnie. — To nic nie szkodzi. Nie zwróciłam nawet uwagi... Ale niechże pan idzie ze mną do pana van Menterghema, który czeka na pana.

— Mr... Mój Boże!... Czeka na mnie? Po co?

— Po to, żeby panu podziękować. Holendrzy są bardzo uprzejmi.

— Ależ ja nic nie zrobiłem...

Tym razem Błękitne Oczy śmiały się z kolei. Okazywał taką komiczną rozpacz.

— Wiem, wiem — rzekła — no, ale odwiózł nas pan do domu, do czego wszakże nie był pan zmuszony.

— Aleja się obawiam, że ten pan van... Nie wiem —jaki chce mi dać napiwek. Lubię wprawdzie napiwki, owszem. Przyzwyczaiałem się do nich jako kelner na statku w okolicy Wielkich Jezior. To była dobra posada. Może tam wrócę na przyszłe lato.

— Słusznie — odrzekła spokojnie. — Czy tu chodzi o napiwek, czy o coś innego, nie wiem, w każdym razie nie może pan opuścić tego domu bez zobaczenia się z panem van Menterghemem, który wyraził chęć poznania pana i chce panu dać na powrotną drogę rower najlepszej marki, aby pan zdążył do siebie przed zachodem słońca.

— Dobrze więc — rzekł Lance z westchnieniem.

Poszedł za nią, przeszedł przedpokój i hall. Otworzyła drzwi prowadzące do niewielkiego pokoju.

— Niech pan tutaj zaczeka — rzekła. — Pójdę po pana van Menterghema.

Lance Madoc wszedł do tego pokoju. Błękitne Oczy zamknęła drzwi. Pokój był widny, ładnie umeblowany, miły. Co za różnica w porównaniu z urządzeniem domu pana Crumcha pomyślał Lance! Na kominku palił się ogień. Nie opodal stała kanapka, zachęcająca do spoczynku, usiana niezliczonymi poduszkami, przed kanapą stał mały stolik, na nim flaszeczki z lekarstwami i szklanka, parę powieści, trochę dzienników i czasopism. Wszystko to przywodziło na myśl osobę, złożoną chroniczną niemocą. Naprzeciw drzwi było wielkie okno weneckie. Na balkonie stało duże biurko, na którym oprócz przyborów do pisania rozrzucone były różne eleganckie drobiazgi. Przy biurku siedziała kobieta i pisała. Do pokoju była zwrócona plecami. Nie odwróciła głowy, by zobaczyć, kto wszedł. Krzesło, na którym siedziała, miało bardzo wysokie oparcie i poręczę, tak, że Lance Madoc widział tylko jeden jej łokieć, oparty na biurku oraz tył jej głowy, pochylonej nad papierem, pokrytej włosami bardzo gęstymi, koloru dojrzałego zboża. Przez okno balkonowe widać było śliczny krajobraz. Ogród przystrajał się już w barwy wiosny, iskrzył się niezliczonymi tonami purpury, fioleto i błękitu. W oddali rysowały się sine wzgórza, cisza panowała tu idealna. Powietrze było lekkie, przejrzyste. Słysząc było tu i ówdzie nieśmiałe głosy ptaków. Lance kochał wszelkie zwierzęta, ale ptaki darzył wręcz tkliwością. Podeszedł do okna, by lepiej widzieć i słyszeć, przyroda wywierała na nim zawsze przepiękny urok.

— Wspaniałe! — wyrwało mu się z piersi mimo woli.

Na dźwięk tego głosu pisząca kobieta odwróciła się żywym ruchem i spojrzała na niego.

— F-F-F...

Lance nie mógł wykrztusić ze zdławionej krtani jej imienia, nie mógłby, gdyby nawet życie jego od tego zależało. Sam dźwięk tego imienia byłby mu w tej chwili sprawił ból nie do zniesienia. Zdawało mu się, że u stóp jego otwiera się przepaść, że on w nią leci, że musi w nią

wpaść, rozbić się, zniknąć w tej czarnej otchłani. Fay Mazeline zerwała się z fotela. Odrzuciła pióro i stała nieruchomo. Jedną ręką oparła się

O biurko, jakby miała się przewrócić. Patrzyła na niego z lekko ściągniętymi brwiami, tymi brwiami, które niegdyś, niegdyś, on całował... Zmieniła się od tej pory, nie bardzo, ale się zmieniła. Obcięte włosy nadawały jej twarzy inny wyraz, a przy tym była ongiś taka wesoła, żywa, roześmiana! Teraz w oczach i koło ust malował się smutek. A te oczy, te same szare oczy, w których ongiś czytał tyle serdeczności, gdy szeptał jej do ucha niewinne głupstwa, te głupstwa, które nigdy się nie sprzykrzą zakochanym, dopóki choć jedna gruchająca parka istnieć będzie na świecie, czyli do końca świata... Te oczy zmieniły się bardziej, niż reszta postaci. A przecież była to Fay, jego Fay sprzed dwu lat, tak, to te same szare oczy, te usta, te złote włosy, tak to ona, Fay. A on już nie jest tym, kim był. To już nie Amos Beyvin przed nią stoi, lecz Lance Madoc. Niegdyś nazywał się on Amos Beyvin. Amos całował jej usta w odludnym zakątku, w parku zamku Frontenac. Amos patrzył w te oczy i prosił czule, by o nim nie zapomniła. Stał obok niej na przystani

i podziwiał wraz z nią niebo i zorzę polarną, i srebrny księżyc, spoglądający na tę ziemię, gdzie był jej dom, jej ognisko rodzinne. Amos Beyvin! — O Boże! Ten, który jej się sprzeniewierzył, Amos-więzień z Londynu, skazaniec, wyrzutek społeczeństwa!

Wiedziała o tym; od pierwszego spojrzenia na niego, zrozumiała, że wiedziała. Doszła ją wieść o jego winie, o hańbie, o tej niewygasłej hańbie... Sądziła, że zginął, aż tu nagle ujrzała go przed sobą. A może wolałaby, żeby zginął, żeby go nie widzieć już nigdy więcej! Jak ona musiała go nienawidzić! Jak ona musi nim teraz pogardzać! I nienawidzi go na pewno z całej duszy, teraz na nowo.

Instynktownie podniósł ręce i zasłonił twarz dłońmi. Zdawało mu się, że cały świat zamarł na chwilę, gdy on tak stał, zawstydzony, ze złamanym sercem, milczący. Po chwili rozległy się kroki, ciężkie kroki, zmierzające korytarzem w tę stronę. Usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi. Czar prysnął. Ręce Lance'a opadły. Był znowu Lance'em Madokiem. Już nie Amosem Beyvinem. Amos Beyvin urodził się po raz wtóry w tej minucie cudownej radości i niewymownej rozpaczycy zarazem, urodził się po to tylko, by zostać pogrzebanym po raz drugi.

— A! podobno dzielnie się pan spisał, chłopcze! Niechże ci się przyjrzę!

Fay odeszła, czar prysnął. Lance widział teraz przed sobą małego, krępego mężczyznę o łysej głowie, na której widniały tu i ówdzie rzadkie kosmyki ciemnych włosów, starannie przyczesanych. Okrągła, płaska twarz, woń tytoniu, ubranie za duże, fruwające na wszystkie strony, kamizelka brązowa, wyraz jowialności, serdeczny, głośny śmiech, akcent cudzoziemski — oto ogólny obraz pana van Menterghema.

Niósł tacę, na której stał syfon i dwie szklanki, jedna z nich napełniona do połowy jakimś płynem. Postawił to wszystko na stoliku balkonowym.

— Spłoszył pan Fay — rzekł. — Zabawna kobieta. Po czym dodał gościnnie:

— Proszę usiąść. Czego się pan napije? Lance potrząsnął głową przecząco.

— Dziękuję panu, ale muszę już wracać.

— Dobrze, ale nie na sucho, pod żadnym pozorem! Pan Crumch nie wypatruje tam pana z taką niecierpliwością, jak pan sądzi! Wróci pan z jednym z moich ludzi na motocyklu dwuosobowym. Za długo przyszedłoby panu smażyć się na tym piekącym słońcu, jadąc na rowerze.

Nalał do szklanki wody sodowej i przyrządził whisky z sodą, po czym jowialnie, lecz stanowczo zmusił Lance'a do zajęcia miejsca w wygodnym fotelu, wepchnął mu szklankę do ręki i rzekł wesoło:

— Nie przyjeżdża pan wszakże z kraju prohibicji, mój przyjacielu i na pewno nie gardzi pan dobrym trunkiem. Cygaro?

Lance potrząsnął głową odmownie.

— To proszę zapalić swoją fajeczkę, jeżeli pan woli.

— Bardzo pan uprzejmy, sir.

Zbyt był zmęczony, by odpowiadać mniej lakonicznie. Pan van Menterghem był doprawdy nader uprzejmy. Nie można nie ulec takiej uprzejmości, byłoby to niegrzeczne. I rzeczywiście Lance nie bardzo widział się w tej chwili na rowerze, wymagającym pewnej sprawności sportowej... Już raczej z Emmą, swą ulubioną klaczą, byłby sobie poradził, taka była wnikliwa, taka zmyślna, ale z rowerem!... A pan van Menterghem ciągle mówił. Lance wtrącał od czasu do czasu jakieś



nieśmiało; „tak”, lub „nie”, lub „oczywiście”. Nie bardzo wiedział, co do niego mówi ten miły Holender. Tęsknił do okazji zadania mu pytań, dotyczących osoby Fay Mazelinie, jej obecności w tym domu, na jak długo?...

Oczy jego spoczywały na fotografii, przedstawiającej panią Mazelinę i Fay. Fotografia to stała na biurku na wprost niego, była to kopia tej, którą i on posiadał.

— Pan się źle czuje, młody człowieku — rzekł nagle pan van Menterghem. — Nie uważa pan na to, co mówię...

Lance zdobył się na wysiłek.

— Przepraszam pana najmocniej — rzekł — zastanawiałem się tylko...

— Nad czym?

— Te dwie panie na tej fotografii...

— Moja żona i moja pasierbica.

— Pańska pas... pańs...

— Pierwszym mężem mojej żony był pan Mazeline z Quebecu. Czyżby ich pan znał?

— Zdaje mi się... Nie jestem pewien...

Lance czuł, że mówi jak głupiec. Po co zadał to pytanie, na Boga?! Lepiej byłoby dla niego, gdyby nie wiedział. Fay tutaj! O niespełna 18 mil od farmy Crumcha! Dla Emmy dwie godziny drogi. Fay tak blisko niego!

— Tak jest, ocalił pan życie mojej żony, młodzieńcze! — ciągnął dalej pan van Menterghem w swój zwykły, jowialny sposób. — Teraz zna pan już moją rodzinę, o ile nie znał jej pan przedtem. Fay! Dziwna trochę dziewczyna, ale serce jak złoto i ubóstwia matkę. Natomiast, Tom (to mój pasierb)... czy jego też pan zna?

— Nie — odrzekł Lance bez trudu tym razem, gdyż istotnie Tom Mazeline był wówczas w szkołach, kiedy on, Lance, bawił u Mazelinów.

— Uparty chłopak — mówił pan van Menterghem, przy czym wykonał gest zniechęcenia. — Nie mogę z niego nic zrobić. Toteż przyszło mi na myśl... Widzi pan, przyjacielu — rzekł z nagłą decyzją w głosie. — Pan mi się podoba. Dziś dokonał pan rzeczy, której nigdy nie zapomnę i za którą winien panu jestem dozgonną wdzięczność. Niech pan powie szczerze, czy odpowiada panu praca u Crumcha?

— I owszem, sir — odrzekł Lance — o tyle, o ile...

— Nie chciałby pan poprawić swego losu?

— To, zależy... Pan Crumch okazał mi wiele życzliwości. Nie chciałbym sprawić mu kłopotu, opuszczając go zbyt nieoczekiwanie.

— A gdybym ja panu ofiarował o 10 dolarów tygodniowo więcej, niż on panu płaci? Ta sama robota, doglądając farmy ze mną razem, inwentarza, konie. Sprzedają różne towary za z góry określone komisowe. Potrzebny mi jest człowiek, któremu mógłbym zaufać... No, co pan na to? Pięćset dolarów miesięcznie w pierwszym roku. Osiemset w drugim...

— To brzmi zachęcająco — rzekł Lance — ale nie mogę porzucić pana Crumcha tak nieoczekiwanie.

— Słusznie, mój chłopcze. Podoba mi się ten punkt widzenia i zwiększa moje zaufanie do pana, ale ja podejmuję się załatwić to z panem Crumchem.

— Jak?

— Odstąpię mu człowieka, którego zgodziłem już parę lat temu i który ma dziesięciokrotne pańskie doświadczenie w sprawach żywego inwentarza. Pan Crumch szczęśliwy będzie, że posiadzie taką perłę. Nie mogłem się bez niego obejść dotychczas, ale teraz byłby mi zbędny, bo przechodzę stopniowo na innego rodzaju interesy. Zmniejszam farmę, a rozszerzam operacje finansowe. No! Cóż pan na to?

— Muszę poczekać na jego decyzję. Nie wiem, co pan Crumch na to powie.

— Zgadza się, ale niech pan z nim nie mówi o tym. Ja pierwszy tę sprawę poruszę.

Lance nie był zdecydowany. Zastanawiało go, co się kryje pod tą hojnością. Przecież pan van Menterghem nie znał go wcale. Ten zrozumiał wątpliwości młodego człowieka i zaczął nalegać tym goręcej.

— Proszę mnie posłuchać uważnie, mój przyjacielu — rzekł. — Wyjawię szczerze moje ukryte zamiary. Mój pasierb, Tom Mazeline, jest ustawicznym kłopotem dla matki, siostry i dla mnie. On zbacza z prostej drogi, widzi pan!... Ale nie jest to zły chłopak, tylko słaby charakter, rozumie pan, słaby charakter. Naturalnie wpływu na niego nie mam, jestem ojczymem, już to założenie jest niepomysłne, żadne z dzieci nie patrzyło przychylnym okiem na powtórne małżeństwo ich

matki. Tom był w rozpacz i nigdy mi nie przebaczył... Dołożyłem wszelkich starań, by przewyciężyć ich obawy i wstręty, ale z nim nie powiodło mi się, a jego matka jest chora i niesłuchanie uległa synowi. Dotychczas miałem pomoc w osobie Fay. Ale złośliwy los zrządził, że Fay teraz właśnie stąd odjedzie.

— Dotychczas?... — Lance zadrżał z przerażenia. Fay odjedzie? Utraci ją natychmiast po tym cudownym spotkaniu? Czyżby...?

Ale pan van Menterghem nie mógł zdać sobie sprawy, że potrafił o najczulszą strunę w jego duszy. Spokojnie mówił dalej, tylko uśmiech znikł z jego twarzy, która teraz wyrażała troskę i niepokój.

— Fay ma wielki wpływ na tego chłopca, on po swojemu kocha ją więcej niż matkę. Ale cóż z tego?...

Jak to, cóż z tego? Co ten człowiek mówi?!... — Widzi pan, po pierwsze, ona jest już prawie jak zameżna...

Zameżna? Ach więc to tak? Lance domyślał się tego od dawna. Przeczuł, że te słowa padną z ust Holendra, a jednak nie był na nie przygotowany. Był zdumiony, zaskoczony, niezdolny do zebrania myśli. Zupełnie machinalnie przemówił:

— Zameżna, powiedział pan?

— No, tak... To znaczy, wyjdzie za mąż niebawem. Dotychczas nie dała mu kosza.

— Komu?

— Panu Oskarowi Horfmanowi — rzekł pan van Menterghem, wymieniając to nazwisko z prostotą, jakby szło o najzwyklejszego śmiertelnika, a nie o łotra, zbrodniarza, szatana, który ma porwać ukochaną Fay, która była jego na wieki, była... Nie, ona już jest jego Fay... bo on postąpił jak ostatni głupiec, sprzeniewierzył jej się, ale niemniej Fay była jedyną na świecie, była ubóstwiana...

Mr Oskar Horfman?

Pamiętał go. Przypomnił sobie w tej chwili tego człowieka, który dziś od rana kręcił się koło pana Crumcha i chciał kupić klacz. Lance uprzytomnił sobie jego rysy tak dokładnie, jakby ten człowiek stał tutaj przed nim. Mały czarny wąsik, czarne włosy, szrama na lewym policzku, eleganckie bryczesy do jazdy konnej, dobrze skrojone ubranie, złoty sygnet na palcu, wysoki kołnierz, kosztowna papierośnica, despotyczny dźwięk głosu, akcent niemiecki.

Wszystko to widział i słyszał najwyraź-

niej. Psy szczekały. — Odpędzić psy! — wołał ten głos rozkazujący, arogancki. Czyż do pomyslenia była podobna postać w związku z uroczą, subtelną Fay. To małżeństwo nie dojdzie nigdy do skutku! Nigdy w życiu!

Pan van Menterghem zatroskany ciągnął dalej:

— Pieniądzy ma huk, wie pan, jest przyzwoity w interesach; w ogóle elegancki człowiek, zobaczy go pan zresztą, przyjdzie tu za kilka dni, bo są już faktycznie zaręczeni...

Faktycznie zaręczeni! Boże wielki!

— Skoro Fay opuści dom, nie wiem, kto potrafi okiełznać tego chłopca. Nikt nie ma wpływu na niego, nikt, prócz Fay... Matka jest taka słaba... Sądziłem, że może pan...

— Ja? Dlaczego pan przypuszcza, że ja?...

— No, wiem o panu bardzo dużo, więcej niż pan się domyśla...

— Pan wie o mnie bardzo dużo?

Czy ten człowiek oszalał? Wiedział o... Co on wiedział, do licha!

— I chce pan, żebym ja?...

— Właśnie. Chcę, żeby pan był moim sekretarzem, moją prawą ręką, jak pan zresztą zechce to nazwać. A żeby pan równocześnie pilnował chłopca, wpływał na niego dodatnio. Ja myślę, że jemu dobrze zrobi życie na świeżym powietrzu, jazda konna, polowanie, rybołówstwo, a pan jest wspaniałym jeźdźcem. On nigdy nie uprawiał sportów.

— Ale dlaczego na mnie padł pański wybór?

— Bo jest pan sympatyczny, bo polubiłem pana... lubię młodych Anglików, tych zwłaszcza, którzy pochodzą z dobrych rodzin, a mimo to nie lękają się pracy.

— Skąd pan wie?

— Co?

— O moim pochodzeniu? W ogóle o mnie... cokolwiek?

— O, to bardzo proste, chłopcze. Miss Browne poinformowała mnie dokładnie.

Lance ściągnął brwi. Nie mógł żadną miarą zorientować się w tej chwili, kto to jest miss Browne.

— Pielęgniarka mojej żony, nasza Nurse — tłumaczył pan van Menterghem. — Opowiedziała mi, jak dzielnie się pan spisał dziś rano, żona to potwierdziła, ale moja żona nie zna pana: miss Browne

natomiast poznała pana podobno nad Jeziorami w Winnipeg rok temu — pracował pan u jej znajomych, jako szofer — ona potwierdziła mi to, że pan jest Anglikiem i gentlemanem — to mi wystarcza.

— To wszystko, co panu powiedziała?

Zacna mała! Kochane Błękitne Oczy! Pięknie to z jej strony, że w takim świetle go przedstawiła.

— Tak. To wszystko. Ale to mądra kobieta. Widziała w życiu niejedno. Mam zaufanie do jej sądu o ludziach, no i do mego własnego węchu. No, cóż pan na to?

Bóg widzi, że Lance miał ochotę powiedzieć „nie” bez pozornego umotywowania, aby zerwać z przeszłością raz na zawsze. Wyjechał z Winnipeg, (choć miał tam bardzo dobrą posadę), ponieważ te ciągłe spotkania z Błękitnymi Oczami nie pozwalały mu zabić rany. Wciąż miał przed oczami Anglię, nocny klub, Muriel Lampriere, celę więzienną, wyrok, katastrofę kolejową. Przeżywał powtórnie wszystko i każde zdarzenie oddzielnie. Lubił bardzo Błękitne Oczy. Przy niej odpoczywał, taka była stateczna, zrównoważona. Była spokojem, ale nie była zapomnieniem. A teraz, przyjmując propozycję Holendra, wchodził w stały kontakt z przeszłością. Przeszłość tę uosabiałyby teraz nie tylko Błękitne Oczy, lecz również pani van Menterghem. Rozsądek, chłopski rozum, instynkt samozachowawczy, nakazywały odmówić, zachować przynajmniej tę zaporę 18-milową między sobą a przeszłością. A głos rozsądku krzyczał nawet, że należy powiększyć przestrzeń, dzielącą go od Menterghemów, pomnożyć kilometry, dzielące go od dawnego Amosa Beyvina.

I prawdopodobnie Lance powiedziałby ostatecznie „nie” w odpowiedzi na propozycję pana van Menterghema. Już zaczął: — Dziękuję, sir, ale doprawdy, chociaż pan jest bardzo uprzejmy... — ale w tejże chwili spojrzął na park, leżący przed nim i poczuł woń starego drzewa orzechowego; spojrzął w tym kierunku i dostrzegł... Fay.

Fay była w ogrodzie. Była zwrócona plecami do domu. Ale widział tę jej uroczą, smukłą linię, te śliczne, rasowe nóżki w jedwabnych pończochach, trzewiczki na wysokich obcasach, obnażone ramiona, bladą różową skórę, chwilowo mocniej zaróżowioną od świeżego, wiosennego powietrza. Widział jej włosy barwy dojrzałego zboża, rozwiewane przez wietrzyk. Pan van Menterghem czekał cierpliwie, zadowolony, że Lance

rozważa jego propozycję. Lance zaś, patrząc na Fay, stojącą w ogrodzie, nie mógł powiedzieć „nie”, chociaż dyktował mu to rozum, domagający się tego wielkim głosem.

W następnej chwili usłyszał szum motoru zbliżającego się ku nim od strony domu. W minutę później ukazał się w ogrodzie młody człowiek. Fay odwróciła się na odgłos kroków. Uśmiechnęła się. Mężczyzna podszedł bliżej. Lance widział tylko jego profil, ale linie tego profilu były niemal identyczne z rysunkiem twarzyczki Fay. Włosy miał ciemno-błąd. Nie nosił kapelusza, szedł z pochyloną głową, trzymając ręce w kieszeniach. Jakże czarująco wyglądała Fay z tym uśmieszkiem na ustach! Ten chłopiec był to naturalnie brat jej, Tom. Łagodnym ruchem wzięła go teraz pod rękę! Lance widział wyraźnie obie ich twarze. Podobieństwo było uderzające, a jednak, rzecz dziwna, wyraz siły zdradzała raczej twarzyczka dziewczęcia. Chłopiec miał koło ust rys słabości, niemocy, spoglądał spode łba, nieufnie, gdy tymczasem Fay patrzyła szczerze i odważnie przed siebie. Na brata spoglądała z macierzyńską czułością, tak, jak matka spogląda na chore dziecko.

— Chłopiec znów coś przeszkrobał, założyłbym się — rzekł pan van Menterghem, — Znam dobrze to jego spojrzenie. Nie śmie się przyznać matce, bo ona powiedziała mi o tym, idzie zatem na spowiedź do siostry. Miał rację stary van Menterghem. Fay przytuliła się do ramienia brata i patrząc mu prosto w twarz mówiła do niego powoli, poważnie. Lance nie słyszał słów, ale po ruchach warg i po potrząsaniu śliczną główką zgadywał to i owo. Chłopiec najwidoczniej zacinał się w uporze, patrzył w ziemię i wywierał swoją złość na żwirze ogrodowym. Wyrwał zniecierpliwiony ramię, na którym Fay opierała się tak czule. Lance miał ochotę przeskoczyć poręcz balkonową i sprawić mu porządne lanie.

— O tym właśnie myślę z takim strapieniem — rzekł van Menterghem. — Że gdy Fay wyjdzie za mąż, nie będzie tu nikogo...

Fay wyjdzie za mąż! Wielkie nieba!

Pan van Menterghem wstał i poklepał Lance'a po ramieniu.

— Niech pan to wszystko przemyśli, młody przyjacielu — rzekł. — Ja zaś pójdę naradzić się nad paroma kwestiami z panem Horfmanem. Wrócę za parę minut.

Pan Horfman! Ten człowiek, który zabierze mu... który ma czelność sięgać po Fay... To nie może się stać przenigdy! Lance skoczył na równe nogi.

— Już przemyślałem wszystko — rzekł. — Jeżeli pan dojdzie do porozumienia z panem Crumchem, służę panu.

— Wybornie! — krzyknął ucieszony pan van Menterghem. — A zatem!...

I wyciągnął ku niemu otwartą dłoń. Twarz Holendra promieniała radością.

— Mam nadzieję, że nie zawiodę pana oczekiwania — rzekł Lance tonem skruszonego grzesznika. Uścisnął podaną sobie rękę swą dłonią, szorstką i chropowatą, dłonią gentlemana, który nie cofa się przed pracą fizyczną. Holender zatrzymał przez chwilę tę dłoń w serdecznym uścisku i w ten sposób zawarty został niemy pakt przymierza między tymi dwoma mężczyznami.

\* \* \*

Lance pozostał w pokoju: cofnął się nieco i obserwował Fay. Słyszał jowialny głos pana van Menterghem, wołający „bywajcie”, następnie zaś akcent teutoński owego człowieka, którego nienawidził tak namiętnie i głęboko, jakby był dzikim Indianinem. Ten śmiałek, który pozwala sobie marzyć o Fay, z którym Fay — O! Boże! — jest prawie zaręczona.

Oparty o framugę okna balkonowego, ukryty do połowy za firanką, Lance stał i patrzył. Fay nie robiła wrażenia szczęśliwej. Lance nie mógł oczywiście słyszeć słów, jakie mówiła, ale widział dobrze, iż nie jest szczęśliwa. Przekonywała i prosiła: parę razy podniosła rękę do oczu, by obetrzeć łzę. A ten chłopak, Tom, robił wrażenie zaciętego i nieprzejednanego! Stał z głową pochyloną, z rękami w kieszeniach spodni. Ilekroć Fay kładła mu rękę na ramieniu odpychał ją niechętnie, brutalnie niekiedy. Lance wyciągnął szyję. Młodość jest rozrzutna, gdy chodzi o lata życia; Lance byłby ich oddał 5, 10, byle słyszeć, co oni mówią.

Zapomniał o panu Crumchu, o swej powinności rychłego powrotu do roboty, o całym świecie. Stał i patrzył.

Pół godziny minęło. Może więcej. W końcu Tom Mazeline, nie wyjmując rąk z kieszeni, zawrócił i poszedł ku domowi. Miał wciąż ten sam wyraz uporczywości i zaciętości. Na pożegnanie pocałował lekko Fay w policzek. Ale ani się obejrzał, by spojrzeć na nią jeszcze, jakkolwiek jej twarz zwrócona była ku niemu z takim napięciem uczucia, jakie tylko Fay umiała wyrażać mimiką. Tom znikł za węgłem domu i w dwie minuty później Lance usłyszał jego kroki w hallu. Fay pozostała przez chwilę w ogrodzie pod drzewem orzechowym, po czym przechadzała się parę minut i skręciła wreszcie w boczną aleję, która prowadziła w kierunku łąk. Lance'a myśl pracowała bezustannie. Nagle postanowił i jednym susem przesadził poręcz balkonową i pobiegł na przełaj trawnikiem za znikającą w oddali Fay. Stał przed nią niespodzianie, jakby z ziemi wyrósł. Siedziała na kamieniu patrząc poprzez drzewa na piękny krajobraz roztaczający się poza obrębem parku. Patrzyła na tę piękną przyrodę przez łzy, obficie spływające z jej oczu. Na odgłos kroków Lance'a, podniosła głowę, wytarła oczy pośpiesznie, nie wiedząc jeszcze, kto nadchodzi. — Fay!!

Podniosła się bardzo powoli, nie patrząc na niego. Nie istniał dla niej. Ale widocznie pragnęła odejść, uniknąć jego niepożądanego obecności. Lecz uwięziona była w tej gęstwinie, Lance zagradzał jej jedyne wyjście, możliwe dla niej i dla jej sukienki, z którą krzewy obeszłyby się niemiłosiernie.

— To się na nic nie zda, Fay — rzekł Lance spokojnie. — Poznałaś mnie od razu. Tak, to naprawdę ja, nie umarłem, żyję — dodał niezbyt inteligentnie.

— Przepraszam, ale chciałabym być sama... — rzekła Fay, również z całym spokojem.

— Nie zgadzam się. Musisz mnie wysłuchać, Fay. Muszę ci opowiedzieć, jak się to stało, że żyję. Ocalałem w owej katastrofie kolejowej, nie zginąłem, powinienem był zginąć, ale — ocalałem. Kochana, słodka istota zabrała mnie do siebie i doglądała mnie, jak anioł z nieba...

— Miss Lampriere, przypuszczam — rzekła Fay.

Lance nie zrozumiał, o kim ona mówi. Myślał intensywnie o Błękitnych Oczach, a tutaj była przed nim Fay... Ach prawda! Muriel... Lance



zupełnie o niej zapomniał, a jednak Fay, stojąca tutaj przed nim, o tysiące mil od tamtej, Fay pamiętała...

— Widzę, że jesteś poinformowana o wszystkim, Fay — spytał Lance.

— O wszystkim, może nie... ale to już tak dawno, że w ogóle...

— Że w ogóle zapomniałaś?

— Przepraszam, idę już — szepnęła nieco zmieszana.

— Nie puszczę cię jeszcze — odparł. — Wysłuchaj mnie. Naturalnie wiem, że w twych oczach uchodzę za zwykłego przestępcę. Jestem zbiegiem z więzienia, na to nie ma rady, nie odsiedziałem nawet mojej kary. Cięży na mnie plama celi aresztanckiej i wyroku karnego. Żeby nie cud, byłbym wstawał o piątej rano, czyściłbym sam moją celę i nosił najokropniejsze odzienie, jakie kiedykolwiek widziałem. Uniknąłem tego, tym gorzej bodaj dla mego sumienia. Ale przysięgam ci, że nie miałem zamiaru zabić tego policjanta, chciałem go tylko unieszkodliwić, powaliwszy go na ziemię, a że jestem niezwykle silny, a przy tym za dużo wypilem, więc nie panowałem nad uderzeniem i o mało co nie narobiłem strasznego nieszczęścia. Przy tym pragnąłem wydobyć Muriel z tej opresji.

Przerwał, bo tchu mu brakło, ale oczy jego, palące, wpijały się w jej twarz.

Badawczo z utęsknieniem, wpatrywał się w te drogie rysy, modląc się o uśmiech, o mniej twarde słowo z jej ust.

— Bóg widzi, że ciężkie chwile przebyłem, Fay — ciągnął dalej. Ona najwidoczniej nie miała ochoty rozmawiać, milczała uparcie.

— Śmiało rzec mogę, że zasłużyłem na ten srogi los, ale nie za powalenie na podłogę tego człowieka, o nie, za inne przewinienia. Ale zlitowała się nade mną kobieta, przez Boga mi zesłana i dała mi możliwość zrehabilitowania się. Ta kobieta, którą...

— Muriel?

— Nie. Skądże! Błękitne Oczy, rzecz jasna!

— Któż to jest „Błękitne Oczy”?

— Właśnie chciałem ci o niej powiedzieć.

— Czy to konieczne?

— Tak, konieczne, ponieważ Błękitne Oczy, to pielęgniarzka twojej matki.

— Nurse Browne?

— Tak. Ona to przeniosła mnie z toru kolejowego do mieszkania swego brata. Tam, znalazła dla mnie paszport, paszport... znajomego, który zginął w owej katastrofie; ona i brat jej postanowili, że dadzą mi możliwość zrehabilitowania się. Wyjechałem do Kanady. Pracowałem w garażu w Winnipeg. Potem byłem kolejno kelnerem, pracownikiem rolnym, szoferem. Teraz pracuję u pana Crumcha, ale zrezygnuję z tej posady i przeniosę się tutaj, gdzie mam zostać sekretarzem ojczyma twego, Fay.

Zwróciła się ku niemu i nareszcie spojrzała mu prosto w oczy.

— Tego pan nie robi — rzekła.

— Zrobię. A wiesz dlaczego?

— Nie wiem i wiedzieć nie chcę. Ale nie przyjedzie pan tutaj...

— Przyjadę, by wyrzeć wpływ na twego brata, Fay, na Toma. Wzruszyła pogardliwie ramionami i zaśmiała się twardo, szydęrczo.

— Tylko tyle?

— To brzmi zabawnie, przyznaję — mówił dalej, niezmiuszany

— ale twój ojczym, nie mogę jeszcze zapamiętać jego nazwiska!

— pragnie, by Tom prowadził życie bardziej sportowe. Mamy się zajmować rybołówstwem, polowaniem, jeździć konno. Pomyślał więc, że ja będę do tego...

— Ach! Wiem! Powiedziano mi, że pan ocalił życie mojej matce i jej pielęgniarce i teraz rozumiem, dlaczego...

— I dlatego nie odprawisz mnie niemiłosiernie, Fay. Rozumiem, że mnie już nie kochasz, że nie masz dla mnie szacunku, trudno! Ale matce twej ocaliłem życie, to fakt, a właściwie dokonała tego moja klacz, która pędziła jak wichur.

— Ma pan zupełną rację; mr Beyvin — rzekła Fay nieco surowo. — Nie wolno mi pana odprawić stąd, jeżeli pan sam nie chce się oddalić.

— Nie nazywaj mnie mr Beyvin — rzekł, — Dla ciebie nigdy nie byłem mr Beyvin. Byłem Amosem od pierwszego spotkania, pamiętasz?...

— Nie! — odparła ponuro.

— Niemniej tak było — mówił nie zbity z tropu. — Obecnie zaś nazywam się Lance Madoc, tak brzmi mój paszport.

— Możliwe — rzekła zimno — ale mr Lance Madoc, nie będzie pan pracował w tej farmie.

— Będę, doprawdy, i powiem ci zaraz dlaczego: twój brat, Tom, będzie tak długo błądził, aż dostanie się tam, skąd mnie tylko cud wyratował.

— A cóż pan może uczynić, by temu zapobiec? — zapytała cichym głosem, a Lance modlił się w duszy, by słodkie spojrzenie, towarzyszące tym wyrazom, odniosło się choć w części do niego, a nie całkowicie do tego łobuza Toma.

— Mogę z nim jeździć konno i polować. Mogę z nim robić wycieczki, zwiedzać okolice. Jeżeli nawet Tom zetknął się już z nieodpowiednim towarzystwem, to kontakt z przyrodą rychło go uzdrowi. Ona przyczynia się pierwszorzędnie do uzdrowienia duszy i serca ludzkiego. A poza tym...

Urwał. Zapatrzył się na śnieżne wierzchołkim rysujące się w dali, na tle błękitnego nieba. Wchłaniał w siebie piękno i szczęście, jakim darzyła go sama jej obecność. Milczenie przedłużało się tak dalece, że mimo woli Fay przerwała je pierwsza, bo zaczynało jej to ciążyć.

— A poza tym co? spytała.

Zdawał się budzić ze snu i odrzekł z wolna, mówiąc z większym naciskiem i większą powagą, niż przed chwilą:

— Ja wiem, co jest niebezpiecznego w charakterze Toma. Przeszedłem sam to wszystko. Tylko ja nie miałem nikogo...

— Byłeś takim gorącym zwolennikiem zabaw, wszelkich wrażeń z zewnątrz, Amosie, pardon, Lanie, chciałam powiedzieć. Ja nie mogłam pojąć...

— Ja sam teraz nie mogę pojąć. Ale samotny młody człowiek łącno schodzi na manowce. A dziewczęta w dzisiejszej Europie nie troszczą się o los mężczyzny, byle dzięki niemu zaspokoily na razie swą żądzę uciech. No, zapłaciłem za swą uległość, czyż nie? — dodał ze śmiechem. — Ale gdy słyszę, że twój własny brat jest na drodze do tejże przepaści, rozum mi staje, nie chcę myśleć o tym i muszę, muszę, być tym, który temu zapobiegnie...

Milczał. Zapytał znienacka:

— Powiedz, Fay, ufasz mi, że będę dawał dobre rady Tomowi?

— Doprawdy, nie wiem — rzekła z wolna.

— Masz słuszość. Nie wiesz. Ale spróbuje cię przekonać. A nie możesz mi przeszkodzić w układach z twym ojczymem, właśnie dlatego, że mogłabyś mu zaszkodzić tak łatwo...

— Skąd ta pewność? Gdybym uważała...

— O! Zapewne, gdybyś mnie posądzała, że jestem takim złoczyńcą, iż rozmyślnie będę psuł do reszty charakter Tomowi, nie cofnęłabyś się przed wydaniem mojej tajemnicy. Ale jak dalece ufasz mi, nie zdając sobie z tego sprawy, tego dowodzi fakt, że to ci nawet na myśl nie przyszło.

— A czyją winą byłoby, gdyby mi podobne myśli przyszły do głowy?...

Ale nie dał jej dokończyć. Milczenie jej wprawdzie też mu ciążyło, ale to zimne rozumowanie, ten chłód w obejściu tak były niepodobne do jego czulej, tkliwej Fay, że wołał, by nie mówiła. Obawiał się, że powie coś strasznego, coś, co zniweczy w nim wszelkie nadzieje, coś, czego nie można wymazać. Więc znów jej przerwał:

— Jestem wyrzutkiem społeczeństwa w twoich oczach, wiem o tym. Ale nie chcę, byś mi to w twarz rzuciła. Czyż nie domyślasz się, że ja siebie obrzuciłem wszystkimi obelżywymi epitetami, jakie są w słowniku ludzkim? Ale zniosę je od siebie, od każdego człowieka, tylko nie od ciebie. Ty możesz mnie pchnąć do rozpaczyny ostatecznej. Mógłbym zapomnieć o wszystkim, porwać cię przemocą w ramiona i całować cię, ażbym się nasycił, jeżeli to możliwe, twymi słodkimi ustami, a na to trzeba byłoby czekać wieczność w najlepszym razie. A wiem, że wtedy obraziłbym cię śmiertelnie, bezbronną, małą istotę, której bliskość tu, na mych piersiach roznamiętniłaby mnie do szaleństwa, aż uniósłbym cię bezwładną, uniósłbym cię gdzieś do kraju dzikich, gdzie już nikt nie zdołałby nas rozłączyć...

Przerwał nagle te namiętne wynurzenia i rzekł z łkaniem w głosie:

— Kocham cię dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek w przeszłości. Wzruszyła ramionami i mruknęła obojętnie:

— Ech!

— Wiem, że ci na tym nie zależy — ciągnął dalej. — Ale faktem jest, że nigdy nie przestałem cię kochać.

— To jest oczywistym kłamstwem — odparła wzgardliwie.

— To nie kłamstwo, to prawda. Ubóstwiam cię i nigdy ubóstwiać cię nie przestałem.

— Głupstwa mówi pan teraz, sam pan wie o tym i...

— Wiem, co powiesz. Że nie kochałem cię nigdy, ale to nieprawda. Że cię zapomniałem, że kochałem inne kobiety

— to nieprawda

— a przynajmniej to niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Nie zapomniałem cię nigdy, a stosunki moje z innymi kobietami, te stosunki, których echo doszło do ciebie, miały pozory miłości, ale nie miały z prawdziwym uczuciem nic wspólnego. Prawdą jest, że żyłem jak głupiec, jak szaleniec i za to powinni byli mnie powiesić, a nie za rzekome usiłowanie zabójstwa. I tego ty mi nie możesz przebaczyć. Wiem. I rozumiem. Ale jeżeli mnie nienawidzisz bardziej niż dotychczas, pamiętaj, że ja cię zawsze kochałem całą duszą i całym sercem i że w tejże chwili, kiedy ty mnie odpychasz i pragniesz pozbyć się mnie z tego domu, ja tęsknię do ciebie tak, że prawdopodobnie oszaleję niebawem.

— Mam wrażenie, że to już nastąpiło — rzekła Fay chłodno

— w przeciwnym razie nie usłyszałabym tylu głupstw.

— Możliwe — odrzekł Lance spokojnie. — Znęcaj się nad ofiarą, która leży u stóp twoich. Ja dobrze wiem, że nigdy w życiu nie będzie mi już dane pocałować cię, Fay, chociaż zapewne nie oprę się pokusie ukradzenia pocałunku. Więcej mnie nienawidzić już nie będziesz, bo to niemożliwe. Ale pozwól sobie oznajmić jedno przez tego głupca, którego wyśmiewasz, a mianowicie, że nie wyjdiesz za mąż za pana Horfmana. Temu potrafię przeszkodzić!

„Prawie zaręczona!” powiedział twój ojczym. Doprawdy? Otóż jeżeli masz się zaręczyć za mego życia z innym mężczyzną, to musi to być człowiek miły, przyzwoity, słowem mężczyzna, a nie byle kto. A teraz odjadę stąd. Ktoś może nadejść, nie chcę by nas widziano razem, a zwłaszcza, bym w przystępie szału, że mi przerwano sam na sam z tobą, roztrzaskał czyjąś głowę o kamienie ogrodu. A ty nie odwracaj głowy ode mnie, bo ja myślę ciągle o twych ustach, o twych oczach i...

I zanim zdołała temu zapobiec, zanim się ruszyła z miejsca, zanim sobie uprzytomniła, co się z nią dzieje, porwał ją w objęcia i poczuła deszcz pocałunków namiętnych, szalonych, na swych ustach, na włosach i szyi. Aż wtem równie niespodzianie — już nic... Lance'a nie było przy niej. Ujrzała go, biegnącego na przełaj trawnikiem. Jeszcze

kilka sekund — i znikł za murami domu. A Fay Mazeline stała na miejscu, na którym ją zostawił, zbyt rozgniewana lub po prostu zbyt oszołomiona, by odzyskać zaraz równowagę.

\* \* \*

Wejście Lance'a Madoca w skład personelu van Menterghemów przyjęte zostało w różny sposób przez różnych członków rodziny. Sam pan domu był zachwycony swoim wyborem towarzysza dla tego urwisa Toma.

— Trzeba go trzymać z daleka od hazardu i pijatyk w Glamisdale, a chłopak może stać się porządnym człowiekiem, nie za późno jeszcze! — rzekł do Fay, która słuchała jego zachwyty nad Lancem z obojętnością i owym niemym zastrzeżeniem, oznaczającym: „Nic nie wiem o tym człowieku, nie mogę sądzić go ani dodatnio, ani ujemnie”.

— Ale czy nie jest ci on sympatyczny? — nalegał pan van Menterghem, który upodobał sobie Madoca i uważał obojętność Fay za nieuzasadnioną.

— Ja myślałem — mówił — że będziesz skakać z radości, dowiedziawszy się, iż Tom ma zapewnione towarzystwo i opiekę, a Madoc jest...

— Dobrze! — przerwała zniecierpliwiona — nie wiemy jeszcze, jak się Tom odniesie do tego nowego nabytku. Może nie będzie go mógł znieść po prostu?

— Mamy czas na przewidywanie takich trudności — odrzekł pan van Menterghem sentencjonalnie. — Mam spokój sumienia, że zrobiłem co należy dla Toma i że zdołam może zapobiec zgubnym konsekwencjom jego lekkomyślności.

Nie powiedział Fay, że już dwukrotnie w ciągu zaledwie sześciu miesięcy, zapłacił za Toma długi karciane w wysokości około czterech tysięcy dolarów, że za każdym razem Tom solennie mu przyrzekał poprawę i opamiętanie. Obiecywał, że nie dotknie kart więcej i wyrzeknie się alkoholu. Nie powiedział jej również, że przed miesiącem Tom zjawiał się po raz trzeci w jego gabinecie z tą samą opowieścią o znacznej przegranej w pokera, o tym, co pompatycznie nazywał długiem honorowym.

Tym razem pan van Menterghem powiedział: Stop! I nie dał ani grosza. Tom pobladł i od tej pory chodził z ponurym wejrzeniem. Ale w ostatnich czasach wypogodził się znowu. Ojczym sądził, że chmura przeszła, że Tom otrzymał zbawienną lekcję, widząc, że nie może dysponować portfelem rodzicielskim, że się ustatkował. Ale w ciągu ostatnich dwu dni chłopak wyglądał znów przerażająco. Pan van Menterghem był przygotowany na ponowne żądanie pieniędzy, na ponowne przyrzeczenia poprawy, ale był zdecydowany, że kategorycznie odmówi. Nie był to człowiek, który cofał raz dane słowo. Przyrzeczenie jego było święte, ale skoro raz powiedział: „nie”, było to „nie” na zawsze. Był on zawziętym wrogiem tych przywar, które gubiły Toma Mazeline'a. Starał się tylko w miarę możliwości ustrzec Toma od konsekwencji jego lekkomyślności. Z domu nie mógł go przecież wyrzucić. Dokąd by chłopak poszedł? Byłby wydany na pastwę swych towarzyszy gry i pijatyki i rychło zapewne dostałby się do więzienia. Zjawienie się Lance'a Madoca uważał pan van Menterghem za opatrnościowe zrządzenie losu. Był zachwycony. Pani van Menterghem również. Była ona szczerze wdzięczna mężowi za wszystko, co robił dla jej syna, a wierzyła bezwzględnie, że on zawsze postępuje właściwie i że rzadko kiedy myli się w sądach.

— Życie na wsi uzdrowi Toma moralnie — powiedział pan van Menterghem. Słyszała ona o „drobnych wykroczeniach” Toma, niejednokrotnie dawała Tomowi w tajemnicy przed mężem pokaźne sumki pieniędzy, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, by te długie karciane były czymś innym, niż wybrykiem młodości.

— Tom jest taki inteligentny i taki dumny — mówiła. — Dostał się między graczy, a nie ma jeszcze doświadczenia, więc ulega pokusie.

Niestety, musiała przyznać nawet ona, ta słaba matka, że Tom nigdy nie celował w sportach, ani w szkole, ani w wyższej uczelni, a już teraz mniej niż kiedykolwiek. Na koniu źle się czuł, a polowania bał się jak ognia.

— Kochany chłopiec — mówiła matka. — On jest taki wrażliwy. Nie lubi brutalnych sportów, nie chce zabijać niewinnych stworzeń.

Ale gdyby ten nowy młody człowiek — jakże on się nazywa? — mógł nakłonić Toma do tych rozrywek, byłoby to wyborne! Pani van Menterghem gotowa była otworzyć mu serce, temu zacnemu chłopcu,

który ocalił jej życie, a teraz zaopiekuje się Tomem. Nurse była wszakże również zdania, że pan van Menterghem powziął świetną myśl, przydzielając ich wybawcę do osoby Toma.

— Będą razem chodzili na przechadzkę. Razem będą polować i łowić ryby. A pani mówi, Nurse, że on jest podupadłym Anglikiem z towarzystwa, prawda?

Nurse powiedziała to, a teraz potwierdziła w swój spokojny, cichy sposób.

Lance wrócił do fermy pana Crumcha i powiedział mu o ewentualnym opuszczeniu posady, którą zajmował u niego.

Stało na tym, że pojedzie na stałe do Bootham, skoro tylko Mr Crumch będzie mógł się obejść bez niego.

Prawdopodobnie w ciągu tygodnia pan Crumch go zwolni. Fay ma czas przygotować matkę, że ujrzy przed sobą człowieka, którego pani van Menterghem знаła ongiś, jako Amosa Beyvina. Trudne zadanie, jak ona się z tego wywiąże? Jaką postawę zajmie wobec tego faktu jej łagodna, słodka matka, nie zdająca sobie sprawy z wielu rzeczy, nie mająca własnego zdania na żadną kwestię? Co ona powie, skoro zaskoczy ją taki dziwny fakt: „Ten Lance Madoc, który do nas przyjeżdża na stałe, jest to Amos Beyvin. Czy pozwolisz na to?”. To były słowa, jakimi Fay powinna była zagać rozmowę z matką.

A Fay wiedziała dobrze, co matka uczyni w takim wypadku. Załamie ręce, wzniesie oczy ku niebu i zacznie zawodzić, że jej Tom, jej nieskazitelny, ukochany, jej godny kochania Tom, będzie miał towarzysza, który cudem zbiegł z więzienia, który był publicznie sądzony, napiętnowany, skazany za usiłowanie zabójstwa. Dni, a nawet tygodnie musiałyby potrwać przekonywanie matki, zwalczanie jej wstrętu, powoływanie się na bohaterskie zatrzymanie pędzącego ekspresu i ocalenie jej życia z narażeniem własnego... Fay wiedziała, że matka jej o byle co dostaje spazmów, że jest naturą słabą, płaczącą, bezkrytyczną i upartą. Wiedziała, że prędzej czy później pani van Menterghem ustąpi, że przemawiają do jej serca zwłaszcza wszelkie melodramatyczne wykrzykniki: „A gdzież wdzięczność?! Czyż nie masz serca!” i tym podobne; wiedziała, że w końcu pani van Menterghem zgodzi się dochować sekretu tożsamości Madoca dla dobra samego Toma, ale, że w ciągu tegoż dnia poczciwa



kobieta wypaple wszystko przed Nurse, przed swym mężem, przed każdym, kto będzie chciał słuchać jej zwierzeń. A z wielu względów nie chciała Fay, by matka odprawiła Lance'a Madoca, lub wydała jego tajemnicę. Czuła, choć bardzo niejasno, że należy mu dać możliwość zrehabilitowania się na tej półkuli, gdzie mężczyzna może bez ujmy zajmować najniższe stanowisko społeczne i dowieść swej prawdziwej wartości.

Istniała druga możliwość. Można było oznajmić pani van Menterghem następującą nowinę:

— Ten młody człowiek, który tu przyjeżdża na posadę, jest przystojny. Będzie ci się podobał na pewno. Ciekawa jestem, czy dojrzysz podobieństwo...

— Jakie podobieństwo?

— Jest on wręcz niesłychanie podobny do Amosa Beyvina. Nigdy w życiu nie widziałam takiego stopnia podobieństwa między dwoma ludźmi. Amos zginął w owej katastrofie kolejowej, wiadomo, ale ten Madoc jest z pewnością jego sobowtorem.

Na tym skończyłaby się rozmowa. Pani van Menterghem widywałaby Madoca nader rzadko. On będzie wszak zajęty poza obrębem fermy, w domu rzadko kiedy będzie podczas posiłków. Pani van Menterghem zaś wyjeżdża tylko czasami powozem na przejażdżkę ze starym Samem Tonnerem na koźle. Skoro zobaczy Madoca, będzie już przygotowana na to „podobieństwo”. Oczywiście mówić będzie z każdym o tym uderzającym podobieństwie, ale tylko dopóki inne wrażenie nie przykryje jej ptasiego mózdzku, po czym zapomni rychło o tym zbiegu okoliczności, czy jakby to nazwała.

To był bodaj najmądrzejszy plan. To było najmniejsze ryzyko. Fay rozważała tę sprawę w ciągu kilku dni i tyleż bezsennych nocy. Wreszcie jednego ranka weszła do pokoju matki i rzekła:

— Słyszałaś, kochana mamusiu, o tym nowo zaangażowanym człowieku, który według pana van Menterghem będzie wymarzonym towarzyszem dla Toma?

Pani van Menterghem słyszała o nim od Nurse, która poznała go ubiegłej jesieni w Winnipeg. — Nieprawdaż, Nurse? Nurse rzekła: „tak”, nie przestając szyć.

— Muszę cię ostrzec, kochana — rzekła wówczas Fay pogodnie — że doznasz wstrząsu na jego widok.

— Wstrząsu? Dlaczego?

Pielęgniarka przestała szyc i spoglądała na Fay z niewysłowioną trwogą. Sądziła dotychczas, że tajemnica Lance'a Madoca jest ocalona. Tymczasem... Co wiedziała ta dziewczyna? Co ona powie? Obie młode kobiety zamieniły błyskawiczne spojrzenie.

— Nie spowodujesz odprawienia go? Nawet jeżeli wiesz...? wyraziły błękitne oczy.

— Wiem o wszystkim, ale go nie wydam — odpowiedziały szare oczy. Fay przypomniała sobie nagle, co Madoc powiedział jej o Błękitnych Oczach, o anielskiej kobiecie, która ocaliła mu życie, która go pielęgnowała i powróciła mu zdrowie, która dała mu paszport zmarłego przyjaciela swej rodziny i kazała mu jechać w świat, rehabilitować się.

— Nie bój się, ja go nie zdradzę.

— Ani ja.

Pielęgniarka westchnęła i zaczęła szyc na nowo, a Fay mówiła dalej, zwrócona do matki. Ten niemy epilog zadzierzmał węzeł między nimi. Łączył te dwie młode dziewczyny sekret, od którego zależało życie ludzkie. Wzajemnie przyrzekły sobie, że będą lojalne do końca, każda zaś dziwiła się w duchu, skąd tamta druga wie, a zwłaszcza: dlaczego jej na tym zależy.

— Co miałaś na myśli, droga moja, mówiąc o tym wstrząsie na jego widok? — dopytywała się pani van Menterghem z natręctwem, cechującym ludzi chorych.

— Ten nowy człowiek z Winnipeg jest tak podobny do człowieka, któregośmy poznały niegdyś w Angli, a który później był u nas z wizytą nad Jeziorami...

— Amosa?...

— Tak. Wiesz przecież, że Amos zginął podczas katastrofy kolejowej. Otóż ten pan Madoc jest jego sobowtórem.

— Moja droga! Cóż za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Naturalnie przypominam sobie Amosa Beyvina. Tego wstrętnego młodego przestępcę, muszę pani o nim opowiedzieć, Nurse...

— Opowiedz o nim zaraz, droga matko, dobrze? A ja pobiegnę na małą przechadzkę. Chciałam cię tylko ostrzec. Ja sama doznałam

wstrząsu, bo nigdy jeszcze nie widziałam takiego podobieństwa. On nawet ma ruchy podobne do niektórych ruchów pana Beyvina.

Błękitne Oczy milczały. Fay spojrzała na nią. Podziwiała spokój, z jakim tamta szła dalej. Naprawiała jedwabną pończochę, co wymagało skupienia i pewnej ręki. Pozornie jedno i drugie dopisywało jej. Gdy Fay, ucałowawszy matkę, skierowała się ku drzwiom, Nurse Browne wstała z krzesła, by otworzyć drzwi przed nią. Bardzo usłużny gest, ale trochę dziwny w tym środowisku, gdzie rozumuje się powszechnie, że taka młoda kobieta, jak Fay Mazeline, doskonale może otworzyć sobie sama drzwi.

— Niech pani sobie nie przeszkadza, Nurse, proszę bardzo — rzekła Fay.

Przez chwilę obie stały w otwartych drzwiach i mierzyły się oczami.

— Ile wiesz o nim? — pytały się wzajemnie.

— Ona na pewno kocha się w nim — oceniła Fay.

— Ona na pewno kochała się w nim niegdyś — pomyślała Nurse.

— Nurse, niech pani tu podejdzie zaraz — wołała niecierpliwie pani van Menterghem. — Muszę pani opowiedzieć całą historię tego nieszczęsnego Amosa Beyvina...

Opowiadanie to zajęło pani van Menterghem resztę dnia.

\* \* \*

Oskar Horfman był jedynym człowiekiem niezadowolonym z przybycia Lance'a Madoca.

Oskar Horfman urodził się w Kolonii nad Renem i przybył do Kanady jako siedemnastoletni chłopiec. Nikt nie wiedział z jakiej rodziny pochodzi, ani do jakiej sfery społecznej i towarzyskiej należeli w Niemczech jego rodzice. Niewątpliwie otrzymał wychowanie bardzo staranne, mówił bowiem kilkoma językami, miał ładny charakter pisma, świetną prezencję, był niezły w ekonomii i miał wysokie mniemanie o samym sobie. W krótkim czasie po przyjeździe do Ameryki, objął dobrą posadę w domu handlowym w Calgary.

Gdy wybuchła wojna, wyniósł się z Kanady, zanim rząd kanadyjski zarządził aresztowanie poddanych państw nieprzyjacielskich. Dokąd się

udał, nikt nie wiedział. Prawdopodobnie poszedł na wojnę i bił się za swą ojczyznę. Świadczyłoby to o nim pozytywnie. W roku 1920 wrócił do Kanady i znów objął dość poważne stanowisko w Calgary, jakkolwiek poprzedni jego przełożeni już go nie zaangażowali z powrotem. Oskar Horfman z niewiadomych przyczyn stał się ustawicznym wędrowcem. Coraz to zmieniał posady, jakkolwiek wszystkie były intratne. Był zarządzającym garażem, następnie dyrektorem hotelu. Był agentem handlowym i kierownikiem działu w wielkich magazynach towarowych. Był agentem ubezpieczeniowym, a potem sekretarzem miejscowego stowarzyszenia religijnego. Był z kolei komiwojażerem z ramienia zakładów produkujących obuwie wszelkiego rodzaju, koncernu nasion roślinnych oraz fabryk płaszczy nieprzemakalnych. Wszędzie spisywał się pierwszorzędnie. Rozstawano się z nim z żalem. Ale on nigdzie miejsca nie umiał zagrzać. Dopiero spotkawszy pana van Menterghema i załatwiwszy z nim interes, polegający na pośrednictwie w kupnie Boothamu, a następnie sprzedaży różnych produktów za prowizję, dopiero wtedy osiedlił się w Glamisdale.

Mieszkał tu już dwa lata i był wszędzie znany jako agent handlowy. Kilku farmerów znało go z interesów, jakie z nim robili. Miał jak najlepszą reputację. Miał konto w miejscowym banku, w całym powiecie korzystał z kredytu u kupców. Trzeba było mieć nader bystre oko i być podejrzliwym z natury, by zwrócić uwagę na fakt, że rachunek w banku był nieproporcjonalnie zasobny w stosunku do obrotów handlowych i do zarobków pana Horfmana. Chociaż z drugiej strony, mogło się tak tylko wydawać komuś, bo wszak nikt nie mógłby określić ściśle, ile wynosiła ilość transakcji, dokonywanych przez pana Horfmana.

Mieszkał bardzo ładnie. Mówiono, że jest to najładniej urządzone mieszkanie w okolicy. Prowadził dom na dużą skalę, chociaż był kawalerem i przyjmował tylko mężczyzn. Był również właścicielem pięknego ogrodu, który stał otworem dla publiczności w niedzielę po południu. Turyści ze Stanów lub z Europy odbywali istne pielgrzymki do tego słynnego z piękności ogrodu. Przywozili ze sobą składane krzeselka, a służba pana Horfmana roznosiła herbatę i chłodzące napoje.

Oskar Horfman posiadał również trzy samochody i zawsze posyłał jeden z tych wozów po przyjaciół, których tego dnia podejmował

u siebie. Następnie odstawiał ich do domu w ten sam sposób. Niektórzy uprzywilejowani przyjaciele, mieszkający w pewnej odległości od Glamisdale, zapraszani bywali na każdy niemal weekend do Sans-Souci, (tak nazywała się piękna willa pana Horfmana). Niektórzy z nich przybywali ze Stanów.

Tom Mazeline należał do częstych bywalców willi podczas weekendu. Często również zajeżdżał po niego samochód pana Horfmana, zawoził go na obiad do Sans-Souci, skąd odwoził go nieraz późną nocą.

Wszyscy mniemali, że między panem Horfmanem a Fay Mazeline istnieje ciche porozumienie, że niebawem ogłoszone zostaną oficjalne zaręczyny. Pan Horfman będzie już potem naprawdę członkiem rodziny. A tymczasem on nie mógł wprost słuchać o tym człowieku, o tym Madocu, czy jak on się tam nazywa! Intruz pomiędzy nim a Tomem!

— Tom i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi — rzekł bez ogródek w rozmowie z panem van Menterghem.

— Wiem, mój drogi — odrzekł pojednawczo pan Menterghem, jakkolwiek w duszy zdecydowany był postąpić według własnego uznania. — Ale pan niebawem będzie żonaty...

— No, to co, Tom jest wszakże bratem Fay. Skoro się pobierzemy Fay i ja, to Tom może zamieszkać przy nas.

— Matka jego nie zgodzi się na to, mój drogi. I ja życzę sobie zresztą, by Tom pomagał mi w gospodarstwie.

— Tom jest zbyt subtelną naturą, nie nadaje się do pracy w farmie.

— Przejdzie mu ten nadmiar subtelności pod zdrowym wpływem Madoca, który zrobi mu wiele dobrego.

— To znaczy, że mój wpływ uważa pan za negatywny.

— Wcale nie, panie Horfman. Ale Tom ma we krwi zamiłowanie do hazardu i do trunków. Skąd to u niego, nie wiem. Przypuszczam, że jego ojciec...

— O! Nie widzę nic złego w Tomie. Grywa w karty od czasu do czasu...

— Tak. To wystarczy. Tym bardziej, że grywa on bardzo często, panie Horfman. Wiemy przy tym obaj, że przebywa w złym towarzystwie i że przegrywa w pokera więcej, niż może pokryć z własnej kieszeni.

Pan Horfman sięgnął po kieliszek whisky z wodą, który kazał mu podać gościnny pan van Menterghem, wychylił do dna zawartość i postawił kieliszek na stoliku. Puścił parę kłębow dymu ze swego cygara. Potem dopiero zapytał z niewinną miną:

— Aż tyle przegrywa? Nie wiedziałem!

— Wie pan o tym dobrze, panie Horfman. Sam pan jest graczem i zawsze razem grywacie. Nie może pan nie wiedzieć...

Spotkałem Toma przy grze, tak jest. Ale nie sądziłem, by wiele przegrywał. On grywa w taniego pokera z przyjaciółmi, bywającymi w klubie.

— On czasem wraca po prostu pijany, panie Horfman.

— Doprawdy? Pan mnie zdumiewa, drogi panie van Menterghem.

— Sam pan widzi, że trzeba coś zrobić, by go naprowadzić na prostą drogę. Pan jest człowiekiem bardzo zajęтым swymi sprawami, skoro pan nie zauważył nawet, że Tom przegrywa. Pańscy przyjaciele nie mają potrzeby wystrzegać się pana!

— A pan sądzi, że Tom pozwoli temu człowiekowi, Madocowi, kierować sobą. Aha! Widzę Toma w roli posłusznego baranka — zaśmiał się pan Horfman.

— Z początku będzie się buntował, ale w końcu przyzwyczai się...

Pan Horfman chciał coś odpowiedzieć, ale w tejże chwili Fay weszła do pokoju. Widząc dwóch mężczyzn rozmawiających, bąknęła jakieś wyrazy w rodzaju: „Przepraszam, że przeszkodziłam” i skierowała się ku wyjściu. Ale jej ojczym zawołał ją:

— Nie odchodź, Fay — rzekł — mówimy właśnie o Tomie i o moim nowym sekretarzu, Madocu. Pan Horfman jest zaskoczony faktem, że ktoś będzie doglądał i pilnował Toma. Ale, jak rzekłem...

I znów zaczęła się ta sama dyskusja od początku. Fay nie wypowiedziała się konkretnie ani za, ani przeciw. Pan Horfman był może teraz mniej kategoryczny, aniżeli przed wejściem Fay do pokoju; pan van Menterghem czuł, że on coś waży na szali. Po chwili odwołano go; Fay i pan Horfman pozostali sam na sam.

— Niech mi pan powie — zapytała spokojnie, skoro tylko kroki pana van Menterghem ucichły w oddali. — Dlaczego tak systematycznie usiłuje pan pogrążyć Toma?

— Ja usiłuję pograć Toma? Co, u Boga Ojca, pani chce przez to powiedzieć?

— To, co mówię. Opętał pan Toma. Jest on pana ślepym narzędziem. Idzie za panem z jednej spelunki do drugiej. Pożyczył sobie pieniędzy od mego ojczyma, których oczywiście nie może mu zwrócić. A teraz grozi zaciągnięciem pożyczki na poczet spadku po matce.

— No, przecież w tym nie ma nic złego...

— Nie będziemy się sprzeczać o to. Ale teraz, kiedy ja... przyjął pańskie warunki, nalegam z kolei i będę obstawać, aby pan zostawił Toma w spokoju, zanim on wyda ostatniego dolara, jakiego posiada, lub kiedykolwiek posiadać będzie.

Pan Horfman wzruszył ramionami. Starannie wymanicuirowanym paznokciem małego palca zrzucił popiół z cygara.

— Mówi pani tak, moja droga panno Fay, jakby Toma wybryki, jego długi, jego pijaństwo, jakby to wszystko było z mojej winy.

— Do pewnego stopnia jest tak. Głosi pan, iż jesteście przyjaciółmi. Gdyby pan był jego przyjacielem, nigdyby pan nie zaprowadził Toma do tej jaskini gry, do tego piekła... Nie wolno panu było!...

— Droga pani — zaprotestował pan Horfman — klub uczęszczany jest przez najlepsze towarzystwo w Glamisdale...

— Jest niemniej jaskinią gry — przerwała Fay z uniesieniem... — Ja nie znam oczywiście tej spelunki, ale mogę sobie z łatwością wyobrazić, co to jest. Tom nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat... Jacy ludzie tam bywają, ci, którzy zgadzają się przez szereg nocy z rzędu zasiadać do gry z chłopcem w tym wieku, wiedząc z góry, że nie może on się uiścić z sum, jakie z łatwością może do nich przegrać!

— Tom miał raczej pecha przy grze, ale...

— Raczej pecha przy grze! Pan to nazywa pechem? I to wszystko, co pan ma do powiedzenia na ten temat? Niech mi pan pozwoli przypomnieć sobie, co się zdarzyło półtora roku temu, to jest od chwili, kiedy pan wziął Toma pod swoje skrzydło opiekuńcze. On miał trzy tysiące dolarów, które matka wręczyła mu, wychodząc za mąż za pana van Menterghem. Dlaczego to zrobiła, nie wiem, ale fakt, że tak postąpiła. Miał zamiar kupić sobie ładny samochód za te pieniądze. Nie kupił samochodu, a moja biedna matka sądzi że on złożył te pieniądze w kasie oszczędnościowej. I ja tak sądziłam, ale niestety!...

— No! — rzucił z uśmiechem pan Horfman — i cóż się stało? Nie złożył tam pieniędzy?

— W dwudziestą rocznicę swych urodzin — ciągnęła dalej Fay, nie zwracając na przerwę — Tom przyszedł do matki z długą historią

O konieczności kupienia jakichś książek, niezbędnych mu do egzaminów, o składce członkowskiej w instytucji, do której dumny jest, iż należy i tym podobnymi bzdurami. Już miała dać mu pieniądze, ale, biedaczka, naturalnie, wygadała się ze wszystkim, tak, że mój ojczym wezwał do siebie Toma na poważną rozmowę. Tom przyznał się, że ma długi, tak zwane honorowe, i otrzymał od ojczyma dwa tysiące dolarów. Wiem z całą pewnością, że wkrótce potem dostał jeszcze niespełna trzy tysiące dolarów. Ode mnie Tom otrzymał cztery tysiące dolarów, sprzedałam na ten cel pewną ilość moich akcji „Canadian Pacifik”, a ile otrzymał przez ten czas od matki!... Jak skończy dwadzieścia jeden lat otrzyma akcje w spadku po naszym ojcu, a z góry przewidzieć można los tego majątku...

— Bardzo smutne, istotnie, moja droga panno Fay — rzekł pan Horfman — ale nie widzę doprawdy, co ja z tym mam wspólnego. Ja robiłem, co mogłem dla Toma. Zapomina pani, że gdyby nie ja...

Siedzieli w bawialnym pokoju, Fay na poręczy fotela, na wprost okna balkonowego, przez które widziała ogród, wiosnę, spokój, ciszę

i wdzięk przyrody. Pan Horfman bujał się na wprost niej na fotelu na biegunach, cedząc whisky z wodą i paląc cygaro. Nie dokończył zdania, wzruszył ramionami i popatrzył drwiąco na Fay, której profil tylko dostrzegął, ten czysty, ostro zarysowany profil, podobny do profilu jej brata, tylko bardziej stanowczy w wyrazie ust i podbródka.

— Wiem — rzekła z wolna — żeby nie pan, Tom siedziałby prawdopodobnie w więzieniu.

Głos jej brzmiał twardo i oschle. — Przecież dlatego zgodziłam się... Te słowa zamarły w jej zdławionej krtani: kręciła w drżących rękach maleńką chusteczkę do nosa.

Pan Horfman wstał z fotela i podniósł dłoń do góry ruchem protestującym.

— Niech pani tego nie mówi — rzekł.

— Niech ja nie mówię... czego? — zwróciła się teraz ku niemu wprost i wyzywająco patrzyła mu w oczy.



— Że pani tylko z powodu Toma...

— Że tylko z tego powodu zgodziłam się wyjść za mąż za pana? Wie pan chyba dobrze, iż zrobiłam to tylko dlatego, że pan zagroził...

— Ja nie groziłem. Źle pani określa moje postępowanie. Ja tylko wytłumaczyłem Tomowi...

— Że o ile nie przyrzeknę panu solennie, że będę pańską żoną, to pośle pan te sfałszowane czeku policji.

— Było to moim obowiązkiem. Kryjąc ten postępek Toma, stałem się z prawnego punktu widzenia jego współnikiem. Jestem współwinny przestępstwa. A ja nigdy nie popełniłem nic niezgodnego z prawem i mogę śmiało stwierdzić, że za stary jestem, bym teraz zaczął się wdawać w nieczyste sprawy. Ale, na moje nieszczęście, zakochałem się w pani, jak szaleniec...

Fay roześmiała się. Był to taki twardy, taki biedny, a przykry śmiech! Ale nic nie odpowiedziała. Pan Horfman rzucił na popielniczkę niedopałek cygara i skierował się ku fotelowi, na którego poręczy siedziała Fay. Zatrzymał się przed nią, trzymając ręce w kieszeni, jedno kolano tylko oparł o fotel Fay.

— Może pani w to nie wierzyć — rzekł — i może pani wyobrażać sobie, że chcę panią zaślubić na złość jedynie, wiedząc, że pani mnie znieść nie może: ale omyli się pani srodze, snując tak „naciągane” myśli. Kocham panią prawdziwie, namiętniej, niż kiedykolwiek mężczyzna kochał kobietę od stworzenia świata. Jest w pani coś, co mnie zatruwa żądzą posiadania pani całkowitego, wyłącznego...Nie! Niech pani nie odchodzi! — zawołał i chwycił ją za ramię, ale wyrwała mu je z oburzeniem i wstrętem i poszła ku oknu. Pobiegł za nią.

— Dobrze, moja droga, nie życzę pani sobie mojej miłości, nie będą się narzucał z jej objawami. Większość dziewcząt lubi te objawy, ale pani jest widocznie inna, niż wszystkie kobiety w pani wieku. Trudno! Ale proszę nie zapominać o faktach. Muszę pani przypomnieć ponownie, że pani ojczym powierzył Tomowi pewne sumy do zakupu towarów w mieście, że dał mu towar z farmy do sprzedaży i że Tom inkasował za niego pieniądze. Miał je wpłacić, jak zawsze, na rachunek pana van Menterghem w Victoria Bank. On jeszcze wtedy nie znał Toma, nie kontrolował go. Pani wie, co się stało z tymi sumami?

— Wiem! Pan i pańscy przyjaciele... — urwała, tchu jej zabrakło z oburzenia.

— Moja droga! — odparł zimno. — Ani ja, ani moi przyjaciele nie jesteśmy stróżami twego brata. Grał w pokera, w brydża, w shimmy, to wszystko kosztuje. Skoro przegrał wszystkie własne pieniądze, sięgał po cudze. Tacy ludzie, jak Tom, nigdy nie wygrywają w karty. Tracą głowę. Chcą się odegrać. Nie zważają na ostrzeżenia losu i przyjaciół. Ale Tom nie tylko grał w karty za cudze pieniądze. Wręczył on swemu ojczymowi kwity z banku za złożone tam sumy, które de facto, nigdy tam nie wpłynęły! Autorem kwitów był on sam. Pani mówi, że to ja chcę pogrążyć Toma, ale czy pani się zastanowiła, co by się stało, gdyby Tom nie zwierzył mi się i gdybym ja nie dał dowodów, że naprawdę jestem jego przyjacielem?

Fay milczała. Pan Horfman ciągnął dalej z całym spokojem:

— Tom przyniósł mi pewnego dnia cały stos owych kwitów. Wynosiły one przeszło 1200 dolarów. Ojczym zapytał go o nie, ale Tom zdołał ocalić się na razie, mówiąc, że zamknął kwity w swej skrytce prywatnej w domu. Ale panu van Menterghem przyszło nagle do głowy posłać po swoją książeczkę do banku. Cała rzecz miała się wydać lada chwila. Tom przyszedł do mnie i wie pani, co ja zrobiłem? Czy on pani powiedział? Nie? No, to ja pani powiem. Wpłaciłem całe 1200 dolarów na rachunek pana van Menterghem.

— Po czym otrzymał pan pięć tysięcy z własnych pieniędzy Toma...

— Ja?

— Pan, albo pańscy przyjaciele.

— Dlaczego pani uporczywie podkreśla fakt, że ludzie, z którymi Tom grywa i do których przegrał tyle pieniędzy, są moimi przyjaciółmi? Jeżeli nawet tak jest, była to gra najzupełniej poprawna. Tom jest urodzonym graczem. On nie może patrzeć na talię kart, by ręk po nią nie wyciągnąć. Ani ja, ani nikt mu nie przeszkodzi. Zapłaciłem za niego te 1200 dolarów z własnej kieszeni, tylko dlatego, że jest pani bratem...

— Ale zatrzymał pan kwity...

— Te sfalszowane podpisy, chce pani powiedzieć? Tak! To jest moja ochrona i... Toma. Ale pozwoli pani, że jej przypomnę jeszcze raz, że to nie wszystko. Kupując te kwity od Toma, wymogłem na nim przyrzeczenie, że nigdy więcej nie weźmie kart do ręki...

Fay zaśmiała się twardo, ironicznie, z niedowierzaniem.

— Wymógł pan na nim przyrzeczenie... — rzekła.

— Nie wierzy mi pani?

— Nie, nie wierzę.

— No — odrzekł cynicznie — może pani ma rację. Toma sprawy obchodzą mnie istotnie o tyle tylko, że jest to brat pani. Ale bądź co bądź, zdarzyło się to, co się zdarzyło, na to nie ma rady. Pewnej nocy Tom przegrał więcej niż zazwyczaj, dał jednemu z moich przyjaciół czek na 800 dolarów, któremu był winien w pokera. Na szczęście dla Toma, na szczęście dla nas wszystkich, przyjaciel mój pokazał mi ten czek, zanim poszedł z nim do banku. Na czeku widniał podpis pani ojczyma. I znowu, udało mi się wybawić Toma. Miałem na szczęście 800 dolarów przy sobie. Wykupiłem ten czek od mego przyjaciela, który był zadowolony, że wszystko jest w porządku. Pani wie równie dobrze, jak ja sam, że ojczym pani nigdy w życiu nie wręczył Tomowi podpisanego przez siebie czeku oraz, że kara za fałszerstwo wynosi około siedmiu lat ciężkiego więzienia. A wiadomo pani, że nie tylko ten jeden raz Tom pozwolił sobie na podobne popisy w kaligrafii. Posiadam trzy czeki na mniejsze sumki, które mi dawał w różnych momentach naszej znajomości, a które schowałem do skrytki ze sfabrykowanymi kwitami, obawiając się, by nie wpadły w niepowołane ręce, A ponieważ powiedziałem Tomowi, że nie myślę dłużej kolekcjonować fałszywych czeków, poszedł do jednego z moich znajomych i spróbował go podejść.

Fay słuchała do końca w milczeniu, bez ruchu. Oparła się o framugę okna i słuchała głosu pan Horfmana o teutońskim akcencie. W uszach jej brzmiało to, jako szczekanie, ujadanie, oznajmiające upadek jej ostatnich nadziei. Gdy listy Amosa stawały się niegdyś coraz rzadsze, a potem zupełnie ustały, kiedy przeczytała o jego nieszczęściu — tak zawsze nazywała w myślach jego przestępstwo — kiedy dowiedziała się o wyroku, o katastrofie kolejowej, sądziła, że wychyliła do dna czarę goryczy. Ale teraz widziała, że to była tylko przygrywka. Przeszłość była okropna, ale wydawała się mniej ponura, mniej straszliwa, aniżeli teraźniejszość i przyszłość.

Fay w tej przeszłości widziała parę oczu, które przytrzymały ją przy życiu. Były to oczy jej matki, zwrócone na nią ustawicznie

z wyrazem wzruszającej trwogi i niepewności. Gdy matka owdowiała, Fay wzięła w swoje ręce nadzór nad domem, ogólny kierunek interesów, sprawy pieniężne oraz pielęgnowanie matki. Fay sprostala temu wszystkiemu. Prawda! Tom już wówczas był dzikim zadzierzystem chłopcem. On to spotkał tego pana Oskara Horfmana i wprowadził go do domu swej matki.

Fay poczuła od razu wstręt do tego człowieka, wstręt, który wzrastał szybko w miarę, jak stwierdzała zgubny wpływ tego nowego znajomego na Toma. Fay próbowała wpływ ten równoważyć, co jej się udawało nie zawsze, ale nie traciła nadziei, że Tom się ustatkuje.

Biuro pana Horfmana było wówczas oddalone o kilkadziesiąt kilometrów od domu Mazelinów. Fay zajęła się wychowaniem Toma: troska o niego przesłoniła jej wspomnienie Amosa. Potem przeżyła małżeństwo matki z panem van Menterghem, przenosiny do fermy i powtórne zjawienie się na scenie ich życia pana Oskara Horfmana. On zdawał się być w interesach z panem van Menterghem i on to zresztą przedstawił Mazelinom jowialnego Holendra. Fay byłaby najchętniej zamieszkała oddzielnie. Ojciec zostawił jej niewielki majątek, który mógł jej wystarczyć do skromnego, lecz dostatniego życia. Uśmiechała jej się panińska niezależność, w towarzystwie kilku osób z Montrealu czy Quebecu, lub też z Londynu lub Paryża. Marzyła o tym jakiś czas. Miesiące upływały, a zawsze coś stawało na przeszkodzie w urzeczywistnieniu tych marzeń. Wypadek samochodowy wstrząsnął organizmem matki, z natury wątłym, trzeba było z nią jechać na zimę do łagodniejszego klimatu... a przy tym zawsze Tom, wiecznie Tom!... Jego dług, jego rozwiane życie, jego wątpliwe przyjaźnie, obawa o niego, obawa przed nim — ta analogia między nim a Amosem, coraz silniej występująca... To samo! Ta sama historia! Z małymi odchyleniami. Tam, w Londynie, nocne kluby, miss Lampriere, wtargnięcie policji, prawdopodobnie również długi. A tutaj w Glamisdale — kluby, potajemne libacje, gra w karty, długi i coraz więcej długów...

A teraz to nienawistne, przekłete małżeństwo! Kres wszystkiego! Zmartwienie zamieniło się w rozpacz, bo nie było dla niej ucieczki z tej pułapki. Nie mogła pozwolić, by Tom poszedł tam, dokąd cudem tylko losy nie zawiodły Amosa. Jej narzeczony! A teraz z kolei jej brat! Bóg widzi, że to niemożliwe.

Oskar Horfman przestał mówić od dawna. Czekał teraz, czekał, by przemówienie jego miało czas wywołać reakcję w jej mózgu. Miał już niemal jej przyrzeczenie: Dzisiaj postanowił uzyskać jej ostateczną zgodę. Ani na chwilę nie wątpił, że mu się to powiedzie i to nie tylko ze względu na tego głupca Toma. Horfman był jednym z tych mężczyzn, którym się zdaje, że wystarczy bardzo kochać i pożądać kobietę, wystarczy mocno chcieć, by ją zdobyć. Nie ma kobiety, według mniemania tych mężczyzn, która byłaby nie do zdobycia. Oskar Horfman kochał i był uparty; miał przy tym pewność siebie mężczyzny, któremu się zdaje, że miłość jego jest niemałym zaszczytem dla wyróżnionej kobiety. „Namiętność zawsze w końcu zwycięża opór” — było to jedno z jego ulubionych powiedzeń.

— Przeżyje wszelkie antagonizmy, przeżyje nawet nienawiść.

— Widzi pani, droga panno Fay — rzekł, śledząc jej twarz

— pojmuję, jak trudna jest moja sytuacja. Ukrywając te czeki jestem współnikiem przestępstwa. Postępuję nie tylko sprzecznie z własnymi interesami, ale w sposób, który potępiłby każdy prawy, przyzwoity człowiek. Przedłożymy to komukolwiek, a każdy powie: Obowiązkiem Horfmana było przesłać te czeki policji. I tak też jest. Przyznaję.

Powinienem był pozostawić wypadki ich biegowi, Tom powinien był ponieść konsekwencję swego czynu.

— Może to byłoby i lepiej — szepnęła Fay machinalnie zbielełymi ustami.

Oskar Horfman odczekał kilka sekund, zanim przemówił.

— To zależy od pani. Oczywiście decyzja jest wyłącznie w pani rękach. Powiedziała mi pani wiele nieprzyjemnych słów, ale kochani panią tak bardzo, że nie umiałbym wywierać presji na panią. Nieba widzą, że pragnę panią posiadać, ale pragnę, aby to był dar dobrowolny, chcę panią mieć z jej własnej, nieprzymuszonej woli. I pragnę również, aby pani zrozumiała, że uśpiłem moje sumienie na rzecz brata mojej żony, bo tym stałby się Tom, jeżeli pani będzie mi przychylna. Dla spokoju mojej żony wolno mi uczynić to, czego nie mógłbym zrobić dla najlepszego przyjaciela.

Uznaje pani to wszakże, prawda?

Uznawała. Przytaknęła z ciężkim westchnieniem.

— To na jedno wychodzi. Będzie pan nadal przesładował Toma tymi sfałszowanymi papierami, chociaż ja się zgodzę zostać pana żoną.

— Jeżeli pani ma zamiar nadal mnie traktować w ten sposób, to już pani sprawa.

— Bo taka jest prawda — odrzekła Fay gwałtowniej, niż dotychczas. — Pan Bóg raczy wiedzieć, do czego panu jest potrzebna żona, która pana nie kocha, która pana nigdy nie pokocha...

— O, moja droga — odrzekł z cynicznym uśmiechem. — To biorę na siebie... podejmuję się wywołać tę niemożliwą miłość.

Spojrzała mu prosto w oczy, te stalowe oczy, które na pewno nie rozbłysły nigdy niesamolubną namiętnością.

— Podejmuje się pan czego? Mojej dożywotniej niedoli? Bo dla mnie małżeństwo z panem może oznaczać tylko dożywotnią torturę; ale i dla pana również: będzie pan przykuty do kobiety, która nigdy, słyszy pan? Nigdy nie pokocha pana.

— Miłość przychodzi z czasem, kochana pani — odrzekł.

— Nigdy!!

— Przypomnę pani francuskie przysłowie: // *ne faut dire ni jamais ni toujours*.

— Nie boi się pan?

— Czego?

Nie odpowiedziała. On rzekł:

— Boję się tylko jednej rzeczy: pani odmowy.

— Zdaje się, że teraz szanse, bym odmówiła, są niewielkie.

— Czy zechce pani wyznaczyć datę ślubu?

— Muszę najpierw pomówić z matką.

— Naturalnie. Ale nie każe mi pani chyba czekać zbyt długo?

— To będzie zależało od stanu zdrowia mojej matki... Powiedzmy: za sześć miesięcy, dobrze?

— Trzy, proszę panią usilnie, trzy. Widzi pani, te czeki...

— Rozumiem. Kiedy będę je miała w swych rękach?

— W dniu naszego ślubu.

— Jaką mam pewność, że je otrzymam?

Moja droga — zaprotestował — czy to prawdopodobne, bym posyłał do więzienia swego własnego szwagra?

— Co się stanie z Tomem przez ten czas?

— O ile zrozumiałem, będzie on pod opieką pana... Jak — on —

się — tam — nazywa, dla którego karty i whisky są czymś przeklętym. Czego pani sobie życzy jeszcze, droga panno Fay?

— Abyśmy się widywali jak najrzadziej.

— Jeżeli pani będzie obstawać przy tym, to ja z mojej strony zmuszony będę nalegać, byśmy się pobrali za trzy tygodnie.

Mówił bardzo cicho, z odcieniem ironii w głosie, ale bez drgnienia ani jednego mięśnia w twarzy. Fay jednym uchem tylko słuchała tego, co mówił dalej: snuł plany przyszłości, pytał jej o zdanie, rad był odgadnąć jej życzenia. Ona czuła straszne zmęczenie, a przy tym przyszłość tak mało ją obchodziła! Tak mało, że nawet obojętne jej było, gdzie miał być jej dom — dom! — tak, że uważała za zbędne i zbyt męczące przytomne odpowiadanie na ten grad pytań. W końcu przestał mówić.

W kilka minut później odszedł. Fay słyszała szum motoru, stopniowo oddalający się na szosie. Była sama. Nikt nie patrzy, jak opiera głowę o ścianę. Nikt nie słyszy jej szeptu:

— O mój Boże! Skąd ja wezmę siły do przebycia tego piekła?

\* \* \*

Klacz Lance'a, Emma, znalazła pomieszczenie w stajni pana van Menterghem. Lance i mr Micawber zamieszkali w komfortowym pokoju w Glamisdale i dojeżdżali codziennie do pracy bryczką wypożyczoną do tego celu przez uprzejmego właściciela Boothamu.

Błękitne Oczy pojechały pewnego dnia do farmy Crumcha, aby powiedzieć Lance'owi, w jaki zręczny sposób Fay uświadziła na wszelki wypadek czujność pani van Menterghem. Po tej rozmowie Lance zapuścił wąsy i zmienił uczesanie. Różnica stroju i staranne pilnowanie się w ruchach, unikanie charakterystycznych gestów dopełnia, sądził, zmiany jego wyglądu.

Ale nawet po tych zabiegach wrażenie, jakie wywarł na pani van Menterghem, było piorunujące. Była ostrzeżona, a mimo to nie mogła ochłonąć ze zdumienia na widok Madoca.

— Doprawdy, podobieństwo nie do uwierzenia — mówiła. — Wie pan, panie Madoc, oczom nie wierzę, chociaż córka ostrzegła mnie, że

jest pan taki podobny do dawnego naszego znajomego, Anglika również, ale... no, nie!... wierzyć się nie chce, iż to nie on! Niech pan daruje, że tak się panu przyglądam, lecz mam wrażenie, że stoi przede mną zmartwychwstały pan Amos Beyvin, którego niegdyś gościliśmy w naszym domu. O! Dawne to czasy: Tom był jeszcze w szkole, gdy ten młody człowiek przyjeżdżał do Kanady, nieszczęśliwy chłopiec! Zbłądził w życiu, zszedł na manowce, a potem zginął w katastrofie kolejowej, całe szczęście! Bo w przeciwnym razie siedziałby teraz w więzieniu.

Sytuacja była tragikomiczna. Lance nie był pewien, czy pani van Menterghem istotnie jest tak naiwna, czy też dla spokoju córki udaje, że nie domyśla się prawdy. Położenie Amosa Beyvina było niezwykle: znajdował się wśród trzech kobiet, z których każda знаła jego przeszłość. Każda z nich mogła go zdradzić nazajutrz, skazać go na zagładę moralną. Każda mogła go w ten straszny sposób ukarać za najmniejsze uchybienie. To znaczy, tak mogłyby postąpić, gdyby były przeciętnymi kobietami. Bo ani Fay, ani Błękitne Oczy — przemiłe Błękitne Oczy! nie były przeciętnymi kobietami. Lance nie wyobrażał sobie okoliczności, w których te dwie kobiety mogłyby stać się jego wrogami: ale w stosunku do pani van Menterghem odczuwał niepewność; tu niebezpieczeństwo nie było wykluczone. Przede wszystkim ze względu na jej nieznośną gadatliwość. Bezustannie obracała językiem. A...

— Muszę panu pokazać, panie Madoc — mówiła pani van Menterghem — podobiznę tego biednego Amosa Beyvina. Nurse, zechce pani otworzyć lewą szufladę w moim biurku. Tam leży taka welwetowa teczka, włóczką haftowana, w niej jest na pewno, o ile pamiętam, ta fotografia. Nie ma? No, to niech pani będzie łaskawa zajrzeć do prawej szufladki. Boże drogi! Pewna byłam, że włożyłam tę fotografię do jednej z tych szuflad. Trudno! Mniejsza z tym. Obejrzymy ją kiedy indziej, znajdzie się przecież... Pan chętnie zobaczyłby tę fotografię, panie Madoc, prawda?

— Bardzo chętnie, mrs van Menterghem. Dziękuję pani.

— Wycięłam ją z „Daily Mail”, gdy aresztowano tego człowieka za usiłowanie zabójstwa. Powalił on na ziemię policjanta, o mały włos go nie zabił, ale to wcale nie była jego wina: był to tylko niefortunny zbieg okoliczności.

— Bardzo niefortunny, zaiste.



Opowiadała dalej dzieje „tego biednego młodego człowieka”, wzywając od czasu do czasu Nurse, by potwierdziła, że i jej ona opowiedziała przed paroma dniami to samo. Wspomniała mimo woli o miłości, jaka łączyła jej córkę, Fay, z owym Amosem Beyvinem.

— Oczywiście minęło to bezpowrotnie, zapomniała go, przeboleła ten epizod, ale gdy się to stało, drżałam o jej życie. Ale teraz nawet pańskie podobieństwo do niego nie zrobiło na niej wrażenia, mówi o tym wręcz wesoło; to bardzo dobrze, bardzo rada temu jestem, bo teraz wyjdzie za mąż za tego sympatycznego przyjaciela Toma, pana Horfmana.

— Pan zna pana Horfmana, panie Madoc?

— Bardzo mało.

— Tom tak go lubi! Są dobrymi przyjaciółmi! Ale, naturalnie, ożeniwszy się, nie będzie mógł pan Horfman poświęcać mu tyle czasu co do tej pory. Dlatego tacy wdzięczni panu jesteśmy, panie Madoc, że pan zawitał do nas i będzie towarzyszem Toma. Doprawdy, szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Uszczęśliwiony jestem, że będę pani pożyteczny, mrs van Menterghem.

Pani van Menterghem była tak poruszona tym wszystkim, to jest zaręczynami Fay i przybyciem tego pana Madoca, podobnego jak dwie krople wody do pana Amosa Beyvina, że Nurse musiała dać jej sporą dawkę bromu na uspokojenie nerwów. Po użyciu proszku usnęła głęboko, ale obudziwszy się w porze podwieczorku, okazała wzmożone, nienaturalne podniecenie. Przecież musiała opowiedzieć o tym wszystkim panu van Menterghem.

— Nigdy nie widziałeś takiego podobieństwa, Bert. Istny sobowtór, prawda, Fay?

Pan van Menterghem popatrzył na żonę zdumiony. Dotychczas nie słyszał o żadnym podobieństwie.

— Kto? Co? — zapytał. — Kto jest sobowtórem? Czyim?

— Matka ma na myśli — rzekła Fay — twego nowego pracownika, Lance'a Madoca. Jast on zadziwiająco podobny do jednego młodego Anglika, którego znałyśmy ongiś.

— Tak. Do pana Amosa Beyvina. Do tego człowieka, Bert, o którym ci opowiadałam, że był zaręczony z Fay, a potem...

Fay zżymała się. Kochana matka! Nie mogła wytrzymać; i o tym szczególnie musiała wspomnieć! Pan van Menterghem, taktowny i pełen dobroci, usiłował teraz zmienić przedmiot rozmowy.

— Muszę w tych dniach poprosić Madoca, by zaczął tresować jednego z naszych małych źrebaczków. Pocieszne będą te małe, zobaczysz Fay.

— Cieszę się na ten widok, ojczu.

— Dziwna rzecz — wracała wciąż pani van Menterghem do ulubionego tematu. — Amos Beyvin również był takim zwolennikiem koni...

— W Anglii prawie wszyscy mężczyźni są zwolennikami koni — zauważył pan van Menterghem.

— Tak, wiem, ale Amos Beyvin był pierwszorzędnym jeźdźcem, a ten Lance Madoc... no, zdumiewające, powiadam wam. Chciałabym pokazać ci niektóre fotografie Amosa Beyvina, które wycięłam z Daily Mail" i...

— Masz fotografie pana Beyvina, matko? — spytała Fay, pozornie bardzo zajęta nalewaniem herbaty do filiżanek — nie wiedziałam o tym.

— Wycięłam je z „Daily Mail”, wiesz, podczas procesu zamieszczono ich kilka, każdy zauważyłby to niezwykle podobieństwo.

— Gdzie masz te zdjęcia, żono? — spytał z kolei pan van Menterghem. Wziął z rąk Fay filiżankę herbaty. Starła się zajrzeć mu w oczy, wyczytać w nich bieg jego myśli, ale był zajęty herbatą, cedził ją, przegryzając kanapką z mięsem. Spoglądał od czasu do czasu swoją żonę.

— Właśnie, że nie wiem — mówiła dalej ochoczo pani van Menterghem. — Byłam pewna, że są w teczce, którą mam w biurku, pamiętasz? Taka czarna teczka z haftowanymi włóczką kwiatami na wierzchu. Fay wyhaftowała ją dla mnie, gdy była dzieckiem, a ja trzymałam w niej często fotografie, na przykład podobizny Fay i Toma z ich lat dzieciennych, a także zdjęcia mego pierwszego męża, a następnie, gdy Fay była zaręczona z Amosem, to jest, chcę powiedzieć z panem Beyvinem, włożyłam tam jedną z jego fotografii również. Zapewne dlatego przypuszczałam, że tam również włożyłam i te wycinki z „Daily Mail”...

— Pokaż mi je, matko — przerwał pan van Menterghem, zatapiając zęby w kanapce z szynką.

— Nie mogę znaleźć teczki. Byłam pewna, że włożyłam je do lewej szuflady biurka, więc prosiłam Nurse, by tam zajrzała; zaglądała, zaglądała, potem ja zaglądałam z kolei... ale...

Pan van Menterghem uporał się ze swoją kanapką. Postawił filiżankę z herbatą, wstał z wygodnego fotela, podszedł do dużego stołu, stojącego na balkonie, otworzył szufladę, wyjął z niej jakiś czerwony przedmiot i pokazał go żonie:

— Czy to o tej teczce mowa? — zapytał.

Fay nie odrywała oczu od niego. Teraz zwróciła je na przedmiot, który trzymał w ręku. Ją przecież nic a nic nie obchodziło, co się tu może stać. Powtarzała sobie od rana do wieczora, że nic jej nie obchodzi, co się stać może z Lance'em Madokiem, czy też z Amosem Beywinem, że jest jej to zupełnie obojętne. Najwyżej odsiedzi karę, dobrze zasłużoną, cóż to szkodzi? Fay, leżąc w łóżku podczas bezsennych nocy, rozmyślała, że nie zmartwiłaby się bynajmniej, gdyby wydała się tożsamość Madoca Beyvina, byłoby jej tylko przykro, że ta biedna Nurse Browne ma zakłócony spokój, ona, której tak zależało, by ten chłopiec mógł się jeszcze zrehabilitować. I dlatego zapewne, przez współczucie z tą biedną Nurse Browne, która tak by się zmartwiła, tylko dlatego biło serce Fay tak szalenie, tak dziko, na widok przedmiotu, trzymanego przez ojczyma, który spokojnym głosem pytał:

— Czy to o tej teczce mowa?

— Tak, tak, naturalnie, to ta — rzekła pani van Menterghem, ucieszona.— Gdzie ona była?

— Tam, gdzie ją sama włożyłaś, matko. Czy mogę rzucić okiem na te zdjęcia?

— Ależ naturalnie... Tak, tak, przypominam sobie teraz, że wsunęłam tu teczkę, a potem zdawało mi się, że ją znowu zabrałam stąd na górę. Mówiłam do Nurse...

Fay obserwowała swego ojczyma. Obserwowała, nie spuszczając z niego oka. Otworzył teczkę i przyglądał się uważnie fotografiom. Wyjął je z teczki jedną po drugiej i położył na stole, po czym oglądał każdą powtórnie. Od czasu do czasu wypowiadał jakąś uwagę, o ile żona pozwalała mu wtrącić słowo.

— Zabawne... zabawne... Tak, rozumiem, że cię to dziwi... No, ta fotografia nie przedstawia żadnego podobieństwa z naszym Madokiem.

Zresztą obaj są typem przeciętnego Anglika. Znałem tuziny Anglików wyglądających identycznie.

Pani van Menterghem nie widziała, co mąż robi, bo stał za jej fotelem, ona mówiła bez przerwy. Piła już trzecią filiżankę herbaty i jadła drugi kawałek ciasta. Ale Fay, chociaż usłużnie naląła matce herbaty i ukroiła ciasta, niemniej zdołała dostrzec, że ojczym szybkim ruchem wsunął parę fotografii do swej małej teczki od listów, którą następnie włożył do bocznej kieszeni.

\* \* \*

Było rzeczą niewątpliwą, że pan Oskar Horfman wkradł się w łaski pana van Menterghem, który w zaślepieniu nie widział, że zgubny był wpływ Niemca na Toma. Lance widział to od pierwszego dnia z przenikliwością, właściwą zazdrosnemu człowiekowi w stosunku do rywala. Ale na nic by się nie zdało przestrzec jowialnego Holendra, który nigdy nie widział dalej, jak koniec swego nosa. Tym bardziej nie można było mówić szczerze z Tomem.

— Lubię Oskara Horfmana — rzekł pan van Menterghem, gdy Lance ostrożnie zaczął zapuszczać sondę. — On zawsze był bardzo prawy w stosunku do mnie. Nic to nie szkodzi, jeżeli nawet Tom odwiedza w jego towarzystwie hotele i kabarety w Glamisdale. Mr Horfman jest mądrym człowiekiem, on nie przyjmuje kobiet u siebie. Nie trzyma nawet służącej. Nie znaczy to, bym miał być wrogiem kobiet, bynajmniej! Lubię kobiety. Lubię ich towarzystwo, o ile są dobre i zasługują na szacunek. Ale dla chłopca w wieku Toma wolę męskie towarzystwo. A w Sans Souci on to właśnie znajduje.

— Ale pan nic nie wie o Sans Souci, Mr van Menterghem — zauważył Lance.

— Jakże mogę nie wiedzieć? Byłem w Sans Souci niezliczoną ilość razy, byłem na obiedzie i na śniadaniu. Jest to bardzo piękna rezydencja. Tom może być dumny, że jest tam zawsze pożądanym gościem.

— Ale Tom gra w karty i pije...

— Tak, ale to czyni w jednym z tych wstrętnych hoteli w Glamisdale, nie w Sans Souci, tego może pan być pewien. Tam widziałem na

stole tylko najlepszego szampana, którego podawano w umiarkowanych ilościach. A kart nie widziałem ani razu. — To znaczy tylko, że pan Horfman usiłuje zamydlić panu oczy, przyjacielu — pomyślał Lance, ale nic nie powiedział. Nie miał dowodów, kierował się tylko instynktem. A instynkt ten był przemożny, podsycany oczywiście zazdrością.

\_ Skoro Fay będzie zameżna i osiadzie w Sans Souci — ciągnął dalej pogodny Holender — Tom pozna tam z pewnością jakąś panienkę, która przykuje jego uwagę i wzbudzi uczucie, a wtedy i on założy ognisko rodzinne.

Fay zameżna! Fay zamieszka w Sans Souci! Wielkie Nieba! Skoro tylko wspomiano o tym zbliżającym się fakcie, Lance miał czerwone koła przed oczami. Chwilami snuł w myśli systematyczny plan morderstwa. Nienawidził Oskara Horfmana z całą siłą. Nic nie wiedział o nim, a raczej wiedział tylko to, co mu podszeptał własny instynkt; a trudno polegać na instynkcie, którego sprężyną jest zazdrość. „Ktoś powinien uwolnić świat od tej bestii” mówił sam do siebie. — Zatem, dlaczegóż bym to nie miał być ja tym kimś? Proces o zabójstwo nie byłby dla mnie pierwszozną”.

Dawał to do zrozumienia Fay, ilekroć miał okazję mówić z nią sam na sam, co zdarzało się nader rzadko. Ale pewnego dnia przyszła do ogrodzenia, gdzie ujeżdżał młode żrebaki według własnej metody. Tutejsze metody nie podobały mu się. Pan van Menterghem, dobry i wyrozumiały jak zawsze zgodził się na stosowanie przez niego systemu, jaki mu najlepiej odpowiada.

Dziwna była Fay. W jej zachowaniu względem nowego pracownika ojczyrna był odcień pobłażliwego lekceważenia, ale gdy zaczął ujeżdżać żrebaki, przychodziła przed ogrodzenie wraz z Tomem i przyglądała się, jak poskramiał zwierzęta. Pierwszy żreback był bardzo dziki, okiełznanie go trwało przeszło trzy godziny. Emma, która potrzebna była, jako przykład dla tej młodzieży, stała spokojnie, a Mr Micawber, wbrew wyraźnemu zakazowi swego pana, przybiegł na swych krótkich nóżkach i chodził jak cień za Lancem. Przeszedł pod parkanem, a raczej wślizgnął się, gdyż daremnie czekał dłuższą chwilę, aż mu otworzą drzwi. Teraz płątał się pod nogami. Lance obawiał się o jego bezpieczeństwo, bo żreback wierzgał niemilosier-

nie i robił skoki zupełnie nieprzewidziane. On zaś, Lance, nie miał czasu pilnować psa, a przy tym musiał uważać na ruchy żrebaka. Ale mr Micawber był wszędzie, a taki był zwinny, że zawsze w porę uskoczył zarówno przed kopnięciem człowieka, pragnącego ustrzec go tym od gorszego losu, jak przed wierzgnięciem młodego konika. Podbiegał tuż pod nogi żrebaka i zdawało się, że już, już, niechybna śmierć go czeka... Fay wydała mimowolny okrzyk przerażenia. Mężczyźni pomagający Lanceowi, zaklęli głośno i ruszyli wydobywać zniekształcone psie ciało spod kopyt żrebaka, ale mr Micawber wyslizgnął się z najzimniejszą krwią spomiędzy nóg końskich, usiadł na tylnych łapach, zarzucił uszy na oczy niemal i patrzył nieco drwiąco dokoła, jakby chciał powiedzieć: — I na co tyle wrzasku? Czy nie wiecie, że ja się zawsze wywinę?

Lance, pochłonięty swą pracą, nie mógł spoglądać w stronę Fay. Dopiero, gdy żreback pozwolił mu odsapnąć na sekundę, spojrzął na nią nieznacznie. Wyglądała ślicznie w bryczesach do konnej jazdy i w niebieskiej bluzie, rozchylonej przy szyi, skórzanym pasie i wysokich butach. Na głowie miała różnobarwny turban, który przytrzymywał jej włosy, ale kilka blond loków wymykało się nieposłusznie spod niego, a wiatr igrał z nimi do woli. W słońcu wyglądały te loki jak ogniste płomyki. Całe rano jeździła konno po okolicy, ale nie z Lance'em. Widział, jak wyjeżdżała... Towarzyszył jej Oskar Horfman. W Lance widok ten wywołał ponownie mordercze zamiary. Praca nad żrebakiem uspokoiła wzburzone nerwy, ale teraz, gdy odpoczywał, a zarazem widział przed sobą Fay, stojącą przy Emmie i obejmującą ślicznym ramieniem szyję zwierzęcia, słodką twarzyczkę opartą o sierść klaczy, znowu zbudziło się w nim piekło... Oskar Horfman, elegancko ubrany, stał obok niej, śmiał się i szeptał jej coś do ucha. Lance zapragnął podrażnić żrebaka tak, by wierzgnął w jego stronę i jednym zamachem przewrócił i poturlał kilkakrotnie znieawidzonego rywala.

Lance widocznie udzielił tego świetnego pomysłu żrebakowi, który nagle stał się dzikszy, niż poprzednio i, korzystając z chwili, w której Tom podawał rękę Madocowi, wierzgnął, stanął dęba i zrzucił jeźdźca, który wyciągnął się jak długi, na ziemi. Pan Hortman zawołał ironicznie: „Brawo!” i dodał: „Jeszcze raz tak, Madoc, nie widziałem tego z bliska, teraz będę uważał”.

Tom zaś orzekł, że woli się nie zbliżyć do tego rozhukanego zwierzęcia. Fay krzyknęła, widząc Madoca na ziemi, ale młody człowiek już się podniósł i rzucił kilka słów Emmie, która do tej chwili stała nieruchomo i obserwowała zdarzenia, rozmyślając nad głupotą żrebaka; nie brał życia z taką prostotą i rezygnacją jak ona sama. Ale teraz na to tajemnicze wołanie swego pana, Emma ruszyła w kierunku bariery,

O którą opierał się pan Horfman, stanęła na tylnych nogach, przednimi zaś, mocno zabłoconymi, dotknęła eleganckiego ubrania Horfmana

I obwąchała go całego, zanim zdążył się usunąć. Mr Micawber nie pozostał w tyle, prześlizgnął się znów pod parkanem i polizał wyglansowane buty pana Horfmana.

Lance z rozkoszą posłyszał przekleństwa pana Horfmana, który miotał się, jak pastuch z prerii. Fay śmiała się tak serdecznie, jak nie widział jej śmiejącej się od dawnych, dobrych czasów. Z zadowoleniem również zobaczył, jak wściekły Horfman, skierował się do domu, biegnąc szybciej, niżby potrafił kiedy indziej. Żrebak uspokoił się teraz zupełnie. Po pół godzinie Lance trzymał go za uzdę, a zwierzę, zdyszane, stało spokojnie. Madoc zwrócił się do Fay:

— Chce pani popieścić ręką jego uszy? Przytaknęła gorliwie.

— To proszę podejść pomaleńku. On teraz będzie stał spokojnie przez kilka minut.

Podeszła ostrożnie, by nie spłoszyć żrebaka.

— Dobrze — rzekł Lance — teraz może pani dotknąć ręką jego szyi i uszu.

Roześmiała się wesoło i poklepała konika po karku, po którym pot spływał. A teraz, na wezwanie Lance'a, Emma podeszła powoli, a Fay pomogła Lance'owi zaprząć oba zwierzęta do jednego wozu. Ruchy miała szybkie, pewnie i nie bała się. Mój Boże! Jaka ona piękna! Lance wyszeptał: — Cudna jesteś! Kocham! Ubóstwiam cię! Umrę, jeżeli cię nie pocałuję! — Powtarzał to coraz głośniejszym głosem, bo nie był pewien, czy ona słyszy. W końcu spojrzał na nią pytająco i spotkał jej oczy, te szare oczy, w których była taka czystość i taka jakaś dziwna tajemniczość i ogrom zorzy polarnej. Spuściła oczy i nie zdążył wyczytać w nich, czy słyszała, czy nie. Ale na chwilę głowa jej tak się pochyliła ku niemu, że fruwające loki dotknęły jego ust, a na ręce poczuł jej kochany oddech. Nie wiedział

jak się to stało, że nie oszalał wówczas. O mało znów nie podrażnił żrebaka. Na szczęście, zarówno Fay, jak Emma, pozostały obojętne i chłodne, Fay pracowała pilnie pod kierunkiem Madoca. Gdy wreszcie żreback stał już równo w rzędzie obok Emmy, oboje w zaprzęgu do starego wozu, Fay pomogła Lance'owi objechać ogrodzenie dookoła. Ona trzaskała z bicia, stojąc w przyzwoitej odległości od żrebaka, on zaś prowadził go za uzdę. Emmie, oczywiście żadne wskazówki nie były już potrzebne.

Po czterech godzinach zawziętej pracy, żreback był całkiem spokojny, bo i sił już biedakowi nie stało do wierzgania. Fay, zachwycona, uszczęśliwiona, wykrzyknęła: — O jakież to było przyjemne!

Stajenni mieli jeszcze pracę. Tom poszedł widocznie za panem Horfmanem. Lance i Fay zostali sami.

— Zmęczyłam się — stwierdziła Fay, śmiejąc się wesoło.

— Emma zawiezie cię do domu, wsiądź na nią — prosił Lance. — Za długo stałaś.

— Och! — odrzekła. — Sprawilo mi to taką przyjemność!

Ale zgodziła się pojechać konno do domu. Pomógł jej wskoczyć na siodło. Było już późno, zbliżał się zachód słońca. Emma wiedziała widocznie, że nie może teraz jechać zbyt szybko pobiegła delikatnym truchcikiem, a za nią mr Micawber.

Lance biegł pieszo przy boku Emmy. Był spryskany błotem od stóp do głów, ręce miał pokiereszowane, -bryczesy powykrzywiane. Niektóre sińce, pochodzące od wierzgnięć żrebaka strasznie go bolały, a mimo wszystko był jednym z najszcześliwszych ludzi na świecie. Od czasu do czasu wyciągał rękę i miał szczęście wówczas dotykać jej buta. Chwila była taka spokojna, cicha, idealnie piękna. Bał się, że jakieś słowo głośniejsze, jakiś fałszywy ruch może spłoszyć ten urok, rozwiać czar. Porównywał tęsknotę swego serca z ognistym blaskiem zachodzącego słońca. Otaczała ich samotność tej pełnej ukojenia godziny wieczornej.

Skoro dom ukazał się na horyzoncie, Madoc przemówił:

— To nie może się stać, Fay, rzekł.

— Co nie może się stać, Mr Madoc? — spytała.

— Nie mogę pozwolić, aby pani wyszła za mąż za tego człowieka.

— Jestem ciekawa jak zamierza pan temu przeszkodzić?

— Nie wiem, ale przeszkodzę temu. Boże wielki! Czyż pani...



— Cóż ja, panie Madoc? Ale dosyć na dziś tego tematu, bo jesteśmy blisko domu, a widzę, że ktoś idzie nam na przeciw...

— Chyba nie ten nędznik — rzekł Madoc ponuro.

— Nie, ta postać wygląda mi na Nurse Browne.

— No, to mamy jeszcze 10 minut. Niech mi pani powie...

— Co? Co mam powiedzieć, panie Madoc?

— Czy pani żywi jakieś uczucie dla tego typu? Pewien jestem, że nie. To niemożliwe. Przestałaby pani być sobą, gdyby pani mogła go kochać. Ale muszę usłyszeć zaprzeczenie z ust pani, albo oszaleję. Czy kochasz go, Fay, mów!

— Widzę teraz twarz Leny Browne, ona zdaje się być bardzo zdenerwowana!

— O! Do diabła!...

— Co pan mówi?

— Mówię: do diabła!

— Tak mi się zdawało, ale nie byłam pewna.

— Słuchaj, Fay, muszę się dowiedzieć, czy kochasz tego podłego typu i czy chcesz za niego wyjść za mąż z wolnej, nieprzymuszonej woli, bez niczyjej presji. Muszę to wyjaśnić, a jeżeli ustalę, że jest tak, jak przypuszczam, Boże! Ten nędznik nie będzie miał łatwej sprawy ze mną. Ale ja już wiem wszystko, wiem na pewno, a wiesz skąd? Dlatego, że ja cię kocham, nie tak jak przeciętny mężczyzna kocha przeciętną kobietę, lecz ubóstwiam cię, Fay, wielbię cię, miłuję każdy szczegół twojej osoby, twoje włosy, twoje oczy, twoje usta, twoje cudne ręce. Miłość moja jest dla mnie synonimem mego życia: jeżeli ty stąd wyjedziesz, by wyjść za mąż za takiego typu, jakim jest ten Hofman, zamorduję go, odpokutuję ten czyn, nie żałując, że go popełniłem, a jeżeli wyjdiesz za mąż za innego, to ja...

— Nurse Browne może już teraz słyszeć pańskie słowa...

- Wszystko mi jedno! Jeżeli natychmiast nie zwrócisz się ku mnie

i nie powiesz mi słów, których żądam, wyrzucę cię z siodła, zbiję cię, a następnie rozbiję sobie łeb o kamienie za karę, że byłem takim brutalem, taką bestią. Fay! Na miłość Boską, spójrz na mnie albo oszaleję.

Fay machnęła ręką w stronę Nurse Browne, która była już o kilkanaście kroków od nich.

— Mrs van Menterghem była taka zaniepokojona — wołała Nurse.

Lance zdjął kapelusz z głowy, rzucił go na ziemię i wsunął ręce do kieszeni.

— Dobrze! A zatem!... — mrucał.

Fay skorzystała ze sposobności, by zeskoczyć z siodła. Szła na spotkanie Lenie. Robiła wrażenie całkowitego spokoju i opanowania.

— Wszystko w porządku, Nurse — rzekła — bawiliśmy się wybornie. Ale jestem zmęczona.

Po czym, zwrócona do Madoca, rzekła bardzo oficjalnie.

— Dziękuję panu bardzo, Mr Madoc, że mi pan pozwolił dosiąść Emmy. Byłam istotnie trochę zmęczona.

Teraz patrzyła na niego, oczy ich spotkały się. Jej oczy były zimne. Uśmiechała się nawet, gdyż on wyglądał arcyzabawnie, stojąc tak z rękami w kieszeniach w blasku zachodzącego słońca, od którego nie chronił mu czoła i policzków kapelusz, leżący na ziemi obok niego. Niegdyś zadał sobie pytanie, czy Fay Mazeline jest naprawdę zimną i bez temperamentu dziewczyną, zimną jak niebo jej kraju rodzinnego. Było to wtedy, kiedy Muriel Lampriere uwodziła go blaskiem swoich czarnych źrenic. Ale dzisiaj nie zadawał sobie tego pytania powtórnie. Instynkt zakochanego mówił mu, że Fay nie była zimną kobietą, że pod tym pozornym spokojem tlił się ogień namiętności. Sam nie wiedział, skąd ma tę pewność, ale był o tym najmocniej przeświadczony. Tym mocniej jej pożądał, a myśl, że będzie ona należeć do innego, doprowadzała go do szału, tak że w tej chwili skrzyżował ramiona na piersiach, by stłumić krzyk rozpacz.

Fay odeszła, wraz z nią odszedł blask zachodzącego słońca, ustało życie kwiatów i drzew, pól i nieba. Wraz z nią odeszło piękno i nadzieja. Ziemia stała się szara i wyschnięta.

Lance podniósł dłoń do czoła, poczuł nagle straszny ból głowy, jakby mu skronie ujęto w rozpalone kleszcze.

Chłodził je rękami.

— Wielkie nieba, człowieku! Niech pan spojrzy na swoje ręce, co pan nimi robił! Niechże pan zaraz idzie ze mną, trzeba się umyć i przebrać.

I Błękitne Oczy, spokojna i praktyczna, jak zawsze, zaprowadziła go do domu. Szedł za nią jak dziecko, nie pytając o nic, posłusznie.

Opatrzyła znów jego skaleczenia. Taka była zręczna. Ręce jej były takie miłe, pewne, miękkie.

— Teraz może pan iść do siebie — rzekła — przepraszam, jeżeli wymęczyłam pana.

Tak kojąco na niego działała. Tak, to była wszakże ona — Błękitne Oczy. Spokojny port po morskiej burzy. Ale tęsknota za burzą i huraganem nie dała usnąć Lance'owi przez całą noc. Miał wciąż przed oczami obraz kobiety, uroczo wyglądającej w bryczesach, w bluzce niebieskiej, lekko wyciętej pod szyją, zwracającej ku niemu tajemnicze, głębokie, szare oczy, oczy, które były odbiciem światła zorzy północnej, zmienne, ale zawsze jednakowo czyste, a dla niego zawsze zimne i nieprzystępne.

A jednak zobaczył w nich ongiś czułość, widział jej rozchylone usteczka, czekające na pocałunek. Bóg świadkiem, iż on trzymał w ramionach tę cudną dziewczynę, a potem jak szaleniec postradał ten skarb.

Szaleniec! Szaleniec!

\* \* \*

Tom był trudny do prowadzenia. Nie wiadomo było nigdy jak z nim dojść do ładu. Czasem bywał miły i uprzejmy, prawie przyjacielski, wyjeżdżał na konne przejażdżki z Lance'em, chodził z nim na piesze wycieczki, przyglądał się, jak Lance trenuje żrebaki lub uczy Emmę nowych sztuczek. Interesował się tym nowym dla siebie trybem życia i był wesół, pogodny. A kiedy indziej zamykał się w sobie, stawał się posepny i nieznośny i wymownym milczeniem posyłał Lance'a do wszystkich diabłów. Był to strasznie zepsuty chłopiec, a przy tym natura poskapiła mu daru panowania nad sobą. Miał słabą wolę i poddawał się każdemu wpływowi, który zdawał się chronić go od nudy. W tym leżał dla niego urok Sans Souci.

Nie zajęło Lance'owi dużo czasu przeniknięcie całkowitej bezpodstawności tego, co mówił pan van Menterghem o hotelach i klubach w Glamisdale, jak również jego opowieści o cnotliwości Sans Souci. Tom grywał w karty w Sans Sauci, a nie gdzie indziej, tam przegrywał więcej pieniędzy, niż mógł stracić.

Tom nie był dyplomata, Lance mógł się od niego z łatwością dowiedzieć wszystkiego co chciał. Mr Oskar Horfman był, krótko mówiąc, ową zgubną potęgą, prowadzącą Toma do zagłady. Lance nienawidził tego człowieka od pierwszego wejrzenia. Był o niego zazdrosny do szaleństwa, ale zazdrość nie bywa ślepa, jak jej bliźniacza siostra, miłość tak, że Lance orientował się doskonale. Pojmował, że dla większości osób Horfman jest pociągający. Starsze panie uwielbiały go, bo w tym kraju prostoty i surowych obyczajów, ten cudzoziemiec mówił im rzeczy przyjemne i całował je w rękę. Starsi panowie lubili go, bo nigdy nie nużyły go pozornie ich oklepiane dykteryjki oraz ich opowiadania, jak to oni zaczęli karierę w tym kraju przed kilkudziesięciu laty, ilu ludzi zawdzięcza ich radom i wskazówkom powodzenie w interesach. Młodzi ludzie lubili pana Horfmana, bo był dobrym kompanem, dobrze się ubierał, zawsze miał w pogotowiu nowinki oraz anegdotki na po obiedzie, a młode kobiety lubiły go, bo doskonale tańczył, świetnie grał w tenisa i miał wielkie, rozżarzone, rozkochane oczy.

Słowem, pan Oskar Horfman był popularny i tylko Lance Madoc nienawidził go z całej duszy, która to nienawiść wzmagala się z każdym dniem. Ale dla Toma oraz dla własnego dobra Lance nie mógł kłócić się z panem Horfmanem, przeciwnie, musiał przestrzegać starannie pozorów przychylnego koleżeństwa. Podstępnie przekonywał pana Horfmana, że on, Lance, jest młodym szaleńcem, któremu udało się pozyskać względy pana van Menterghem, dzięki czemu będzie mógł teraz, podobnie jak Tom Mazeline, użyć życia i zakosztować, ile się da przyjemności.

Udało się.

Faktem jest, że najmądrzejszy człowiek robi czasem kapitalne głupstwo, w przeciwnym razie nigdy żaden rząd nie przepadłby przy wyborach i świat szedłby wiecznie tym samym utartym szlakiem bez tych zmian, które stanowią główny czar życia.

Pan Oskar Horfman popełnił błąd w swej urozmaiconej karierze życiowej: dał się wywieść w pole przez Lance'a i w mniemaniu, że ma przed sobą młodego urwisa, zaprosił go na obiad do Sans Souci. Lance udawał, że odmawia:

— Nie mam stroju odpowiedniego.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł łaskawie pan Horfman — przyjdzie pan w ubraniu takim, jakie pan posiada. Nie zadaje się szyków w moim małym domku. Przyjmuję tylko panów, miłych, pełnych prostoty ludzi, którzy nie będą zwracali uwagi na pański strój. Lubi pan brydża — zapytał od niechcienia.

— Nie gram w karty.

— A zatem tańczy pan shimmy? Nauczymy pana w przeciągu pięciu minut.

Lance pojechał do Sans Souci. Willa była imponująca, pięknie położona, pięknie pomyślana, wspaniale umeblowana. Służba była doskonale wyszkolona, sami mężczyźni, gotowi na każde skinienie gości i poruszający się bez szmeru. Obiad był wyborny, szampan świetnie zamrożony. Chińska porcelana, kryształ, srebra. Wszystko przyczyniało się do uwydatnienia bogactwa i smaku pana domu.

Wieczór upływał nader przyjemnie. Przy stole siedziało, oprócz, dwóch młodych ludzi z Bootham i pana domu, pięciu mężczyzn, widocznie z miasta. Przyjechali oni wspaniałymi samochodami, większość odjechała zaraz po obiedzie, pozostał tylko pan van Menterghem i dwóch panów, którzy cedzili powoli doskonale porto i rozprawiali o polityce, o futbolu i o najnowszej powieści Wallace'a. Było to wszystko idealnie poprawne i niesłychanie nudne. Biskup nie powstydziliby się tego stylu przyjęcia.

Pan van Menterghem odwiózł Lance'a do jego mieszkania przy Fore Street. Była dopiero godzina dziesiąta. Tom zgodził się pozostać na noc w Sans Souci.

— Abym był mniej sam — prosił go pan Horfman miodowym głosem. — Duży to dom jak na samotnika, a jutro z rana odwiozę cię do Bootham, o której godzinie będziesz chciał, choćby o świcie.

— Co ja panu mówiłem? — rzekł tonem tryumfu pan van Menterghem, żegnając się z Lance'em. — Niechby tylko Tom wszystkie wieczory tam spędzał, zamiast bywać w tych obmierzłych hotelach...

Lance nic nie odpowiedział. Patrzył za samochodem pana van Menterghem, póki go nie stracił z oczu. Poszedł na górę, do swego pokoju i usiadł zamyślony, na skraju łóżka.

Usiłował uprzytomnić sobie różne szczegóły tego pamiętnego wieczoru, pamiętnego, ponieważ obiecywał sobie, że będzie to punkt

zwrotny w jego życiu, jak również w życiu pana Horfmana. Ale wrażenia jego były nikłe. Bardzo niejasne. Tak niejasne, że nawet w samotności, w skupieniu, wzruszał tylko ramionami i sztychował z siebie, iż widzi rzeczy nie istniejące i słyszy rzeczy... Ale prawda! Co znaczyło to spojrzenie, rzucone przez pana Horfmana Tomowi, gdy pan van Menterghem przynaglał pasierba do powrotu do domu? Co znaczyło spojrzenie, rzucone wyszkolonemu, sztywnemu lokajowi, gdy Lance mówił, że nie umie grać w brydża? W pewnym momencie doleciał jego uszu zgiełk głosów, bo drzwi były otwarte na oścież. Służący błyskawicznym ruchem zamknął je bez szmeru. Ale nie zdążył zapobiec, by dobrze znane wyrazy nie doszły uszu Lance'a.

Jednym z tych wyrazów było: „Banco”.

Ale na podstawie pierwszej wizyty nie mówił o swych wrażeniach ani z panem van Menterghem, ani z Tomem. Niemniej podwoił wysiłki w kierunku osiągnięcia jak najlepszych stosunków z panem Horfmanem. Udało mu się to tak dalece, że został powtórnie zaproszony do willi Sans Souci na obiad. Pan Horfman dodał, że rad by, aby Lance uważał Sans Souci za swój drugi dom lub raczej za swój klub. Najwidoczniej zależało Horfmanowi na ciągłym obserwowaniu Madoca, którego się obawiał, nie zdając sobie sprawy ani z tej obawy, ani z jej przyczyny. Ale czy ten Lance był istotnie tak nieszkodliwym głupcem, za jakiego rad by uchodzić? Czy nie był to czasem jego zaczajony wróg? A jeżeli był wrogiem pana Horfmana, to tym niebezpieczniejszym, zamaskowanym. A zatem pan Horfman ze swej strony próbował zamydlić oczy Madocowi. Tak, aby nie widział, do jakich celów służyło Sans Souci. Zapraszał go więc wraz z panem van Menterghem, z którym traktował go na równi, pozwalając mu krążyć po całym domu, jak po swoim własnym, rzekomo bez ograniczeń, de facto zaś z dużymi zastrzeżeniami. Tym razem zdawało się Lance'owi, że pan Horfman i Tom Mazeline są ostrożniej-si w spojrzeniach, że okazały lokaj rusza się bardziej automatycznie niż poprzednio, a już zupełnie nie dochodziły dzisiaj żadne głosy z innych pokojów, jakkolwiek drzwi były przez cały czas otwarte na oścież. Mydlenie oczu powiodło się, sidła były zastawione. Gdyby Lance był trochę łatwowierniejszy, musiałby w nic wpaść niechybnie.

Upłynęło sześć tygodni od czasu pierwszej wizyty Lance'a w Bootham. Ślub Fay byłznaczony na 25-go lipca, za sześć tygodni — tylko sześć tygodni!

— Nie zaślubisz tego nędznika, Fay, przysięgam! — rzekł Lance znowu.

Fay spojrzała na niego uważnie i wzruszyła ramionami. Spojrzenie i wzruszenie ramionami znaczyło: „Biedny głupiec, jak on może zapobiec temu nieszczęściu?”

Przygotowania do ślubu były w pełni. Mrs van Menterghem czuła się znacznie lepiej, tak, że Nurse Browne przyjęła posadę pielęgniarki w szpitalu dziecięcym w Glamisdale. Sześć tygodni! Ha, świat powstał w ciągu sześciu dni zaledwie... Czyż nie można zniszczyć piekła w ciągu 42 dni? Istniała nadzieja, jakkolwiek słaba, że może Tom... On był jej bratem, a on wiedział coś niecoś o panu Oskarze Horfmanie.

— Słuchaj, Tomie — rzekł Lance do niego razu pewnego — nie dopuścisz chyba do tego, by twoja siostra wyszła za mąż za takiego...

— O, daj temu spokój, Madoc — przerwał Tom niechętnie. — Do czego ty się wtrącasz?

W niespełna tydzień później Lance odnalazł klucz do zagadki Sans Souci. Jadł obiad w Sans Souci w towarzystwie innych mężczyzn, ale bez pana van Menterghem. Mr Horfman był jeszcze uprzejmiejszy, niż zwykle, a Madoca szczególnie wyróżniał. Ten szaleniec Madoc miał wszakże dużo pieniędzy, dlaczego mu ich nie wyciągnąć z kieszeni? Był on mężem zaufania pana van Menterghem, prawdopodobnie rozporządzał sumami z jego rachunku bieżącego, miał wszakże pełnomocnictwa? Na co więc czekać?

Lance miał, na szczęście mocną głowę, w przeciwnym razie byłby go oszołomił szampan, którym lokaj pana Horfmana raczył go ze szczególną szczodroblewością, raz po raz napełniając jego kieliszek.

— No, teraz, panie Madoc, widzę, że pan już nie pije... Ale protestuję przeciw takiej wstrzemięźliwości! Tovey, proszę napełnić pusty kieliszek pana Madoca...

Tak było przez cały czas trwania obiadu, albo też zachęcał:

— Jeszcze tylko ten jeden kieliszek, panie Madoc, za pomyślność mego małżeństwa, które niebawem zawieram...

Lance bliski był ciśnięcia kieliszka z zawartością w twarz mówiącego. Na szczęście zapanował nad nerwami. W powietrzu Sans Souci unosiło się dziś coś, co zapowiadało przesilenie. Mógł wszystko popsuć niewczesnym wybuchem.

— Pan nigdy nie gra w brydża, panie Madoc? — zapytał jeden z obecnych.

— Byłem zawsze kiepskim graczem. W brydżu jest to podwójnie nieprzyjemne, bo psuje się grę partnerowi.

— A lubi pan shimmy?

— Taniec? Owszem.

— Nie, ja mówię o bardzo przyjemnej grze w karty. Spróbujemy dzisiaj.

Po obiedzie, gdy inni goście, stosownie do swego zwyczaju, chcieli się żegnać, pan Horfman wziął pod rękę Lance'a i zawołał wesoło:

— Nie mamy co się ukrywać, panowie. Mr Madoc jest moim przyjacielem, prawda?

— Ja?... Oczywiście... rozumie się...

— Tak więc i on zagra z nami partyjkę shimmy, co?

— Musicie mnie, panowie nauczyć...

— To nie potrwa długo.

Lance pozwolił się zaprowadzić do innych pokoi, gospodarz wciąż trzymał go pod rękę. Przeszli przez hall, potem przez długi korytarz, na końcu którego widniały wielkie podwójne drzwi. Lokaj w liberii otworzył szeroko podwoje przed panem Horfmanem i jego gośćmi. Za tymi drzwiami mieścił się znowu długi korytarz, a na końcu tego tajemniczego przejścia — znów wielkie drzwi, które na odgłos kroków Horfmana i jego gości otworzyły się od wewnątrz, jakby za wymówieniem uroczystego zaklęcia.

— Nikogo jeszcze nie ma — rzekł pan Horfman, — czujcie się, panowie, jak u siebie w domu.

Poczęstował każdego cygarem, papierosami, whisky, likierami. Pod ścianami stały skórzane kanapki, a pośrodku pokoju zobaczył Lance kilka stołów, pokrytych zielonym suknem, dokoła których poustawiane były krzesła. Na każdym stole umieszczona była lampa z zielonym abażurem. Przy jednym ze stołów krzesła otoczone były rodzajem poręczy, odgraniczającej ten stół, niczym wysepkę od reszty mebli.



Mniejsze stoliki czekały na brydżystów i pokerzystów. Na jednym końcu pokoju umieszczono bufet z trunkami i napojami chłodzącymi oraz rodzaj kasy z okienkiem na pokój. W okienku siedział mężczyzna

O łysej głowie, w dużych, w złoto oprawnych okularach. Z pamięci Lance'a znikły lata minione. Takie mu były znane te miejsca, ta tajemnicza atmosfera, te stoliki, bariery, to zielone sukno. Przed oczami duszy stanęły kluby londyńskie, kasyno w Monte Carlo, ów klub, gdzie grywał z Muriel Lampriere. Pozwolił panu Horfmanowi rozpocząć wykład gry, którą on sam znał aż nadto dobrze.

— Dostaje pan dwie karty... zaraz... musi pan czekać, aż bankier obejrzy swoje... Tak! Teraz pan dokupuje kartę... ma pan 8; więc pan wygrał. Nie, figury się nie liczą... Do szóstki nie ciągnie się nigdy... Do piątki czasem... nie zawsze... Niech pan obejrzy swoje karty... 8 lub 9 —jest to tak zwany abataż...

Podczas lekcji tutejszego „shimmy” sala zaczęła się zapełniać. Co za tłumy! Przeważnie mężczyźni, ale było też i kilka kobiet. Mężczyźni byli ubrani bardzo różnie, na ogół nieelegancko. Pan Oskar Horfman, Tom Mazeline i jeszcze dwaj mężczyźni byli we frakach, inni nosili, co kto miał, takie przynajmniej robili wrażenie. Widać było ubrania sportowe, flanelowe, swetry i surduty. Byli między nimi ludzie z Głamisdale, których Lance znał z widzenia. Byli i Amerykanie po trzydziestce, korzystający z przywileju swego wieku, pozwalającego im na przekroczenie granicy kanadyjskiej. Kobiety szczerze odsłaniały ramiona, szyje i nogi. Większość miała czarne lśniąco włosy, krótko obcięte i nie ondulowane: cera każdej prawie była podobna do cery wszystkich innych, gładka i delikatna, nasuwająca myśl o Neapolu lub o Sycylii. Przeważnie tylko paznokcie u rąk i bladość dłoni wewnątrz zdradzały sekret, który te panie rade by ukryć. Kilka z nich miało na szyi wspaniałe perły, piękne brylantowe naszyjniki, a na pulchnych palcach widniały pierścionki ze szmaragdem lub rubinem.

Niebawem wszyscy grali w karty. Największe ożywienie panowało przy stole, otoczonym barierą. Przy tym stole siedział Mr Horfman

1 trzej goście obiadowi. Trzej pozostali zasiadali przy sąsiednim stole. Dobrze znany Lance'owi wyraz: „Banco!”, rozbrzmiewał bezustannie. Przy innych stolikach panowała cisza. Słyszać było tylko szelest banknotów i od czasu do czasu cichy szept. Lance Madoc, ze zwykłym

szczęściem początkujących graczy, wygrał kilkaset dolarów; był przygotowany na przegraną, chętnie byłby zapłacił za wstęp do tego tajnego kółka, którego istnienie dawno podejrzewał, a dotychczas nie mógł dowiedzieć. Niebawem wstał z krzesła, zaprzestał gry i rozglądał się tylko dokoła, głuchy na namowę gospodarza.

— Chcę zabrać pierwszą moją wygraną, przynieść ją do domu. Nie będę grał dzisiaj więcej, dziękuję, Mr Horfman — rzekł. — Kiedy indziej znów szczęścia spróbuję.

— Dobrze, drogi panie, kiedy pan zechce, wieczorem, czy po południu, zawsze pan znajdzie towarzystwo do gry. Lance, obserwując bacznie co dzieje się dokoła niego, zobaczył dużo ciekawych szczegółów. Zauważył na przykład, że ci mężczyźni, którzy z nim razem jedli obiad w Sans Souci, mieli więcej szczęścia w grze, niż obcy przybysze. Każdy z tych przyjaciół pana Horfmana przegrywał w prawdzie drobną sumkę od czasu do czasu, ale ogółem biorąc, wygrywali oni stale. Zauważył również, że pewien procent od każdej stawki wrzucany był do skarbonki, stojącej pośrodku stołu i przemocowanej od spodu do zielonego sukna. Nic dziwnego, pomyślał, że pan Oskar Horfman może trzymać tyle służby, prowadzić takie kosztowne przedsięwzięcie i mieć ogrody, słynne na całą okolicę. Pić oczywiście nie przestawano, co również stanowiło niewątpliwie poważne źródło dochodów. Wkrótce większość twarzy zaczerwieniła się, głosy mężczyzn stały się chrapliwe, głosy kobiet — wrzaskliwe.

Tom Mazeline grał w karty i wygrywał. Był purpurowy, oczy mu błyszczały, krawat mu się przekrzywił. Stos banknotów przed nim rósł z każdą chwilą. Teraz nastąpiła chwilowa przerwa, wszyscy cisnęli się do sąsiedniego pokoju, zwanego barem. Mr Horfman poszedł za innymi. Tom pozostał na swoim miejscu, protestując głośno przeciw tej przerwie. Wymyślał i gestykulował, ale trzeba było przynieść nowe karty, bo talon był skończony, a to zawsze pociąga za sobą przerwę. Jeden z krupierów pana Horfmana tłumaczył to cierpliwie Tomowi, który zerwał się nagle, pobiegł w kierunku baru i chwycił pana Horfmana za ramię.

— Ile chcesz za te czeki — spytał — i za kwity?

Głos jego skrzypiał i piszcział. Donośne dźwięki dolatywały wyraźnie do kąta, w którym Lance siedział, rozmawiając ze starym, łysym gościem, który nie miał już w kieszeni nic do przegrania.

— Ile chcesz za to wszystko? — syczał Tom. — Gotówką na stół płacę.

— Mój drogi przyjacielu! — Głos pana Horfmana stanowił dziwny kontrast z piskliwym głosem Toma. Był dźwięk pełny, raczej miły dla ucha, ale przesłodzony, za miękki. Im Tom był bardziej podniecony, tym Horfman stawał się spokojniejszy i bardziej pogardliwy.

— Ile chcesz? — powtórzył Tom pytanie i podsunął panu Horfmanowi pod nos plik banknotów.

Pan Horfman wzruszył ramionami.

— Nic, mój drogi przyjacielu, albo całą sumę, na jaką opiewają czeki i kwity, albo też nic — rzekł i zaśmiał się rubasznie. — Nie ma u mnie rabatu dla płacących gotówką.

— Ty... świnió! Ty...!

— Uważaj, chłopcze — rzekł pan Horfman zimno i rzucił szybkie spojrzenie w stronę Madoca. — Twój mentor może usłyszeć.

— Niech go diabli wezmą!

— O! On jest nieszkodliwy!

Obaj odeszli o kilka kroków dalej. Ale po chwili Lance usłyszał znów głos Toma.

— Mam szczęście dziś wieczorem... odegram się, a w takim razie Fay...

To było wszystko. Lance oddałby wszystko, byle usłyszeć więcej. — A w takim razie Fay... — Wyobraźnia jego galopowała. Nie trudno było się domyśleć dalszego ciągu: „A w takim razie Fay nie jest zmuszona wyjść za mąż za ciebie”. Madoc w ten sposób zrozumiał to niedokończone zdanie Toma. Jakim głupcem trzeba być, by nie pomyśleć od razu o tym najłatwiejszym wytłumaczeniu tego haniebnego małżeństwa? Czeki, kwity, fałszerstwa oczywiście...

Tom młody łotr, Tom, w szponach tego teutońskiego drapieżnika, a Fay — ofiarą obydwóch.

Teraz trzeba wydobyć prawdę z Toma, dowiedzieć się, ile wynosi ta suma, którą jest winien opryszkowi, trzeba uwolnić Fay od tego łajdaka, uratować od tego frymarczenia jej osobą. Stary gracz o łysej głowie mówił bezustannie, Lance nie słyszał ani słowa. Pochłonięty był własnymi myślami, w uszach szumiały mu słowa: — W takim razie Fay...

Gracze wrócili na swoje miejsca. Gra rozpoczęła się na nowo: „Banco!” Dominował głos Toma, podniecony, ostry. Skądinąd cisza zupełna, szelest banknotów, czasami szept, niekiedy chichot.

Słodki, melodyjny głos tuż przy nim — Lance rozejrzał się, na wpół przytomny. Łysy mężczyzna znikł. Na jego miejscu siedziała kobieta o aksamitnych, czarnych oczach i o śniadej cerze. Dłonie miała różowe o białych liniach. Drgnął, ale spróbował się uśmiechnąć.

— Dużo przegrałeś tej nocy, duszko? — spytała kobieta. Bąknął jakieś wyrazy w rodzaju: „Przepraszam” i wstał. Została

sama na kanapce, patrzyła za nim uważnie z odcieniem sympatii. Ale Lance śledził wzrokiem Toma.

Toma opuściła wena. Przegrywał. Plik banknotów topniał przed nim. Co parę minut rzucał na stół dolary papierowe. Niektórzy goście już się wynieśli. Jedni poszli z wygraną, drudzy z pustką w kieszeni, ale dla jednych i dla drugich wieczór dzisiejszy był skończony. Nie słychać było ani razu wyrazów: „Do widzenia” albo „Dobranoc”. Rozlegał się tylko szum motoru i cichł niebawem.

Kobieta o czarnych, sympatycznych oczach, usnęła w kącie. Jej towarzysz wygrywał, mogła spać spokojnie. Dla niej oznaczało to nowy naszyjnik z pereł lub nowe futro. Zadowolona była, że czeka tak biernie, aż on ją zabierze do domu. Wyglądała teraz bardzo ładnie, ciemna jej głowa odcinała od czerwonego pluszu kanapki, pełna twarz była wydłużona pozycją leżącą, poprawiającą linię owalu. Ręce leżały na kolanach splecione.

Lance zdecydowany był, że nie odejdzie sam, musi zabrać stąd Toma

1 wydusić z niego prawdę za wszelką cenę. Był bardzo zmęczony, oczy bolały go z dymu i ciężkiego powietrza. Ledwo mógł zachować przytomność, nogi odmawiały mu posłuszeństwa, z wyczerpania oczywiście, gdyż wino dawno już „wywietrzało”. Nareszcie ruch się zrobił. Wszyscy wstawali i kierowali się ku wyjściu. Teraz słychać było ożywione rozmowy. Kobiety otulały się w kosztowne futra.

— Jakże ci się powiodło, mój drogi?

— O! Przegrałem, jak zwykle.

— Marek sporo wygrał. Gdyby przestał pół godziny temu...

— Przyjdiesz jutro?

— Tak... napewno...

Tom siedział sam przy stole. Przed nim leżała maleńka ilość banknotów. Podparł się łokciami i zatopił palce we włosach. Wszyscy wychodzili na korytarz, a stamtąd tylnym wyjściem do ogrodów. Trzy, czy cztery samochody czekały jeszcze. Szoferzy spali. Świtało. Lance oddychał świeżym powietrzem z rozkoszą, z uczuciem oswobodzenia. Dochodziły go pomieszane odgłosy radości i przekleństw ludzkich. Ale on nie słyszał. Słyszał natomiast szcęk wagonów przy fermie na szosie, szczekanie psów, głosy ptaków, czuł powiew porannego wiatru, który chłodził mu rozpalone skronie. Rwał się z powrotem ku temu światu, gdzie ludzie byli ludźmi, a nie marionetkami, gdzie panowała uczciwość i zadowolenie z własnego losu, a nie chciwość i żądza, niczym nie zaspokojone. W tamtym, czystym świecie, on i Fay mogą znaleźć miejsce dla siebie, a stąd wyrwać ją trzeba. On ją wyrwie ze szponów sępa.

\* \* \*

— Tom, musi mi zaraz powiedzieć...

Nareszcie udało się Lanceowi zdybać Toma. Siedział, a raczej leżał na werandzie, na wygodnym leżaku z przymkniętymi oczami, z wyrazem nieopisanego znużenia i rozpaczliwej malującej się na twarzy. Widok ten budził litość, bo Tom był dopiero chłopcem, a Pan Bóg nie obdarzył go siłą wewnętrzną.

Pan van Menterghem po długiej rozmowie z Tomem pojechał do Glamisdale samochodem. Pani van Menterghem odpoczywała, a Fay była niewidzialna; można było rozmawiać swobodnie. Tom unikał starannie Lance'a od poprzedniego wieczoru; wrócił nad ranem jednym z eleganckich „linkolnów” pana Horfmana, odmówił stanowczo pomocy Lance'owi w trenowaniu żrebacków, nie zgodził się również na przechadzkę inspekcyjną. Był milczący i ponury, od śniadania siedział na werandzie, miał przed sobą na stoliku szklanę, syfon i karafkę whisky, nie istniał dla niego radosny blask dnia letniego. Zmęczony, chory na ciele i duszy, czuł jeszcze w mózgu zamęt ubiegłej nocy, zbyt leniwy był, by się otrząsnąć z odrętwienia, był już na pół uśpiony, gdy wyrwał go z tej bierności niezwykle szorstko brzmiący głos Lance'a.

Lance przysunął krzesło tuż do niego i bez ceremonii potrząsnął nim.

— Nic ci nie powiem, przyjacielu — mruknął gniewnie Tom.

— Potwornie boli mnie głowa.

Ale Lance nie współczuł mu bynajmniej.

— Nie dziwi mnie to — odparł zimno. — Czegóż innego możesz się spodziewać po takiej nocy? Ale gdybyś nawet był umierający, jeszcze byś mi musiał powiedzieć, co Fay ma wspólnego z tą ohydą jaskinią gry.

— Nic, co by ciebie obchodziło. Wynoś się i daj mi święty spokój.

— Co ma wspólnego Fay z tym piekłem? — nalegał Lance.

— Dlaczego pozwalasz jej wyjść za mąż za tę kanalię, nie informując jej o jego łajdackim życiu?

Tom nie odpowiadał, oczy miał uparcie wbite w ziemię, Lance ciągnął dalej:

— Jeżeli mi nie odpowiesz, będę zgadywał.

— Ach! Daj mi spokój!

— Widziałem i słyszałem dosyć... Nie trudno jest zgadnąć, że sprzedajesz swoją siostrę temu... nędznikowi, że jej osobą płacisz swoje długie karciane i... gorsze rzeczy...

— Trzymaj swój przeklęty język za zębami! Do diabła!...

— Przestań kłąć, mały — rzekł Lance spokojnie — w przeciwnym razie doprowadzę cię energicznie do porządku. A teraz słuchaj. Temu małżeństwu trzeba zapobiec, rozumiesz? Zapobiegnie mu się... za wszelką cenę... Ile jesteś winien Horfmanowi?

— To nie twoja rzecz, już ci mówiłem.

— Moja rzecz, mylisz się bardzo. Już dziś stanąłem na drodze pana Horfmana.

— Co?!

— Pan van Menterghem pojechał do Sans Souci na poważną rozmowę z tym facetem.

— Jak to rozumiesz — poważną rozmowę?...

— Otworzyłem oczy twemu ojczymowi na to, co się naprawdę dzieje w willi Sans Souci.

— Nie może być!?

— Owszem, może być. Nie sądziłeś chyba, że przemilczę o jaskini gry w domu pana Horfmana. Nie wiem, jakie są prawa w Kanadzie, ale w Anglii jego piękne Sans Souci byłoby określone bardzo brzydkim

mianem, a właściciel dostałby się do więzienia za utrzymywanie podobnego miejsca schadzek i hazardu.

— Jeżeli poszedłeś do mojego ojczyma z twoją opowieścią... Tom już był całkiem ożywiony, siedział na fotelu i cisnął oburącz

ramiona Lance'a. Twarz jego była zaczerwieniona, włosy przylepione do czoła. W oczach tliły mu się dzikie ogniki. Lance był całkiem zimny. Musiał się jeszcze dowiedzieć wielu szczegółów. A zdawał sobie doskonale sprawę, że dowie się ich, zachowując całkowicie zimną krew, a doprowadzając Toma do wybuchu złości.

— O! Uspokój się, mój chłopcze! — rzekł Lance. Twego nazwiska nie wspomniałem panu van Menterghem, chyba mimochodem. — Tom uspokojony opadł z powrotem na poduszki, Madoc zaś ciągnął dalej:

— Nie bój się, nawet gdybyśmy się musieli odwołać do usług policji...

— Policji?... — Na dźwięk tego wyrazu opuściła Toma do reszty wszelka senność. Znowu siedział wyprostowany, zatopił palce we włosach i rozszerzonymi oczami patrzył na Lance'a, usta mu drżały, z trudem łykał ślinę.

— Chodzi o to, mój kochany — rzekł Lance zimno jak poprzednio — iż jesteś małoletni, a w tym wypadku gra w karty nie stanowi przestępstwa karnego. Nawet gdybyśmy nie zdołali ukryć twego nazwiska, byłbyś prawdopodobnie skazany na niewielką karę pieniężną.

— Ale mówię ci przecież... — Tom nie mógł wykrztusić dalszych słów, jąkał się i plątał. — Mówię ci...

— Nic mi nie powiesz, czego bym już nie odgadł. — Lance mówił w dalszym ciągu chłodno, jakby od niechcienia, ale obserwował pilnie Toma, starając się nieznacznie nakłonić go do szczerych wyznań, chociażby do jakiegoś słówka, mogącego naprowadzić go na właściwy trop.

— Nie masz prawa wtrącać się w moje sprawy... jesteś podłym szpiegiem... Kto ci kazał mnie szpiegować?... Chodzisz tylko i krążysz dokoła mnie i podpatrujesz moje tajemnice.

— Mówiłem ci, że nie wspomniałem twego imienia... Ale, na Boga! Wydam cię, o ile nie powiesz mi prawdy!

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Winien jesteś dużo pieniędzy panu Horfmanowi...?

— A jeżeli tak jest?...

— Więcej, aniżeli możesz zapłacić... Stul głowę!...

— A on zgodził się umorzyć ten dług, o ile Fay... o ile twoja siostra zgodzi się wyjść za niego.

— Kto to powiedział? Kłamstwo!

— Ja to mówię. I to jest prawda. Widzę to w twoich oczach, po twych ustach, po twych rękach, spójrz na nie tylko. Ale to się nie stanie. Możesz mi wierzyć. Skoro policja zaaresztuje pana Horfmana, nie będziesz mu już nic winien, a Fay automatycznie będzie uwolniona od tego narzeczonego!

— Cóż za szaleniec! Jeżeliby moja siostra zerwała zaręczyny...

— No, to cóż?

Tom zerwał się z leżaka. Ręce włożył do kieszeni i biegł tam i z powrotem po werandzie. W końcu zatrzymał się przed Madozem.

— Fay nie będzie ci wdzięczna za tę interwencję — rzekł.

— Możliwe — odrzekł Lance chłodno. — Ale mimo to zrobię, co do mnie należy.

— To znaczy?...

— Powiem prawdę panu van Menterghem, skoro tylko wróci do domu, powiem mu, jak rzeczy stoją między tobą a tym łotrzykiem Horfmanem... Twój ojczym to dobry człowiek, zapłaci, przypuszczam, twoje długi, a na pewno nie dopuści do tego wstrętnego małżeństwa. Po czym obaj pójdziemy do komisariatu, o nie, on już tego sam nie uczyni.

— To będzie moją zagładą — wybuchnął Tom, nie panując już nad sobą.

— To będzie zagładą pana Horfmana raczej, tak chciałeś powiedzieć zapewne? — odparł Lance spokojnie.

— Moją zagładą i matki, i Fay, nas wszystkich... Boże wielki! Czyż nie rozumiesz, Lance, czyż nie widzisz... Ty głupcze, ty szaleńcze... Boże mój! Czyż ten człowiek nie widzi, że...

Chłopiec padł na krzesło bez tchu. Twarz ukrył w dłoniach, łokcie oparł na kolanach i szlochał jak dziecko. Lance stanął tuż przy nim, serce go bolało za tego młodego idiotę, który był bratem Fay, tak podobnym do niej chwilami. Lance miał wrażenie, że dręczy zwierzę lub, że zbił dziecko. Ten chłopiec taki był załamany i biedny z jego powodu!



Ale prawda musiała być ujawniona, a przy tym nie wolno było zapomnieć, że Tom popełnił ciężkie przewinienia, za które odpokutować musi każdy. Jeszcze nie można okazać mu litości, trzeba najpierw wymóc na nim niezbędne wyznania.

— Dosyć, Tomie — rzekł chłodno. — Przestań płakać. Jak ja ci mogę pomóc, kiedy ty wszelkimi siłami starasz się ukryć prawdę przede mną? Ale widzę, że między tobą a tym łotrem Horfmanem jest coś, nie tylko długi karciane. Popełniłeś coś bardzo złego, coś kryminalnego, czy tak?

Tom milczał. To milczenie równało się wyznaniu.

— A Horfman wie o tym? Grozi, że cię wyda, o ile... Człowieku, do licha!... — wrzasnął nagle Lance z najwyższą irytacją — dlaczegoż nie powiesz mi, jak się ta sprawa przedstawia?

— Żebyś mnie zdradził, tak? — mruknął Tom.

— Wiesz, że tego nie zrobię...

— A dopiero co powiedziałaś...

— Gdy chodzi tylko o grę w karty i o długi...

— Tak, palnąłeś mi już kazanie i chcesz mieć do tego jeszcze szersze pole...

— Ja?... Boże wielki!... — Lance odrzucił w tył głowę i roześmiał się serdecznie. Śmieszna sytuacja naprawdę! On, zbieg z więzienia, palnie kazanie temu biednemu idiocie! Gdyby nie szło o Fay...

— Tomie — mówił dalej Lance — powiedz mi, co zrobiłeś? Przysięgam ci, że, o ile to jest coś kryminalnego... nie wydam cię... Przysięgam na głowę twojej matki i Fay. Przysięgam, że nie będę cię nudził kazaniami. To nie prowadzi do celu. Ale powiedz mi... Jeżeli mi powiesz całą prawdę, obronię cię moim milczeniem, pomyślę o... o czymś..., ale powiedz prawdę. O co chodzi? O sfalszowane czeki?

Tom przytaknął.

— Powiedz mi — nalegał Lance, chwytając Toma za rękę i zmuszając go do spojrzenia mu prosto w oczy. Mierzyli się obaj przez pół minuty, minutę, ten mężczyzna, który twardo pokutując, rehabilitował się za winy przeszłe i ten chłopiec, który staczał się tam, skąd cudem tylko uszedł Amos Beyvin, skąd wyratowała go dobroczynna dłoń zacnej kobiety. Ach! Żeby ten chłopiec był do uratowania! Boże! Niech

on się nie stoczy, on, brat Fay, czyżby jedynym sposobem ocalenia go miała być śmierć opryszka...

— Sfałszowane czekki? — nalegał Lance.

Tom znowu przytaknął. Wyrwał rękę z żelaznego uścisku Lance'a i zerwał się na równe nogi. Znow zaczął mierzyć werandę szerokimi krokami.

— Nie możesz ich wykupić? — spytał Lance.

— Nie — odrzekł Tom krótko.

— Dlaczego? Próbowaleś?

— Tak. On nie chce się z nimi rozstać. Dopiero po ślubie... Tym razem Lance Madoc wstał z krzesła.

— A no! — rzekł — zobaczmy!

Tom biegał dookoła werandy jak zraniony zwierz.

— Co zamierzasz zrobić? — spytał.

— Jeszcze nie wiem.

— Przysięgłeś...

— Tak jest. Zastanów się, człowieku, czy wyglądam na łotra, zdolnego do zdradzenia twojej okropnej tajemnicy?

Tom wzruszył ramionami. Widocznie uważał, że nie jest to niemożliwe. Ale odczuł, że dla jakiejś nieznaney mu przyczyny Lance będzie milczał z pewnością. Może, myślał Tom, Lance nie będzie chciał zrzec się swej doskonałej posady w Bootham.

— Powiedz dokładnie, jakie to czekki? — pytał teraz Lance chłodno. — Horfman ma je w ręku? Hm, sfałszowane czekki, rozumiem, ile? — Trzy.

— Czyj podpis?

— Mego ojczyma.

— Do diabła. To wszystko?

— Kwity na pieniądze, które powinienem był złożyć w banku.

— Ile?

— Tylko dwa.

— Tylko!... To wszystko?

— Wszystko.

— A on zgadza się wydać ci te papiery w zamian za całe życie Fay, za jej szczęście, za... Skąd wiesz, że dotrzyma słowa?

— On mówi, że przecież nie wyda swego szwagra.

— Subtelny argument. Ale nie przekonuje mnie całkowicie. Teraz z kolei Lance biegał tam i z powrotem po werandzie. Śmiał się

chwilami. Tom przyglądał mu się z niepokojem, po czym wzruszył ramionami. Odzyskał spokój. Był nawet spokojniejszy niż Madoc. Zapalił papierosa, przechylił się przez poręcz werandy i czekał, aż Lance przemówi. Ale po upływie minuty odrzucił papierosa i zwrócił się do Madoca.

— Fay uważa, że niemożliwe jest — rzekł — by Horfman prześladował mnie, gdy się pobiorą. Mnie się zdaje, że ona nie ma wstępu do Horfmana bynajmniej, widzisz... On jest bogaty, zapewni jej szerokie życie, a on na serio zamierza zamknąć ten dom gry, by sobie Fay nie zrazić. Zamieszkają zapewne gdzieś w pobliżu...

Ale Lance miał dosyć tych opowiadań.

— Przestań, na miłość Boską! — krzyknął, doprowadzony do istnego szału tym gadaniem chłopaka. Jednym susem zeskoczył do ogrodu i biegł przed siebie.

Tom patrzył za nim aż zniknął za węglem domu. W gruncie rzeczy ta rozmowa wypadła zadowolająco. Zaszkodzić nie mogła. A zawsze lżej mieć kogoś, kto wie o tej ciężkiej mu tajemnicy. Fay nie zawsze była dość wyrozumiała.

Tom sądził, że wszystkie dziewczęta są takie, że robią wiele hałasu, gdy mają zaślubić mężczyznę, którego nie bardzo lubią.

\* \* \*

Lance był na szczęście poza domem, gdy przyjechał późnym popołudniem pan Horfman; przyjechał swoim rolls-roycem z szoferem w liberii. Ubrany był, jak zawsze doskonale miał kwiatek w butonierce, na twarzy wyraz zadowolenia. Tom wybiegł mu na spotkanie.

— No? — zapytał bez tchu, skoro tylko pan Horfman wysiadł i szofer nie mógł ich słyszeć.

— A zatem już wiesz?...

— Tak! Madoc powiedział mi.

— Ten przeklęty...

— Dobrze! O tym z nim mówić będziesz.

— Masz rację. Głupi byłem, że się dałem nabrać.

— Zwyczajny szpieg. Ale co słyhać z Holendrem?

— Uspokoilem go na razie — rzekł pan Horfman. — Nie była to łatwa sprawa, musisz wiedzieć. Jeszcze nie wybrnęliśmy, mój przyjacielu.

— Chodź, napijemy się.

Trunek jest uniwersalnym lekarstwem na wszelkie strapienia. Tom wziął pod rękę przyjaciela i zaprowadził go na werandę, gdzie stał syfon i whisky, oraz kubek lodu.

— Mów! Co powiedział Holender? — pytał teraz Tom gorączkowo.

— Dał mi miesiąc czasu — odrzekł pan Horfman ze śmiechem, wzruszając ramionami — na zerwanie moich zaręczyn z twoją siostrą...

Tom milczał. Tamten dodał po chwili swym teutońskim akcentem:

— Niedobrze dla ciebie, przyjacielu, co?

— Jak to rozumiesz?

— Tak, jak mówię. Miałem wręczyć Fay te sfalszowane czekki w dniu naszego ślubu, prawda?

— Wielkie Nieba! Człowieku! — wykrzyknął Tom. — Przecież nie zamierzasz...

— Oczywiście — rzekł pan Horfman zimno — nie dam jej tych czeków, jeżeli nie wyjdzie za mnie za mąż. To jasne.

— Ja nie to mam na myśli. — Tom uczył nagle dziwną słabość. Miał wrażenie, że dostał gorączki i że za chwilę zemdleje. Pan Oskar Horfman natomiast siedział na wprost niego, zachowując całkowitą równowagę fizyczną i duchową. Wyjął cygaro, zapalił je, czekał, aż się na dobre zajmie i dopiero puściwszy gęste kłęby dymu, zdecydował się znów przemówić.

— Wiem, co masz na myśli, mój drogi — rzekł, patrząc w rozgorączkowane oczy chłopca z zimną ironią. — Ale musisz pamiętać, że ja dotychczas miałem twarde życie. A tu naraz dostaję nieoczekiwane maczugą w głowę i grozi mi powalenie na ziemię prędzej czy później. No, nic dziwnego chyba, że ja również rozdzielam ciosy na prawo i na lewo, bo tym łatwiej uratuję samego siebie. Rozumiesz?

— Nie — odrzekł Tom krótko.

— Posłuchaj. Twój uprzejmy ojczym dał mi miesiąc czasu nie tylko na zwolnienie twojej siostry z danego mi słowa, lecz również na zlikwidowanie moich interesów, inaczej mówiąc na zamknięcie klubu...

— No, i nie kazałeś mu poprostu iść do diabła?

— Owszem, ale on, zamiast iść do diabła, ma zamiar iść do komisariatu, o ile nie zamknę klubu. Otóż, pojmujesz, że jeśli zerwanie zaręczyn jest dla mnie ciosem ze względów uczuciowych, to zamknięcie klubu jest dla mnie ruiną po prostu. Sans Souci i to, co się z nim wiąże jest moim jedynym środkiem egzystencji. Skoro zamknę klub, muszę sprzedać dom...

— Ten dom musi być wart bardzo dużo pieniędzy...

— Tak, ale trudny jest do utrzymania ze względu na swe rozmiary. Ja go kupiłem za bezcen, bo od lat szukano daremnie nabywcy. Ale to moja rzecz, niczyja więcej. O ile nie zamknę klubu dobrowolnie, policja zrobi to za mnie, a to będzie bardzo nieprzyjemne dla nas wszystkich. Twój stary Holender postawi na swoim. Przy tym to może uniemożliwić prowadzenie takiego samego lukratywnego przedsiębiorstwa w innym mieście tego kraju. Musiałbym wyemigrować do Stanów Zjednoczonych lub Meksyku, a na jednym i drugim straciłbym... Słowem, dużo wody upłynęłoby, zanim znalazłbym odpowiednie miejsce pobytu i pracę, do której konieczne są stosunki. Zrozumiałeś?

— Zdaje mi się — rzekł Tom tonem zupełnego wyczerpania.

— A przy tym nie mógłbym nigdy pozostać w waszym sąsiedztwie, skoro moje zaręczyny będą zerwane... ja kocham twoją siostrę...

— Och! Przestań już...

— Słusznie. Wspomniałem tylko przelotnie o tym względzie uczuciowym, który wraz z finansowym zmusiłby mnie do opuszczenia Sans Souci. Widzisz, że byłbym dosłownie wyrzucony z siodła.

— Zgoda! Ale to nie moja wina.

— Bynajmniej. Ja też tego nie twierdzę, Ale nie o to chodzi, czyja to jest wina. Musisz tylko zrozumieć, mój drogi Tomie, że będę zmuszony, wbrew najszczęśliwszym chęciom, uciec się do wszelkich możliwych sposobów, aby móc rozpocząć nowe życie, inaczej mówiąc, będę musiał zebrać zewsząd moje należności i zmobilizować jak najwięcej gotówki...

Przerwał, puścił znów parę kłębow dymu z cygara, po czym ciągnął dalej:

— ...1 obliczyłem dla ciebie te sfalszowane czeki i sfalszowane kwity na sumę 17 tysięcy dolarów.

Znów przerwał, czekając na efekt swych słów. Tom siedział przy nim oszołomiony, zaskoczony, oczy jego straciły wszelki wyraz, twarz była blada, ręce kurczowo zaciśnięte i splecione trzymał na kolanach. Zaczynał rozumieć.  
— Ależ ja nie mogę dziś już nigdzie dostać ani pożyczyć 17 tysięcy dolarów — wyszeptał w końcu. — Łatwiej przyszłoby mi fruwać.

Pan Oskar Horfman uśmiechnął się.

— Będziesz musiał postarać się o nie, mój przyjacielu — rzekł słodko.

— Boże mój! Jak?...

— To już twoja rzecz, nie moja.

— Ależ ja nie mogę... doprawdy nie mogę...

— No, to ja będę zmuszony postarać się o nie...

Pan Horfman odłożył cygaro. Pochylił się naprzód i patrzył na Toma tak bystro, tak uporczywie, że chłopiec mimo woli odwrócił oczy.

— Widzisz, Tomie — rzekł pan Horfman bardzo powoli. — Powiedziałem ci już, że musisz pojąć cios który mnie spotyka. W ciągu paru minut zawalił się gmach mego majątku, powodzenia, dobrej opinii. Zaręczyny moje z kobietą, którą kocham jak szalenciec, są zerwane, przedsiębiorstwo moje jest zniszczone, dom muszę sprzedać. Czy nie zaświtało ci, że człowiek, który został tak srodze dotknięty, chce się podobnie odwzajemnić innym? Chce zwłaszcza siebie ocalić tą drogą. Niedola za niedolę, nieszczęście za nieszczęście. Gdybyś ty nie został moim przyjacielem, gdybym cię mniej lubił, byłbym cię od razu wydał, mówiąc z twym ojczymem; byłbym go przekonał, że sprawiedliwości musi się stać zadość. Byłby poszedł ze mną na policję. Dziś już miałem na końcu języka te wyrazy: „Panie van Menterghem, albo ja się ożenię z Fay Mazeline i przemilczę te wszystkie sprawy, albo jej brat Tom pójdzie do więzienia”...

— Boże Wielki!

— Tak, tak: „Boże wielki”, a któż mi zaręczy, że twój ojczym nie odpowie na to: to niech chłopak idzie do więzienia, a ty Fay nie dostaniesz, łotrze! On by prawie na pewno tak powiedział, wiesz o tym dobrze, chłopcze!

— Prawdopodobnie — szepnął Tom z ciężkim westchnieniem.

— Widzisz więc, że tylko mojej przyjaźni zawdzięczasz, że nie siedzisz w tej chwili w celi więziennej. Ale i moje poświęcenie ma granice. Ja nie zrobiłem nic złego, mimo to jestem dziś zrujnowanym człowiekiem, a ja nienawidzę biedy! Muszę zacząć od początku, ale muszę mieć dużo pieniędzy, ile tylko się da uzbierać. Mam trochę należności u ludzi. Twój dług jest największą sumą. Albo wykupisz te czeki i kwity w ciągu miesiąca, albo pošlę je na policję. Przykro mi bardzo, ale to jest moje ostatnie słowo.

Tom nie odpowiedział. Mózg odmawiał mu posłuszeństwa. Czuł się coraz słabszy fizycznie, jakby, biegnąc szybko przed siebie, uderzył mocno głową o mur i rozbił się strasznie. Gdy pan Horfman przestał mówić, on przestał na chwilę widzieć i słyszeć. Stracił świadomość, ale nie na tyle, by nie zdawać sobie sprawy, że zawisła nad nim katastrofa. Wreszcie wyjąkał: — Nie mogę... jakże bym mógł?... Gdzie?... Skąd? Nie mogę... — Nagle zwrócił się do Horfmana z dzikim wyrazem w oczach:

— Skąd mam wziąć pieniądze? — krzyknął. — Jakże ja mogę?... Ale pan Horfman był wciąż spokojny i uprzejmy.

— Już ci powiedziałem przedtem, że to twoja rzecz, nie moja. Mogę ci tylko poddać myśl, byś się zwrócił na przykład do matki...

— Ona nie ma teraz pieniędzy, wiem dobrze, ostatnim razem...

— Ostatnim razem, kiedy próbowałeś coś wydusić, nie mogła ci nic dać, wiem. Ale twoja siostra również ma pieniądze...

— Och! Odczep się od mojej siostry!

— Może twój ojczym...

— Wierzysz w to, że on da?...

— No, dobrowolnie chyba nie.

— Co masz na myśli, mówiąc: „Dobrowolnie chyba nie”?

— Mam na myśli — odrzekł pan Horfman swym najśłodszy tonem — że on niechętnie dałby ci pieniądze ot, tak sobie, ale gdy się dowie, że te 17 tysięcy mają ocalić cię od więzienia...

— Radzisz, bym mu powiedział, że sfalszowałem czeki?...

— Dlaczego nie? Tom przeraził się.

— Dlatego nie, że on zapewne uważałby, iż więzienie jest dla mnie najodpowiedniejszym miejscem pobytu.

— Nie, z pewnością nie!

— Albo pośle mnie za karę gdzieś, gdzie umrę z nudów... A przy tym, co za różnica: czy ty trzymasz nade mną przez całe życie miecz Damoklesa, czy on?...

— I na pewno on będzie dla ciebie przykrzejszy niż ja byłem i jestem — rzekł pan Horfman. — No, ja cię nie zmuszam do tej szczerości. Poddaję ci tylko myśl...

— Poradź coś innego.

— Hm... Pan van Menterghem miewa w domu często więcej niż 17 tysięcy dolarów...

— To są pieniądze klientów. Zamyka je stary w kasie ogniotrwałej w swoim pokoju. Nie jestem zawodowym włamywaczem.

— Naturalnie. Nie proponowałbym ci czegoś podobnie niedorzecznego. Dobrać się do kasy ogniotrwałej? Skądże! No, teraz muszę odjeżdżać stąd, mam milion spraw w związku ze sprzedażą Sans Souci. Postaraj się, mój drogi chłopcze, bym miał szybko te pieniądze, dobrze? Powiedzmy, za tydzień, mój drogi, a ty będziesz nie mniej zadowolony, że zobaczysz przed sobą ostatni z tych czeków. Do tego czasu zatem. Nie przeszkadzaj sobie, sam trafię. Przyślę ci „lincolna” niebawem, bo może zechcesz przyjechać, pogawędzić trochę, naradzić się. A zatem, za parę dni się zobaczymy. Nie martw się, chłopcze. Znajdziesz jakieś wyjście, zobaczysz. Człowiek może dokazać rzeczy zdumiewających, gdy się zaveźmie, że coś przeprowadzi. A skoro ten interes będzie załatwiony, zaczniemy pertraktować z naszym wspólnym przyjacielem, z tym szpiegiem. Co?...

Automatycznie, jak zbity pies, który nie śmie, mimo otrzymanych razów, opuścić swego pana, poszedł Tom za panem Horfmanem i odprowadził go do rolls roycea, przy którym stał w postawie wyczekującej szofer w liberii. Mr Horfman wszedł do samochodu. Tom był milczący, grobowy.

— Wracać, Crips — rozkazał szoferowi Horfman. Ale jeszcze w ostatniej chwili, gdy już wóz ruszał, pochylił się ku Tomowi i szepnął mu do ucha:

— Holender jeździ często do Glamisdale, mając przy sobie więcej niż 17 tysięcy dolarów, daleka droga stąd do Glamisdale, lasem... Gdybyś potrzebował pomocy, daj znać, Crips zawsze jest gotów rękę



przyłożyć do podobnych przedsięwzięć. Parker również, i jeszcze jeden, albo dwóch... Daj mi tylko znać, rozumiesz? Do zobaczenia!

Wspaniały roli royce wystartował bez szmeru po asfalcie i wyjechał na szosę, zanim Tom zdążył odpowiedzieć na ostatnie słowa. Czy podszept pana Horfmana przeniknął do jego mózgu całkowicie, trudno byłoby powiedzieć. Tom w tej chwili podatniejszy był wpływowi niż kiedykolwiek. Był jak gąbka, najlepszy dowód, że nie wykrzyknął z oburzeniem: „Idź precz ode mnie, szatanie!”, usłyszawszy tę niecną radę.

\* \* \*

Dziwny, kojący spokój zapanował w domu w Bootham po tej burzliwej rozmowie. Mr van Menterghem nie wspominał o swej trudnej dyskusji z panem Horfmanem, a Lance nie zadawał pytań. Tom był bardziej grobowy niż kiedykolwiek, a pani van Menterghem rozmowniejsza niż zazwyczaj. Nie widzi, aby ten młody człowiek, taki podobny do Amosa Beyvina, wywierał dodatni wpływ na jej drogiego Toma, co Nurse myśli o tym? Tom nie wygląda na szczęśliwego chłopca, on nigdy nie był zwolennikiem koni, a to ciągle trenowanie, jeżdżenie konno, życie na wsi na pewno go tylko denerwuje. Pani van Menterghem sama czuła się znacznie lepiej i zamierzała wyjechać natychmiast po ślubie Fay do Victorii i zabrać Toma ze sobą. Czy Nurse nie uważa, że to wyborby plan? Po trzech dniach Lance poprosił pana van Menterghem o urlop tygodniowy lub dwutygodniowy.

— Działam na nerwy Tomowi — on ledwo znieść może mój widok. Obawiam się, że chybiłem celu, przyjmując posadę w domu szanownego pana, jakkolwiek...

— Chybił pan celu? — odparł pan van Menterghem. — Uważam przeciwnie, że osiągnął pan istny triumf, drogi przyjacielu; zdemaskował pan tego opryszka, którego nigdy nie posądzałem o nic złego w mej naiwności. Ale już ja go wypłoszę z sąsiedztwa, może pan być spokojny, a wtedy będziemy mieli spokój.

— Ale ja myślę, że lepiej, bym ja odszedł w ogóle, panie. Tom nie może mnie ścierpieć po tych ostatnich zdarzeniach.

— O! On musi się opamiętać, młody człowieku! Musi dojść do rozumu, już nie jest dzieckiem. Skoro się pozbedziemy Horfmana...

Lance potrząsnął przecząco głową.

— Ale, mniejsza o to, chłopcze — rzekł pan van Menterghem. — Ja nie myślę się rozstawać z panem. Lubię pana bardzo, a że ten młody głupiec...

Pan van Menterghem nie dokończył, był zirytowany. Jego zdaniem cała ta historia nie była warta tyle hałasu. Pasierbica jego zaręczyła się z człowiekiem, który nie był jej godzien. Ten idiota Tom dostał się między szulerów i wyzyskiwaczy, no i na tym koniec. To jeszcze nie powód, by pan van Menterghem tracił jednego ze swych najlepszych pracowników, i to człowieka, którego polubił bardzo, abstrahując od jego użyteczności. Oskara Horfmana pozbędą się, Fay przeboleje ten sentymentalny epizodzik, a Tom musi dojść do rozumu. Po czym spokojnie zapanuje raz na zawsze w Boothamie.

Te argumenty wytoczył pan van Menterghem, odradzając Lance'owi chęć wyjazdu.

— Niedaleko odjechałbym, sir — rzekł Lance — i nie na stałe, ponieważ pan jest tak łaskaw dla mnie. Na czas krótki...

— Na jak długo?

— Powiedzmy na dwa tygodnie.

Pan van Menterghem pomyślał chwilę i rzekł w końcu: „Bardzo dobrze, zgoda!”. Następnie dodał: — Ale pod jednym warunkiem, albo raczej pod dwoma.

— Słucham, sir?

— Że nie na dłużej, jak na dwa tygodnie i że nie przyjmie pan innej posady, nie uprzedziwszy mnie.

Lance chętnie zgodził się na oba warunki.

Trudniejsza będzie sprawa z Fay. Wiedział o tym. Prawdopodobnie nie będzie chciała z nim rozmawiać. Od czasu owego powrotu z wybiegu, gdzie trenowano żrebaki, unikała go wyraźnie. Ale nie miała powodu nie wysłuchać go w sprawach dobrze jej znanych. Lance wywnioskował ze słów pana van Menterghem, że był on zdecydowany usunąć Horfmana z sąsiedztwa i zerwać jego zaręczyny z Fay. Ale pan van Menterghem nie znał całej prawdy. A trudno było wiedzieć, co by zrobił wiedząc wszystko.

Lance wrócił późnym wieczorem z pola, nie spotkawszy Fay w ciągu całego dnia. W saloniku na parterze było światło; na firance rysowała się sylwetka Fay. Lance przyspieszył kroku. Pragnął zaskoczyć Fay, by nie mogła mu się wymknąć, tylko w ten sposób uzyska chwilę niezbędnej rozmowy.

Zbliżywszy się, posłyszał głosy. Fay nie była sama. Poznał głos Horfmana.

— Twój znakomity ojczym dał mi miesiąc czasu na usunięcie się z okolicy — mówił Niemiec. — Mam zerwać nasze zaręczyny. Zabawne, czyż nie?

— Zabawne? — powtórzyła Fay. — Dlaczego zabawne?

— No, bo on nie wie... wszak prawda?

— Nie sądzę, że nie wie.

— Nam zresztą wszystko jedno, tak czy owak, prawda, moja droga? Jak ci powiedziałem już dawno, prezentem ślubnym, który otrzymasz ode mnie, będą pewne, wiadome ci czeki. Nie mam powodu do zmiany stanowiska i do niedotrzymania przyrzeczenia.

Fay nie odpowiedziała. Lance nie mógł widzieć jej twarzy, zasłaniały mu ją drzewa. Pięknie wyglądała jej postać w białej sukience.

Lance nagle, w jednym błysku pojął, co znaczyło to wyrażenie, że ktoś „widzi czerwono”. On „widział czerwono” w tej chwili.

— Jeżeli pan musi opuścić sąsiedztwo... — usłyszał bezbarwny, słaby głos Fay.

— Jeżeli opuszczę sąsiedztwo, moja droga — rzekł Horfman

— opuszczę je wraz z tobą. Jeżeli policja wtrąci się do moich spraw, czeki znajdą się w ręku prokuratora. To jest chyba całkiem zrozumiałe.

— Co panu z tego przyjdzie, że pan pogrąży Toma również? To panu nic nie pomoże; no, cóż panu z tego przyjdzie?

— powtórzyła nieśmiałym głosem, który łamał się chwilami.

— Nic mi z tego nie przyjdzie, mnie osobiście — odrzekł cynicznie.

— Ale będę miał dużą satysfakcję. Nie ma co ze mną zaczynać z tej beczki. Nie sądzisz chyba, bym się rzekł jakiegokolwiek możliwości obrony przed tym starym idiotą, Holendrem?

— Sądziłam...

— Że co?

— Że można będzie zawrzeć jakiś układ — rzekła Fay niepewnym tonem. Znać było, że jest bezradna.

— Jak sobie wyobrażałaś ten układ? — zapytał pan Horfman, nie kryjąc ironii.

— Z panem van Menterghem, oczywiście, nie ze mną. Może on się zgodzi zatuszować to wszystko, jeżeli...

— To nie on. Zresztą nie mam do niego zaufania. Znam tych kalwińskich Holendrów. Do piekła pójdzie ten, który z nimi zadrze. A już kara więzienia lub stryczek należy się tu na ziemi bezwzględnie każdemu, kto dotknie się karty do gry lub wypije kieliszek likieru. Z nim wejść w układy? Nie do pomyslenia. Skoro tylko miałyby te czeki w kieszeni, zaraz pobiegłby na policję zadencjonować mnie. Tom byłby ocalony, ja wiem, ale co by było ze mną?

— A co ma być ze mną? — spytała Fay z boleśnie sarkastycznym śmiechem. — Przypuszczam, że tego pytania nie zadał pan sobie nigdy.

— Ty byłaś dla mnie zawsze na pierwszym miejscu — rzekł pan Horfman swym zwykłym, miodowym tonem. — Dołożę wszelkich starań, skoro tylko się pobierzemy, byś zapomniała o tych ciężkich chwilach. Ale to musisz zrozumieć, moja droga, albo opuścimy tę okolicę jako małżeństwo, albo wszyscy razem ujrzymy Toma na ławie przestępców...

— A ciebie gnijącego w ziemi... — te słowa padły, jak z procy z ust Lance'a, który nie mogąc już dłużej wytrzymać, wykrzyknął je w pasji. Nie panował dłużej nad instynktem. Wskoczył oknem do pokoju i rzucił się na Horfmana. Trzymał go za gardło i tłukł głową Niemca o ścianę. Fay oszołomiona szybkością wypadków stała bezradna i patrzyła z przerażeniem na tę walkę dwóch mężczyzn, na te złączone postacie. Upadali obaj szamocząc się na podłogę, gdzie wiły się ich splecione ciała, z których wydobywały się dźwięki, nie mające nic wspólnego z ludzkim głosem.

— Daj im spokój... daj im spokój... albo wytrąsnę duszę z ciebie. Po czym ohydny odgłos, jakby śmiertelne rżenie i dziki, instynktowny krzyk Fay: „Amos!”.

To od dawna zapomniane imię otrzęwiło momentalnie Lance'a. Stał przed nim upiór przeszłości, zamknął mu na chwilę oczy krwią nabiegłe, podniósł palec ostrzegawczo i wstrzymał na sekundę jego rękę,

a ta sekunda wystarczyła, by wróg mógł odetchnąć. A Horfman nie był nowicjuszem w tego rodzaju zapasach, skorzystał z tej chwili i zerwał się z podłogi. Stał teraz wyprostowany i spokojnie poprawiał na sobie pomięte ubranie. Lance stał przy nim jakby zawstydzony, zaczerwieniony.

— Wzięłeś mnie najwidoczniej za głupca, mój drogi — rzekł zimno Horfman. — Przypuszczałeś, widzę, że noszę przy sobie tak doniosłe dokumenty?

Zwrócił się do Fay:

— Nie mogę ci powinszować twego rycerza, moja kochana. Ale nie chcę być złośliwy. A w każdym razie, dla ochrony mojej osoby, pozwól sobie powiedzieć, drogi chłopcze — ciągnął dalej, zwrócony do Lance'a — że te papiery, o których najwyraźniej jesteś poinformowany, zostały złożone u jednego z moich przyjaciół, który ma polecenie zrobienia z nich użytku w razie, gdyby mi się coś stało.

Odszedł, zanim Lance lub Fay zdążyli się poruszyć albo odezwać. Fay patrzyła na Lancea, a Lance miał oczy wbite w ziemię. Zdawało mu się, że widzi jeszcze na posadzce ślad ciała tego nędznika, którego w tym miejscu dusił przed chwilą.

— Amosie, jak mogłeś? — Znowu to stare imię i ten głos słodki, miękki, pełen wyrzutu i czułości zarazem.

— Oszalałem — szepnął.

— Co dobrego może wyniknąć z takiego szalu?

— Nic. Byłem szalony, ot i wszystko, ale nie mogłem wytrzymać, nie mogłem... — odrzucił głowę, westchnął głęboko i spojrzał na nią.

— Nie wyjdiesz za mąż za tę kanalię, Fay!...

Blady uśmiezek zjawiał się koło jej ust: on tak dziwnie wyglądał z tym rozwianym włosom, dzikim blaskiem w oczach i wypiekami na policzkach!

— Mój drogi Amosie... — zaczęła.

Ale on przerwał: — Nie nazywaj mnie Amosem. Amos Beyvin umarł, Fay. Tu stoi Lance Madoc, nie-ów młody szaleniec z Anglii, as dancingowy i tenisowy, lecz mężczyzna, słyszysz? Mężczyzna, zahartowany, poważnie myślący. I jako taki, powiadam ci, że nie zaślubisz tego nędznika, który doprowadza mnie do choroby morskiej,

skoro tylko dotknę go końcem buta. Przysięgam, że to się stanie. Przysięgam na wszystko, co mi jest święte i na Boga!

Zanim Fay pojęła, co znaczy to namiętne, dzikie przemówienie, zanim słowa jego zdążyły dotrzeć do jej mózgu, Lance objął ją ramionami i przycisnął swe usta do jej warg. Wyszepiała: — Puść mnie... Amosie... Lance... puść mnie!...

Ale on trzymał ją w mocnym uścisku, daremnie walczyła. Ramionami otoczył jej postać, a głowę jej wziął w obie dłonie, palce zatopił w jej pachnących włosach. Był jak człowiek, który po długim pragnieniu, nareszcie dorwał się do życiodajnego źródła. Pijąc, spojrział w jej oczy. Były na wpół przymknięte. Przestała walczyć. Nie wydawała już żadnego dźwięku. A spomiędzy jej rzęs szło ku niemu światło tak promienne, że przechodziło ono jego najśmielsze marzenia.

\* \* \*

Lance miał upatrzone, ulubione miejsce wycieczek, małe płasko-wzgórze, skąd roztaczał się wspaniały widok na okolicę. Nazwał je: „Wzgórze Amosa”, bo przecież Fay kochała niegdyś i całowała Amosa Beyvina, tak że znienawidzić go było mu trudno.

Był to świetny punkt obserwacyjny, widać stąd było ogromną przestrzeń. Emma chętnie skubała tu trawę, a mr Micawber biegał na wszystkie strony kręcąc ogonkiem. Lance najczęściej leżał na wznak, korzystając z wakacji i marzył o Fay, o jej oczach, jej ustach, jej pocałunkach, słodczy jej spojrzenia w ów pamiętny wieczór w Château Frontenac, gdzie objawiła mu się po raz pierwszy Miłość, czyli zrozumienie, czym kobieta może być dla mężczyzny, jeżeli mu uczucia odwzajemnia. Na marzeniach zszedł mu cały ranek. Trzeba było zdobyć się na energię i zjechać na dół. Lance przeciągnął się leniwie i wstał z ziemi. Wziął do ręki lornetkę, podniósł ją do oczu i rozglądał się ciekawie. Bawiły go te miniaturowe sylwetki na szosie: przechodnie, samochody, wagony. On zaś stał tu na górze i królował nad tą równią.

Ciągnęło go już do Bootham, pragnął upewnić się, że wszystko jest w porządku. Wprawdzie Błękitne Oczy przyrzekła mu, że pośle po niego, gdyby zaszła tego potrzeba... Prawda, trzeba przed powrotem

załatwić parę sprawunków. Błękitne Oczy zrobiła zamówienia: puszkę groszku zielonego, puszkę pomidorów w konserwie i jedwab na firanki, zwany „duchesse”. No, i kilka książek, które zawsze lubi „człowiek” mieć pod ręką: *Saga rodu Forsytów*, *Bunt na pustyni*, *Lord Palmeston* i kilka lżejszych powieści: Oppenheima i Locke'a. Błękitne Oczy zatrudniona była w mieście w szpitalu, ale raz na dwa dni jeździła do Bootham, do pani van Menterghem. Tam wszystko szło dawnym trybem. Czyniono przygotowania do ślubu Fay, naznaczonego jak dawniej, na 25-go lipca! Jeszcze dwa tygodnie!...

Lance wskoczył na grzbiet Emmy i zjeżdżał na dół. Ogarnęła go nagle straszna niecierpliwość: postanowił jak najrychlej zjechać na farmę i porozmawiać ze starym panem van Menterghem. Czy wszystko w porządku? Co słychać w ogóle u nich w domu?

Jak ta Emma powoli się dziś rusza! Mr Micawber biegnie naprzód i szuka much i motyli. Lance poskromił swą gorączkę pośpiechu i rozglądał się dokoła: powietrze było kryształowo czyste, widok roztaczał się rozległy. Lance patrzył na pociąg, który właśnie zatrzymał się na dworcu Glamisdale, ale tylko na parę minut przed wyruszeniem w dalszą drogę. Na szosie panował ruch ożywiony, bo był to dzień targu. Dwa samochody sunęły po szosie, znikły pod mostem, a potem znów się wyłoniły; Lance rozpoznał, czyje to wozy, powietrze jest dziś wyjątkowo czyste. Wziął lornetkę i obserwował ruch na szosie z całą dokładnością. „Czy to nie Irena Bunch prowadzi samochód swego ojca? Tak, to ona! baj Boże, żeby to tempo nie skończyło się jakimś wypadkiem prędzej, czy później...”

— No, czas ruszyć nieco prędzej! Dalej, Emma! pośpiesz się trochę, kochana bestyjko! — Po tej przemowie Lance ujął mocniej cugle i miał zamiar zjechać z całą szybkością nóg Emmy w dół, gdy wtem wzrok jego uderzył widok nieoczekiwany; wstrzymał konia raptownie.

— Hello! Wóz starego van Menterghem! On sam prowadził, wcześniej jedzie dzisiaj do Glamisdale, zabrał Toma ze sobą...

Samochód pana van Menterghem wjechał w las. Był to gęsty las sosnowy, wóz znikł w nim zupełnie. Lance czekał, chciał zobaczyć pana van Menterghem znowu, bo miejscami widać było szosę wśród drzew, tam, gdzie były one rzadsze. Ale upłynęło kilka minut, a samochód nie

ukazał się spośród drzew. Szosa była opustoszała, już od pięciu minut nie przejeżdżał żaden pojazd.

— Ciekawe — mruknął Lance — musieli kogoś spotkać na szosie, ale nie widziałem nikogo, kto by nie był teraz już daleko. A może jakieś uszkodzenie...

Jeszcze raz rzucił okiem dokoła, zanim ruszył w dalszą drogę.

— Co to?... Boże mój!...

Wyjął znowu lornetkę. Obłok dymu unosił się nad gąszczem sosen, obłok z każdą chwilą gęstniał i stawał się coraz czarniejszy.

— Czyżby zapaliła się benzyna w samochodzie Holendra? Boże wielki!

W mgnieniu oka wrzucił lornetkę do futerału, wiszącego u pasa i puścił Emmę w ruch przynaglającym cmoknięciem. Klacz czuła, że jej panu się śpieszy, pędziła w dół jak strzała, a tuż za nią biegł zdyszany mr Micawber. Lance jadąc obserwował szosę. Z drugiej strony lasu wyłonił się teraz inny samochód, daleko większy, niż wóz pana van Menterghem: samochód ten pędził ku Glamisdale, siedzieli w nim trzej mężczyźni. — Ta bestia Horfman — mówił Lance — jechał widocznie z Bootham, ale jego przeoczyłem. Co to wszystko znaczy, do diabła?!

Nie upłynął kwadrans, jak Lance był na szosie i mógł pogalopować. Skrzyżowało się z nim kilka samochodów, wszystkie pędziły jak oszalałe w odwrotnym kierunku. Jeden jechał cokolwiek wolniej, niż pozostałe;

— Co tam się stało? — rzucił Lance bez tchu. — Straszny wypadek!

— odpowiedziano mu, ale samochód potoczył się dalej ze zdwojoną szybkością. W minutę później spotkał dwóch robotników, jadących na rowerach: — Co się stało? — Zapaliła się benzyna... nic nie zostało, ani śladu... ani z wozu, ani z prowadzącego...

— Boże!!!...

Dym stawał się rzadszy, natomiast coraz bardziej czuć było w powietrzu okropną woń benzyny, swąd, spaleniznę, popiół drzewny i inne nieokreślone, dziwne, a straszne zapachy. Pośrodku lasu, po prawej stronie szosy widoczna była czarna, bezkształtna masa... odłamki żelaza, kawałki szkła... to wszystko, co pozostało z samochodu.

A Tom!

Lance nie zauważył go zaraz. Stał wśród gromadki tych gapiów, którzy zawsze wyrastają, jak grzyby po deszczu, skoro tylko się zdarzy



coś nieprzewidzianego. Było tam kilku młodych ludzi na rowerach, dwie dziewczyny, które śmiały się histerycznie, jakiś włóczęga z tobołkiem na plecach, wszyscy oni stali pochyleni nad tą bezkształtną masą, a pośród nich Tom. Tom trzymał ręce na plecach, twarz miał czarną od dymu, robił wrażenie na w pół przytomnego. Lance podjechał bliżej:

— Tom! Co się stało?

Przybycie Lance'a przerwało ponure milczenie. Zszedł z konia i przywiązał Emmę do drzewa. Tom spojrzał na niego obłądnym wzrokiem. Obecni rozstąpili się z szacunkiem przed Lance'em.

— Co się stało?

— Benzyna się zapaliła...

— W jaki sposób? Kiedy?

— Nie wiem. Prowadził starszy pan, uderzył o coś samochodem. Wysiadł i sprawdził, czy wszystko w porządku, potem wrócił do auta i znów zasiadł do kierownicy, aż wtem...

Wyjaśnień tych udzielił jeden z mężczyzn na rowerach.

— O Boże! — jęknął Tom.

Były to pierwsze słowa, jakie wymówił od chwili katastrofy. Jakiś samochód nadjeżdżał od strony miasta.

— Policja i ambulans z Glamisdale — rzekł ktoś. Komisarz wyskoczył z samochodu jeszcze w biegu.

— Kto taki?... — zawołał.

— Okropny wypadek...

— Tak jest, wiem wszystko, ale kto, kto?

— Holender z Bootham...

— Boże Wielki! Jak się to stało?

Pytania i odpowiedzi pochłonęły uwagę całej gromadki gapiów. Lance skorzystał z tego, by podejść do Toma. Jak się wy dostałeś? — zapytał.

— Wyskoczyłem... nogi pana van Menterghem były zaplątane... minuta wystarczyła, by na wszelki ratunek było za późno...

— Bacność! — rozkazał Lance i sam uskoczył w bok. Podeszli bowiem do zgliszczy, które tliły się jeszcze. Widać było skórzany pas i spinki tego, który był przed godziną panem van Menterghem, a obecnie był stosem popiołów.

— Kto posłał po policję? — spytał Lance.

— Pan Horfman. Spotkaliśmy go na drodze... na szczęście...

— Nie było go na szosie, gdy...

Tom, który patrzył gdzieś w dal, jakby czegoś wypatrywał, drgnął i przerwał Lance'owi, patrząc przenikliwie w jego twarz:

— Co masz na myśli? Skąd wiesz?... — wyrwało mu się, jakby mimo woli.

— Nic nie wiem — rzekł Lance powoli. Spojrzał w kierunku Glamisdale.

— Teraz jadą dalsze samochody policyjne — rzekł.

Gromada ciekawych zwiększała się z każdą chwilą. Samochody z Glamisdale i z Selby zatrzymywały się na miejscu wypadku, wysiadano, zadawano pytania. Chłopcy i robotnicy zsiadali z rowerów i pytali co się stało.

Policja zadała tylko parę pytań, na które też nikt nie umiał odpowiedzieć.

Powtarzano wciąż to samo: — Nie widziałem, jak to się stało. Tom powtórzył całkiem wyraźnie swoją opowieść, tę samą, którą przedtem opowiedział Lance'owi.

— Czy zechce pan pójść z nami, panie Mazeline? — poprosił sierżant. — Chcielibyśmy jak najrychlej zanotować pańskie zeznania.

Platforma, na której ułożono szczątki pana van Menterghem, była już gotowa do odjazdu. Dwaj policjanci siedzieli na przodzie, ale pozostało jeszcze jedno miejsce. Tom podniósł głowę i dreszcz go przeszedł. Wyglądał jak zwierzę, wytropione przez myśliwych które widzi, że dla niego nie ma już ucieczki.

— Pomogę panu, panie Mazeline — rzekł policjant z Glamisdale — zechce pan wskoczyć tu do nas.

Wyruszyli. Za nimi sunęło parę samochodów prywatnych, a nieco dalej jechał Lance, za którym biegł mr Micawber.

Gromadka gapiów topniała z konieczności, nie mogli bowiem dotrzymać tempa temu orszakowi, dążącemu pospiesznie w kierunku miasta.

\* \* \*

Lance Madoc umieścił Emmę w stajni pana Faraday, miejscowego weterynarza. Potem udał się pieszo do Sans Souci. Z początku zamierzał towarzyszyć Tomowi na policję, ale gdy zobaczył samochód pana Horfmana stojący przed komisariatem rozmyślił się. Sierżant nie zwrócił na niego żadnej uwagi, komisarz również, nikt nie życzył sobie z nim mówić, nie miał po co narzucać się z informacjami. Zresztą wspomnienia tego co widział były zbyt niejasne, zbyt splątane, by mógł je sformułować natychmiast.

Samochód Horfmana minął go na szosie, prowadzącej do Sans Souci. Horfman prowadził, obok niego siedział Tom, a za nimi, w tyle dwaj mężczyźni, których Lance nieraz widywał w Sans Souci.

— W naszą stronę, panie Madoc? — zapytał Horfman, zwalniając.

— Dziękuję, pójdę pieszo — odrzekł Lance.

Ludzi w samochodzie ubawiła widocznie ta odpowiedź, bo wszyscy z wyjątkiem Toma wybuchnęli śmiechem; Tom rzucił mu błagalne, niewytłumaczone spojrzenie w chwili, gdy samochód ruszał z poprzednią szybkością.

Gdy Madoc doszedł do Sans Souci, służący przy drzwiach powiedział mu, iż Horfman czeka na pana Madoca. Lance poszedł za lokajem, który zaprowadził go do małego, komfortowo urządzonego saloniku, gdzie na wygodnych fotelach siedzieli Tom i Horfman, paląc cygara i cedząc whisky z sodą.

— A otóż i nasz przyjaciel Madoc — rzekł uprzejmie pan Horfman. — Tak i myślałem, że będziemy mieli przyjemność zobaczyć pana, sir. Napije się pan z nami?

— Nie, dziękuję.

— Pozwoli pan cygaro?

— Nie, dziękuję.

— Proszę, niech pan siądzie.

— Dziękuję, wolę stać.

— Jak pan sobie życzy — odrzekł Horfman z uprzejmym uśmiechem. — Tom, nalej sobie jeszcze whisky. Tobie przyda się podnieta.

Tom usłuchał skwapliwie wezwania. Ale Lance wyciągnął ramię w jego kierunku.

— Zostaw teraz alkohol, Tomie, na miłość Boską — rzekł. Potrzebna ci jest całkowita przytomność umysłu.

— Całkowita przytomność... Co do diabła chcesz przez to powiedzieć?

Był purpurowy, najwidoczniej usiłował niezręcznie nadrabiać miną. Pan Horfman rozparł się w fotelu i śmiał się ironicznie.

— Nie daj się, Tomie! — rzekł. — Ale lepiej byś wysłuchał, co nasz przyjaciel tu obecny ma nam do powiedzenia. Zwrócony do Madoca, dodał:

— A zatem, panie Madoc, ponieważ nie chce pan się napić z nami, nie chce pan palić, nie chce pan nawet usiąść, to może zechce pan przynajmniej powiedzieć, czemu zawdzięczamy przyjemność pana wizyty.

— Chcę zabrać stąd Toma, zanim...

— Zanim co? O! Ze mną pan może mówić szczerze — rzekł pan Horfman — jestem przyjacielem całej rodziny.

— Klątwą całej rodziny, chciał pan rzec zapewne — odparł Lance, mówiąc równie chłodno, jak Horfman — ale teraz dopełnił pan już miary i Tom pójdzie stąd ze mną.

— Pójdzie stąd z panem, czyżby?

— To jest dla niego jedyne wyjście z sytuacji, on sam wie o tym. To, co się dziś zdarzyło w lesie, nie przejdzie tak gładko. Nie przypuszczasz chyba, Tomie, aby policja była taka głupia i zadowolona się tą historyjką, którą jej opowiedziałeś...

— Tą historyjką... co chcesz powiedzieć?

— Nie przerywaj, Tomie — rzekł spokojnie Horfman. — Mam wrażenie, że usłyszymy coś ciekawego.

— I nie myli się pan, panie Horfman — odrzekł Lance niemniej słodko. — Po pierwsze, usłyszysz pan, co następuje: ten ohydny mord, jakim jest śmierć w męczarniach, zadana temu zacnemu panu van Menterghem, nic panu nie pomoże. On nakazał panu opuścić tę prowincję pod groźbą zadenuncjowania pańskiej szulerni przed policją i dał panu miesiąc czasu na zerwanie pańskich zaręczyn z miss Mazeline. Zamknęliście mu usta w ten sposób tchórzowski i zbrodniczy. Ale ja zostałem przy życiu i stać będę na straży, by wola jego się spełniła. Co do pańskich zaręczyn, nie będę tak powolny jak pan van Menterghem, nie będę czekał, aż pan je zerwie, lecz uczynię to za pana i to w sposób, nie pozostawiający pannie Mazeline żadnych wątpliwości co do walorów

moralnych i umysłowych opryska, którego nazwała swym narzeczonym.

Lance zachował zupełny spokój. Nie podniósł głosu ani razu, czuł, że nie daje się opanować złości, patrzył prosto w twarz temu podłemu tchórzowi, który silił się na ironiczny wyraz twarzy. Oskar Horfman ani drgnął. Palił w dalszym ciągu cygaro i wciąż popijał whisky z sodą. Skoro Lance przerwał na chwilę, by zwrócić się z kolei do Toma, rzekł swym aksamitnym głosem.

— Co ja ci mówiłem, Tomie? Wiedziałem, że nasz przyjaciel powie rzeczy bardzo ciekawe.

— Tomie — rzekł Lance, nie oglądając się na tamtego. — Słyszę, że matka twoja pojechała do Jeziora Luizy, gdzie ma się spotkać ze swoją siostrą. Pierwszym twym zadaniem będzie udać się do niej i przekazać jej tę okropną wiadomość. Ale czy niedobrze byłoby, gdybyś w ogóle wyjechał stąd na jakiś czas? Uprzedzam cię, że ja podniosę tu wrzawę piekielną koło tego domu oraz wokół osoby twego przyjaciela, Oskara Horfmana.

— Zostaw mnie w spokoju — mruknął Tom — i nie wtrącaj się do mnie.

— Będę się wtrącał — odrzekł Lance. — Nie miej co do tego żadnych wątpliwości. Skoro mówię, że zaręczyny tego łotra z twoją siostrą będą zerwane, to znaczy, że będą zerwane bezwzględnie. Wrócisz teraz do Bootham i powiesz jej wszystko, wszystko... z wyjątkiem tej straszliwej ohydy, dotyczącej dzisiejszego poranku. Gdyby o tym wiedziała, na nic by się to nie zdało, a jej złamałoby to serce. Ale ona zrozumie, że z imieniem tego domu i jego właściciela związany będzie skandal i że lepiej dla niej, by się trzymała na uboczu. Prawdopodobnie zechce pojechać do Jeziora Luizy na czas jakiś, a pewien być możesz, że skoro ja będę rozmawiał z policją, potrafię uniknąć wzmianki o tobie — dla jej dobra i spokoju.

— Jeżeli nie przestaniesz ujadać... — Tom zerwał się na równe nogi, jak rozwścieczony pies, nieco przestraszony kijem, który mu pokazano. Podszedł tuż do Lance'a ze wzrokiem roziskrzonym nienawiścią i podejrzliwością.

— Jeżeli nie przestaniesz ujadać... — powtórzył.

— Nie bądź głupcem, Tomie — rzekł Lance zimno. — Wiesz, że

każde słowo wymawiam z pełną świadomością tego, co mówię i że słowa moje są niebezpieczne dla ciebie, o ile mnie nie posłuchasz...

— Nie bądź głupcem, słusznie — powtórzył, jak echo pan Horfman. Wstał ze swego wygodnego fotela i odciągnął Toma od Madoca. Po czym podszedł on z kolei do Lance'a Madoca, zajął mu w oczy z bliska z brzydkim grymasem na twarzy:

— Tak, że pan zdaje sobie sprawę z każdego słowa, które pan tu wypowiada? — zapytał. — Czy tak, mój przyjacielu?

— Nie jestem pańskim przyjacielem — odparł Lance. — Zdaję sobie sprawę z każdego słowa, które tu wypowiadam.

— Zamierza pan stanąć pomiędzy mną a panną Mazeline?

— Tak jest.

— I wygnać mnie z tej okolicy?

— Stanowczo.

— A jak pan to skutecznie?

— Powiem pani Mazeline prawdę, o ile Tom tego nie uczyni, a komisariat zawiadomię, że Sans Souci jest jaskinią gry. Reszty dokona policja.

— I to wszystko?

— Nie. Niezupełnie. — Teraz z kolei Lance Madoc przysunął się tuż, tuż do pana Horfmana i patrzył mu prosto w oczy, w jego cyniczne, szydercze oczy. Wreszcie rzekł:

— Powiem również policji, co zaobserwowałem z wysokiego wzgórza, skąd jest widok na całą szosę aż do Glamisdale, a gdzie się znajdowałem, gdy zapaliła się tak dziwnie benzyna w samochodzie pana van Menterghem. Stłumiony krzyk Toma. Przez oczy pana Horfmana przemknął ledwo dostrzegalny cień. Przez sekundę były one mniej pewne siebie, mniej bezczelne, mniej wyzywające. Ale trwało to sekundę: w następnej chwili podniósł do ust cygaro, zaciągnął się głęboko, strzepnął popiół palcami i w końcu rzekł zimno:

— A! I cóż pan widział, jeżeli spytać wolno?

— Prawie wszystko — odrzekł Lance — jakkolwiek niezupełnie wszystko, co zaszło.

—O! — powtórzył pan Horfman. — I czy mam rozumieć poprzednie słowa jako pogroźkę z pańskiej strony? Pójdzie pan mianowicie do

policji i zmyśli tam interesującą historyjkę o tym, co pan jakoby widział z góry?

— Pójdę opowiedzieć policji to, co widziałem. A widziałem dosyć.

— Pan pójdzie na policję...?

— Pójdę.

— Co? — wysylabizował bardzo powoli pan Horfman. — Pan pójdzie na policję?... Pan?... Amos Beyvin?...

Zaległo na sześć sekund grobowe milczenie. Pan Horfman kołysał się z gracją na palcach i obcasach i puszczał gęste kłęby dymu. Obserwował, jakie wrażenie zrobiło na Lance'ie Madocu to zdradzenie jego tożsamości. Mierzył go Horfman od stóp do głów, roześmiał się szyderczo i odwrócił się na pięcie... Ale nie był widocznie całkiem zadowolony, bo przerwał pierwszy to ciężące milczenie.

— Przypuszczam, że po zastanowieniu odechce się panu, Mr Amos Beyvin, mieszać policję w pańskie sprawy. Co? Nie sądzę, aby policja skwapliwie słuchała denuncjacji zbiegłego więźnia, który przez dwa lata żył bezprawnie na wolnej stopie, zamiast odsiadywać swą karę w Dartmoor...

— Zobaczmy — odrzekł Lance zimno. — Przekonamy się może, Mr Horfman, że w niektórych wypadkach policja równie uważnie usłucha wynurzeń zbiegłego więźnia, jak uczciwego człowieka.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że pańskie rzekome poinformowanie bynajmniej mnie nie onieśmiela. Może pan insynuować, co pan chce, a ja pójdę najpierw do Miss Mazeline, a następnie do policji...

— ...Gdzie ja pana wyprzedzę, proszę pamiętać, mając przy sobie te ciekawe wycinki z pism, które nieboszczyk, pan van Menterghem, nosił, jak się zdaje, stale przy sobie.

Zwrócił się do biurka i wziął stamtąd notes, który leżał na wierzchu. W notesie było pełno pieniędzy. Pan Horfman dotykał ich delikatnie swymi białymi, długimi palcami. Wyjął ze środka coś drukowanego. Odłożył notes i przyjrzał się kolejno tym wycinkom; Lance w milczeniu patrzył na niego, a Tom padł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

— A więc zabiliście pana van Menterghem — rzekł Lance — i zrabowaliście mu notes z pieniędzmi, czyli jego portfel? Za to będzie pan wisiał, panie Horfman, nawet na mocy zeznania zbiegłego z więzienia.

— Ja nie zabiłem starego Holendra — odparł cynicznie pan Horfman. — Zabił go Tom.

— Ty podły łajdaku, ty kanalio! — ten dziki krzyk padł z ust Toma, nie z ust Lance'a. Tom chciał się rzucić na Horfmana, ale sił mu zabrakło. Był złamany, miotał nim dziki strach wobec tych dwóch ludzi, których wzajemna nienawiść uczyniła z niego piłkę tenisową.

— Ty, kanalio! — powtórzył kilkakrotnie. — Ty przekłeta kanalio! Znów padł na fotel i zaszlochał jak dziecko. Lance nie wiedział,

który z tych dwóch nędzników wzbudza w nim większy wstręt, ale bolał nad faktem, że Tom jest zbrodniarzem, bolał nie nad Tomem, lecz nad Fay...

Pan Horfman starannie schował wycinki z pism angielskich. W jednym kącie pokoju stała kasa systemu Milnera, tam włożył wszystkie papiery, zrabowane panu van Menterghem i zamknął je na klucz. Następnie wrócił wolnym krokiem ku Lanceowi.

— W razie — rzekł — gdyby pan mi nie wierzył, że mówię prawdę, panie Beyvin, niech się pan dowie, że nie ja jeden wiedziałem, jak Tom uderzył w głowę pana van Menterghem i wyciągnął mu z kieszeni portfel. Przy mnie było dwóch przyjaciół, tak że mam świadków na potwierdzenie mych słów, nie będących żadnym brudnym kłamstwem, jak pan może mylnie przypuszczać...

— Ci świadkowie są dwoma pańskimi służalcami — odrzekł Lance.

— Trudno panu przyjdzie tego dowieść, panie Beyvin. Ja bym na pańskim miejscu tym argumentem nie próbował walczyć. Przy tym — dodał pan Horfman — niech pan spojrzy na Toma. Czy on wygląda jakby przeczył?

Lance zwrócił się do Toma.

— Tomie, mów, czy to prawda? — zapytał. Ale chłopak nie miał już siły, nerwy go zdradziły. Leżał na fotelu, z zamkniętymi oczami, z rozchylonymi wargami, które drżały, jakby daremnie usiłował wymówić słowo.

— Zatrul go pan swym jadem! — wybuchnął Lance — ten nieszczęsny chłopak wyczerpał ostatek sił, jeszcze i on będzie pańską ofiarą...

— Możliwe — odrzekł Horfman — ale pan widzi, czy on może stawić czoło policji? Czy on wygląda, jak człowiek niewinny?



— Tom! Na miłość Boską! Opanuj się! Czy to jest prawda, co mówi ten człowiek?

Tom otworzył oczy, rozejrzał się, oczy jego spotkały zimne, okrutne spojrzenie pana Horfmana. W źrenicach chłopca błysnęła świadomość, a wraz z nią wściekłość i nienawiść. Wyciągnął drżące ramię ku temu człowiekowi, który był klątwą jego życia i wyjął ledwo zrozumiale:

— On... potrzebował pieniędzy... Miał czeki... moje czeki... wiedział... ojczym jedzie... z pieniędzmi...

Pan Horfman wzruszył ramionami obojętnie:

— Niewiasta skusiła mnie, a ja uległem i skosztowałem — zanucił wesoło.

— Wiesz, żeś mi poddał tę myśl — szeptał Tom — a potem...

— Potem! — rzekł pan Horfman. — Tak, mówmy o tym, co było „potem”. Zobaczyłem pożar na szosie, zrozumiałem, że był to dla Toma jedyny sposób nie umazania sobie rąk na czerwono. Czyż nie, panie Beyvin? Zdarzyło się, zbiegiem okoliczności, że przejeżdżałem tamtędy z moimi przyjaciółmi...

— Kłamstwo — przerwał Lance. — Nie przejeżdżałeś pan tamtędy przypadkiem. Stał pan w samochodzie i czekał pan na tego... szaleńca, pan i pańscy cenni przyjaciele. Gdyby pan przejeżdżał przypadkiem, byłbym widział pański wóz z tego punktu, na którym się znajdowałem...

Lance zatrzymał się, zły na samego siebie. Wydał mimo woli część swego sekretu. Pan Horfman szybko uczeplił się tych słów:

— A! Śliczną historię opowie pan policji, panie Beyvin! Ale dobrze! Jak pan chce! Mój pobyt w lesie podczas morderstwa, popełnionego przez Toma na osobie starego van Menterghem nie jest motywem do powieszenia mnie, ani żadnego z moich przyjaciół. Widzę, że pan jest zdecydowany ugotować nas wszystkich razem, z sobą włącznie. Jak się panu podoba. Ale nawet, jeżeli policja będzie miała coś do nadmienienia w sprawie Sans Souci, ja mogę być wprawdzie zmuszony do opuszczenia kraju, zgoda, ale, bądź co bądź, nie grozi mi to dwoma latami więzienia, ani szubienicą, jak temu biednemu Tomowi na przykład... Żal mi ciebie, Tomie, ale będziesz miał do zawdzięczenia ten los twemu przyjacielowi, Lance'owi Madoc, czyli Amosowi Beyvinowi, który w ten sposób osiągnie swój najważniejszy cel, bo istotnie, jeżeli zostaniesz aresztowany za ten... wypadek, zmuszony będę cofnąć moją kandydaturę na

małżonka miss Mazeline, bardzo niechętnie, rzecz jasna, no ale jednak nie mogę się żenić z siostrą mordercy.

— Ty podły gadzie, ty nędzniku, kanalio! — wyrzucił Lance jednym tchem. Ktoś inny na miejscu Horfmana byłby został powalony na podłogę w swym własnym domu, ale Horfman miał przytomność umysłu niemałą, w mgnieniu oka oparł palec na dzwonku elektrycznym tuż za nim.

Lance, na szczęście, miał również dosyć zimnej krwi, by opanować się, zanim ktoś przyszedł. Niebawem rozległo się pukanie do drzwi i głos pełen szacunku zapytał:

— Pan dzwonił?

— Tak jest — odrzekł spokojnie pan Horfman. — Przyniesi inny syfon, dobrze?

Gdy służący odszedł, wybuchnął swym zwykłym, niemiłym śmiechem.

— Napaść na mnie i walka nie doprowadziłyby do niczego, Mr Beyvin — rzekł — to zresztą rzadko kiedy daje rezultaty, jak to już miał pan okazję sprawdzić. Czy pana tak podrażniła myśl, że mógłbym w pewnych okolicznościach odrzucić rękę Miss Mazeline?... Kilka minut temu groził mi pan najsurowszymi rygorami karnymi, o ile nie zerwę swych zaręczyn. Nie ma sposobu dogodzenia panu!

Lance zmieniał postawę w miarę jak Horfman wygłaszał to przemówienie. Nie wyglądał już, jak człowiek zdecydowany na przeprowadzenie swej woli za wszelką cenę: wyglądał raczej, jak człowiek, który stoi na rozdrożu i wazy za i przeciw. Pomiedzy oczami miał zmarszczkę, głęboką zmarszczkę. Nie patrzył już na swego wroga, unikał teraz jego spojrzenia, jakby się wstydził swych myśli.

Horfman, pyszniący się swym znawstwem natury ludzkiej, rychło się zorientował. Drwiący wyraz jego twarzy pogłębił się jeszcze, nabrał odcienia większej złośliwości. Im dłużej trwało milczenie między nimi, tym staranniej Lance unikał wzroku pana Horfmana, tym uprzejmiej uśmiechał się Horfman mimo swej wyraźnej ironii. Podszedł niedbałym krokiem do wielkiego zwierciadła, wiszącego na przeciwległej ścianie i w nim obserwował Lance'a Madoca.

Tom nie był wart śledzenia, był ruiną człowieka. Wypił znacznie więcej, niż jego słaba głowa znosiła, a teraz kiedy nastąpił moment ciszy,

kiedy już ani Madoc, ani Horfman go nie dręczyli, zapadł w zwierzęcy sen, w odrętwienie.

Z głębi domu doleciał dźwięk dzwonka.

— A! — rzekł pan Horfman uprzejmie — dzwonek wzywa nas na śniadanie. Zjem z apetytem, przyznaję.

Zwrócił się ku Lance'owi.

— Cóż, panie Madoc? — spytał pogodnie — wojna czy pokój?

— Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem sens tych wyrazów

— odrzekł Lance z zawstydzoną twarzą.

— Czy trwa pan w zamiarze ugotowania nas wszystkich razem? Czy też doszedł pan do rozsądku?

— Stawia pan kwestię, panie Horfman, tak, że...

— Jak stawiam kwestię? Jak? Mój drogi panie, poznałem po prostu, że panem powoduje tylko zazdrość, uczucie, które uważam za całkiem zrozumiałe i które mogę z łatwością wybaczyć każdemu mężczyźnie. Wiem przecież, kim pan jest, że był pan niegdyś zaręczony z tą panną, o której walczymy obydwaj. Rozumiem, że mnie pan nienawidzi, bo zająłem pańskie miejsce; rozumiem, że chciałby pan pozbyć się rywala. Ale na nieszczęście dla pana, nie może pan tego uczynić, nie wracając do Dartmoor. A na tym nie zależy panu bynajmniej. Ale gotów byłby pan i na ten akt poświęcenia, byle się mnie pozbyć ze swej drogi i uwolnić ode mnie pannę Mazelinę. Dobrze! Ale widzi pan chodzi o Toma! I chodzi o siostrę Toma! Jeżeli pan poruszy policję, zaszkodzi mi pan, może... ale z całą pewnością pośle pan Toma na szubienicę, a jego siostrze odbierze pan wszystko

— złudzenia, brata, możliwość wyjścia za mąż, okryje ją pan hańbą. Jeżeli pan zechce mnie prześladować, ja będę ich i pana prześladował nawzajem, a jak powiedziałem, mam świadków. Teraz objął pan zapewne całokształt sprawy?

— Mam wrażenie, że pojąłem, panie Horfman — rzekł Lance słabym głosem.

— Pojmuje pan? To jest najważniejsze. Napijemy się?

— Nie, dziękuję.

— Zostanie pan na śniadaniu?

— Dziękuję, panie Horfman. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli pójde prosto do domu i przemyślę to, co tu zaszło.

— Słusznie. Niech pan to przemyśli, panie Madoc. Pewien jestem, że dojdziemy do przyjaznego porozumienia, pan i ja. Musi pan pamiętać przy swych rozważaniach, że Tom będzie absolutnie bezpieczny, o ile ja się ożenię z Miss Mazeline. Za moich przyjaciół ręczę, że potrafią milczeć. Natomiast — każdy, kto wtrąci się pomiędzy moją narzeczoną a mnie, odpokutuje za wszystkie swe winy, w stosunku do rozmiaru przestępstwa, jakie popełnił. Rozumie pan, prawda?

— Zdaje się.

— Ja zaś sądzę, że Tom i ja możemy z łatwością przekonać Miss Mazeline, że w obecnych okolicznościach wskazany jest cichy ślub cywilny, na który powinna się zgodzić, nie zwlekając. Podzieli na pewno moje zdanie, że należy raczej przyspieszyć datę formalności, o ile, oczywiście, nic nie stanie jej na przeszkodzie.

— Oczywiście — odrzekł Lance. — A zatem! Teraz już pójdę i pomyślę nad tą rozmową.

— O ile pan rzeczywiście nie zgadza się zostać na śniadaniu...

— Dziękuję. Nie. A ty Tomie?

Tom na dźwięk dzwonka, wzywającego na lunch, drgnął i zbudził się z odrętwienia. Widząc Madoca i Horfmana, rozmawiających spokojnie, zaczął głośno szlochać!... Ale przyczyniła się do tej reakcji niezawodnie wódka, której pochłonął całkiem nieprawdopodobne ilości. Zdarzenia ubiegłej i bieżącej doby zaszły mgłą w jego zamroczonym mózgu. Nie zapomniał o nich, ale ich sobie nie uprzytomniał tak wyraźnie jak przed wypiciem. Miał on usposobienie optymistyczne. Zawsze chętnie wierzył, że wszystko przybierze pomyślny dla niego obrót. Był to zarazem krańcowy egoista. Inni ludzie mogli cierpieć, mogli nawet ponosić tragiczne konsekwencje jego przewinień, byle jemu dobrze się powodziło, byle jego ominęła pokuta, a już go nic nie obchodziło własne przestępstwo, cóż dopiero cudze grzechy lub cudza dola! Dlatego tak łatwo i bez cienia skrupułów zgodził się na zaręczyny siostry z notorycznym opryskiem. Odsunęłoby to na czas nieograniczony widmo więzienia za fałszerstwo. Bez trudu potrafił wmówić w siebie, że Fay będzie nawet zupełnie szczęśliwa z Horfmanem, że zasmakuje w zbytku i rozrywkach, jakich zazna w Sans Souci.

Tak też i teraz, gdy Madoc groził policją, uniemożliwieniem małżeństwa Horfmana z Fay, szubienicą, Tom był nieszczęsnym

rozbitkiem życiowym, pełnym skruchy, pałającym zemstą względem tego łotra, który był sprężyną jego czynów, jego szatańskim doradcą. Ale gdy zobaczył pozorne porozumienie Madoca z Horfmanem, poczuł się jak przemoczony pies, który dostał się nareszcie do ciepłego pokoju i może wysuszyć się przy kominku. Dopiero co tonał w otchłani grozy i lęku, był tak dalece przyparty do muru, że myślał już, aczkolwiek niechętnie, o odebraniu sobie życia. Wtem budził się i owiewała go atmosfera zgody, uprzejmości, spokoju. Horfman był uśmiechnięty, Madoc przestał ciskać gromy, śniadanie czekało na stole.

— Cóż ty zamierzasz teraz, Tomie? — spytał Madoc bardzo naturalnym, zwykłym tonem. No, Tom zje, rzecz jasna, śniadanie z panem Horfmanem, a potem...

— Potem pojedziemy do Bootham — rzekł pan Horfman poważnie. — Tom musi przygotować siostrę na tę straszną wiadomość.

Lance nic nie odpowiedział na to. Ale po chwili zapytał:

— A co zamierzasz uczynić w stosunku do matki? I znów pan Horfman zabrał głos:

— Możesz dziś jeszcze pojechać moim dużym „lincolnem”, Tomie, o ile chcesz. Jeżeli wyjedziesz o trzeciej po południu i przenocujesz w Crow Nest, jutro rano będziesz w Lake Louise. Jak myślisz?...

— Dziękuję, mój drogi, pojedę.

— Chodź ze mną, Tomie, zjemy razem śniadanie! — zaproponował Lance.

— Gdzie będziemy jedli?

— Och, gdziekolwiek w Glamisdale, możesz wybrać restaurację. Tom zaśmiał się wesoło.

— Dziękuję, mój kochany — odrzekł — ale już ja wolę kuchnię pana Horfmana.

Po tych słowach Lance pożegnał się, a tamci dwaj poszli pod rękę do sali jadalnej.

\* \* \*

Lance zatelefonował do Błękitnych Oczu, do szpitala. Na szczęście była wolna, mogła wyjść z nim. Poszli razem na śniadanie do jednego z najlepszych hoteli, gdzie usiedli w kąciku restauracji hotelowej i zamówili lunch. Skoro tylko kelner się oddalił, Lance opowiedział Błękitnym Oczom, co się stało. Nie wszystko jej wyjawiał, oczywiście przemilczał tylko udział Toma w tej tragedii, nie wspomniał o ciemnej roli Horfmana. Ale opowiedział jej o strasznej śmierci pana van Menterghem, o tym, że Tom zamierzał pojechać do Bootham, a stamtąd do Lake Louise, aby zawiadomić najpierw siostrę, a potem matkę.

— Miss Mazeline okropnie to przeżyje — rzekła Nurse Browne z oczyma pełnymi łez. — Nie dlatego, żeby bardzo kochała swego ojczyma, mało mieli wspólnego... ale ona już tyle przeszła, że doprawdy niewiele sił jej pozostało do nowych ciosów.

— Ona wiele przeszła, istotnie — rzekł Lance — ale nie sądziłem, że pani wie o tym.

Błękitne Oczy roześmiały się.

— Nie można spędzić choćby 24 godzin przy boku pani van Menterghem — rzekła — i czegoś nie wiedzieć, co...

— Tak, rozumiem, ale nie sądziłem, że Miss Mazeline...

— O! Ona nic nie powiedziała. Ale człowiek mimo woli mnoży dwa przez dwa i...

Lance milczał, patrzył przed siebie, aż nagle odezwał się znowu:

— Błękitne Oczy, proszę nie dopuścić do tego małżeństwa.

— Mój drogi — odrzekła w ten swój praktyczny, trzeźwy sposób mówienia i myślenia — jak ja mam temu przeszkodzić?

— Trzeba coś zrobić...

— Zgoda! Tylko co?...

— Czy nie może pani nakłonić jej, by wyjechała z panią, albo... Wszystko to było bardzo głupie i beznadziejne. Ma się rozumieć,

że ona nic nie może na to poradzić.

— Od dawna zresztą domyśliłam się, że to małżeństwo ma związek z różnymi sprawkami Toma.

— Dlaczego on nie umiera? — wyszeptał Lance. — Tylu zacnych i pożytecznych ludzi umiera codziennie...

— Ten gatunek nie umiera — odparła Miss Browne stanowczym

tonem. — Chyba, że taki łotr spotka większego łotra od siebie, który go zamorduje.

— Ma pani rację — rzekł Lance, rzucając jej przelotne spojrzenie. — Powinien ktoś wykończyć taką bestię. To nie byłoby wcale morderstwem.

— Mój drogi — zaprotestowała Błękitne Oczy — ja tego nie powiedziałam.

— Nie, ale czy to nie byłoby jedynym wyjściem z sytuacji?

— Tak — rzekła zimno — przypuszczam.

Popatrzyła na niego śmiało, badawczo. Robił wrażenie znużonego, wyczerpanego, w oczach miał iskielki, które się jej nie podobały, ręka jego była dziś niemiła w dotknięciu. Powiedziała mu to szczerze.

— O! Jestem całkiem normalny — rzekł z odcieniem zniecierpliwienia, jaki zawsze ogarnia mężczyznę, ilekroć sądzi, że kobieta troszczy się o jego zdrowie. Po czym powrócił do poprzedniej swej myśli.

— Lepiej byłoby dla Fay, to jest... chciałem powiedzieć dla Miss Mazeline... gdyby wyjechała trochę... Gdyby się na przykład coś stało temu łotrzykowi...

Z kolei Błękitne Oczy rozgniewała się.

— Mój kochany chłopcze — rzekła — jedz śniadanie i mów do rzeczy. Prawdopodobnie nic się nie stanie ani panu Horfmanowi, ani Tomowi. Przypuszczam, że ślub zostanie odroczone na dłuższy czas, ale poza tym...

— Ten ślub nie odbędzie się, Błękitne Oczy. Ja pani za to ręczę. Wzruszyła ramionami.

— Jak pan temu przeszkodzi?

— To moja rzecz.

— Obawiam się, że miałby pan przeprawę z Tomem, nawet gdyby pan mógł coś zdziałać, która to możliwość wydaje mi się bardzo słaba.

— Słusznie. Miałbym przeprawę z Tomem. Ale i to moja rzecz, Błękitne Oczy. Niech pani tylko wywiezie gdzieś dalej Miss Mazeline. Ja biorę na siebie resztę.

— Jakże ja ją mogę zawieźć gdziekolwiek bez jej zgody?

— Nie może jej pani namówić?...

— Skądże?...

— Nie może ją pani przekonać, że to dla dobra jej zdrowia?...

— Co za nonsen! Nie usłuchałaby mnie. A poza tym...

— Co?...

— Wie pan dobrze, iż jest ona zdecydowana na to małżeństwo ze względu na pewne sprawy, dotyczące Toma. Nie wiem dokładnie, jakie to są sprawy, ale mogę się domyśleć. Mrs van Menterghem wspominała nieraz za dużo o jego grze w karty, o długach karcianych, a jak mówiłam, ja umiem wyciągać wnioski.

— Właśnie z tych przyczyn...

— O! — rzekła Miss Browne, już całkiem podrażniona — nie roztrząsajmy daremnie jednego w kółko. Nie zdoła pan teraz zapobiec temu małżeństwu: Miss Mazeline zaślubi pana Horfmana. Nie ma na to rady. A teraz niech pan kończy jedzenie, bo ja muszę być w szpitalu przed trzecią.

Jadł w milczeniu. Skoro podano kawę, rzekł nagle z całą odwagą:

— Gdyby mi się udało nakłonić Miss Mazeline do spędzenia paru tygodni u mnie, w moim domku, czy zgodziłaby się pani jej towarzyszyć?

Otworzyła oczy szeroko.

— Spędzić ma u pana parę tygodni... w pańskim domku... Co to znaczy? Gdzie pan ma domek?

— Na skraju lasu.

— Kupił pan willę? — rzekła, ściągając brwi. — E! Nabiera mnie pan.

— Nie, bynajmniej. Kupiłem za bezcen mały domek, schludny i miutki. Urządziłem sobie własnym przemysłem rodzaj parku wśród lasu, zasadziłem trawę. Mam prześliczny widok na skały i na łańcuchy górskie. Patrzę na wschód słońca i na zachód, na różowiące się szczyty i śniegi wieczyste. Cudnie tam jest, Błękitne Oczy, cudnie!

Teraz był znowu dawnym Lance'em, oczy mu błyszczały radością życia. Wziął na kolana mr Micawbera i karmił go resztkami ich śniadania.

— Ten pies rozchoruje się, przekarmia go pan — rzekła Lena i zaraz dodała: — Niech pan mi opowie coś więcej o swej posiadłości w lesie. Kiedy ją pan nabył?

— Dawno.

— Dlaczego nic mi pan o tym nie powiedział?

— Nie mogła pani wówczas zwiedzić mego domku.



— Trudno. Ale już wiedziałabym o jego istnieniu.

— Chciała pani wiedzieć o tym? Dlaczego? — przyjrzał jej się zdziwiony.

Błękitne Oczy nie odpowiedziała wprost na to pytanie. Po chwili rzekła:

— Ależ doprawdy, ten biedny pies rozchoruje się z pana winy. Mr Micawber zeskoczył na podłogę. Zawołano kelnera, zapłacono

rachunek. Pora była wyruszać.

— Nie odpowiedziała pani na moje pytanie, Błękitne Oczy.

— Na jakie pytanie?

— Czy zgodziłaby się pani towarzyszyć Miss Mazeline, gdyby przyjechała do mego domku?

— Mówi pan głupstwa — odparła. — Wie pan dobrze, że ona nie przyjedzie.

— A jeżeli się zgodzi, czy pani będzie jej towarzyszyć? — nalegał.

— Nie wiem, czy dostanę urlop — odrzekła.

— Błękitne Oczy, musi pani to uczynić... — błagał.

— Dlaczego muszę?

Chwył jej rękę, jej mocną, zręczną rękę, która już nieraz opatrywała go w potrzebie.

— Przyjedzie pani z nią, Błękitne Oczy — prosił znowu, coraz błagalniej.

— To takie wszystko nierozsądne — rzekła z pogodnym uśmiechem — jeszcze pan nawet nie zaprosił Fay.

— Niech pani przyrzeknie — nalegał — że o ile ona zgodzi się, to pani z nią pojedzie. Niech pani mi to przyrzeknie, tylko tego pragnę...

— Jest pan dosyć uparty, można by powiedzieć — rzekła ze śmiechem. — Będzie pan, zdaje się, musiał poprzestać na przyjeździe jednej z nas.

— Błękitne Oczy! — zawołał z wyrzutem.

Śmiejąc się i wzruszając ramionami pobłaźliwie, przyrzekła.

Gdy odprowadził ją do szpitala, stanęła na progu i wyglądała za nim, jak biegł w dół ulicy, a mr Micawber tuż za nim. Z piersi jej wyrwało się ciche westchnienie, kąciki jej ust zadrżały boleśnie. Szybkim

ruchem podniosła rękę do oczu i starła palcem łzę, która potoczyła się po policzku.

— Nie bądź głupia, Leno Browne — rzekła sama do siebie i pospieszyła do roboty.

\* \* \*

Następnych kilka dni zeszło na meblowaniu i urządzaniu owej „willi” w lesie. Lance sprowadził sprzęty z Glamisdale, Emma pracowała ciężko, co już dawno jej się nie zdarzyło: ciągnęła wózek z rzeczami pod górę do lasu i wracała po nowy transport mebli do miasta. Zdziwiona była bardzo, że takie dni niezrozumiałego mozółu przysły na nią, ale widocznie ludzie miewają dziwaczne zachcianki. Po kilku dniach pracy i nieładu, mieszkanie było nareszcie schludne i wygodne. Lance pierwszą noc przespał się jak król we własnym łóżku, na miękkiej pościeli, czyściutko powleczonej. Ale radość jego nie była zupełna. Rozjaśnił się dopiero, gdy Lena Browne zgodziła się przyjechać do niego na śniadanie. Chciał jej zadać mnóstwo pytań. Wiedział o dochodzeniu śledczym i jego rezultacie: „Śmierć z powodu wypadku”. Czytywał bowiem pilnie gazety miejscowe. Z nich dowiedział się jeszcze, że sędzia i wszyscy w Glamisdale wyrazili całe uznanie i sympatię dla rodziny zmarłego, a zwłaszcza dla młodego pana Mazeline, który był naocznym świadkiem tej okropnej tragedii i cudem tylko uniknął śmierci w płomieniach. Nie mógł on żadną miarą uratować ojczyzna, samochód w mgnieniu oka zamienił się na płonący stos. Zbliżenie się do niego oznaczało pewną śmierć.

Pan Oskar Horfman, zamożny właściciel Sans Souci i dwaj jego przyjaciele, William Ward i John Harrap, potwierdzili zeznania pana Mazeline. Przybyli na miejsce wypadku, gdy samochód już się palił, a pan van Menterghem był tak uwikłany w karoserię, że o ratunku wobec nasilającego się pożaru mowy być nie mogło. Pan Horfman natychmiast pojechał do Glamisdale po policję.

Lance przeczytał to wszystko uważnie w miejscowych dziennikach, które pełne były rozważań tego tragicznego, a sensacyjnego wypadku. Ale nikt nie znał szczegółów owej tragedii intymnej, jaka kryje się zawsze

w takich razach poza tragedią publicznie obwieszoną. Tom pojechał widocznie do Lake Louise i wrócił na przesłuchanie. Ale Lance nie miał wiadomości o Fay...

— Czy pani się z nią widziała? — zapytał, skoro już wygodnie usadowił gościa przy stole przed przysmakami, które najbardziej lubiła.

Owszem, Błękitne Oczy widziała Fay. Spędziła z nią weekend w Bootham.

— Postarałam się o urlop, ona nie mogła być sama w takich chwilach...

Lance nie zapytał, jak się miewa Fay, ani jak wygląda. Po co pytać? Wiedział dobrze, iż Fay jest nieszczęśliwa, okropnie nieszczęśliwa, nie tyle z powodu śmierci ojczyrna i rozpadnięcia się nowego domu rodzinnego, ile ze względu na tragiczne okoliczności, w których zdarzyło się to wszystko, a w których ona docierała zapewne, dzięki swej wyostrozzonej intuicji, po nitce do kłębka...

— A kiedy ślub? — zapytał Lance, ale na to pytanie Błękitne Oczy nie umiała odpowiedzieć.

— Zdaje mi się, że oni się pobiorą niebawem, że wezmą cichy ślub. Mrs van Menterghem miała znowu ciężki atak nerwowy. Na szczęście jest przy niej jej siostra, a Tom tylko przyjechał na przesłuchanie i natychmiast wrócił do matki.

— Dlaczego Fay nie jest przy matce?

— Była przy niej w najcięższych chwilach, ale musiała wrócić. Tom pojęcia nie ma o interesach, ona musi więc dojrzeć wszystkiego. Są z tym związane niemałe kłopoty. Pan van Menterghem wioził przy sobie pieniądze, należące do jego klientów. Wszystko się spaliło, oczywiście.

— Tak, naturalnie — rzekł Lance, zamyślony, bo przypomniał mu się wielki notes i wycinki z pism, które zobaczył w rękach pana Horfmana.

— Skąd pani przypuszcza, że ślub odbędzie się niebawem?

— Jedno powiedzenie Fay... już nie pamiętam dokładnie, jakie... tak mi jej żal, biedaczki

— Nie zaproponowała jej pani?...

— Owszem, prosiłam, by tu przyjechała, ale naturalnie odmówiła. Ona nie może się oddalać, tłumaczyła mi, że musi być wciąż w domu. Przyjęła nowego zarządzającego farmą na okres najbliższy, dopóki

wszystko nie zostanie spieniężone, nad czym czuwają wykonawcy ostatniej woli pana van Menterghem. Zdaje się, że niewiele zostawił i że większa część tego nieznacznego mienia należy do syna z pierwszego małżeństwa. Mówiła jeszcze o interesach pana van Menterghem, o biurze w Glamisdale i o farmie. Lance słuchał jednym uchem. Dopiero na dźwięk nazwiska Horfmana zbudził się ze swych rozmyślań i zaczął uważać na treść jej słów.

— On codziennie przyjeżdża do Fay — mówiła Błękitne Oczy. — Tak przystoi.

— A Fay przyjmuje go?

— Owszem. Ale tylko parę minut. Pokojówka, Julia, pamięta pan tą dziewczynę? Powiedziała mi, że nigdy nie zdarzyło jej się widzieć pary narzeczonych tak mało czulej i zakochanej jak ta.

— Pani widocznie nie zdaje sobie sprawy — krzyknął nagle Lance podnieconym głosem — że ta biedna, nieszczęśliwa Fay ma złamane serce, że idzie za niego za mąż jak na ścięcie?

— Ależ wiem, wiem, mój biedny chłopcze — rzekła bardzo łagodnie — lecz cóż z tego, skoro oboje jesteśmy bezradni?...

Błękitne Oczy czuła, że potrzeba mu litości, dobroci, sympatii. Czuła, że on pragnie wywalczyć dla Fay niebo na ziemi, choćby z narażeniem samego siebie, czuła to swym biednym, rozdartym sercem. Odczuwała również jego gorącą, dziką nienawiść do człowieka, który nie tylko zabrał mu ukochaną kobietę, lecz na domiar złego, był jej niegodny. Błękitne Oczy niewiele wiedziała wprawdzie o wypadkach ostatnich paru tygodni, ale to, czego się domyślała, było bardzo bliskie prawdy.

Ale, niestety! Była całkiem bezradna.

Lance istotnie miał tę jedyną myśl w duszy i sercu, myśl, która pochłaniała go dniem i nocą, we śnie i na jawie: Fay.

— O nikim i o niczym nie mógł rozmawiać. Gdy siedział milczący rozmyślał o niej. Przypomniawszy Błękitnym Oczom, że przyrzekła przybyć na czas dłuższy do jego leśnej siedziby.

— Nie sądzę, by to było możliwe obecnie — rzekła.

— O tamte rzeczy mniejsza — odrzekł — pani przyrzekła przyjechać.

— Tak jest, przyrzekłam i dotrzymam słowa, o ile pan mnie będzie potrzebował. Tak, chętnie odpocznę trochę w pańskim domku w razie jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia.

Jaki świat możliwości kryje się w tych słowach — ohydnych, potwornych możliwościach. Błękitne Oczy nie uświadomiła sobie tego. Powiedziała to tak, jakby powiedziała, „przy pięknej pogodzie”, albo „o ile się zwolnię w tym czasie”. Nie zdawała sobie sprawy, że to znaczyło w obecnym splocie okoliczności: „Jeżeli Fay nie będzie mogła lub nie będzie chciała tu przyjechać”, albo też: „jeżeli Fay wyjdzie za mąż rychlej, niż przewidujemy”.

Fay żoną Oskara Horfmana! — Najwstrętniejszej bestii, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi!...

Fay!!!

\* \* \*

Lance pojechał tego dnia po południu do Bootham. Nigdzie nie byk widać samochodu pana Horfmana, tak, że śmiało wszedł do domu: i chodził z pokoju do pokoju w poszukiwaniu Fay. Ale jej też nie było widać. Na schodach spotkał pokojówkę. Była to ładna dziewczyna, z którą zawsze był na przyjacielskiej stopie. Od pierwszego wejrzenia polubiła pana Madoca, a przy tym była gorącą zwolenniczką Nursc Browne.

— Miss Mazeline? — spytał Lance.

— Doprawdy! Pan Madoc we własnej osobie! — rzekła dziewczynie, chichocząc. — Jak się pan miewa, Mr Madoc?

— Bardzo dobrze, Julko, dziękuję. Ale gdzie jest Miss Mazeline'/?

— Czy był pan w ogrodzie?

— Jeszcze nie.

— W takim razie trzeba tam zajrzeć, Mr Madoc, a jeżeli tam nie ma panienki, to jest widocznie w stajniach lub w oborze. Biedna panienka! Nie wygląda na szczęśliwą pannę młodą, prawda?

— Na... pannę młodą?

— No, tak! Czyżby pan nie wiedział?

— Nie. Że...

— Że oni się pobiorą za trzy dni...ślub cywilny... nikt o tym nie wie co prawda, oprócz mnie... bo ja jej rzeczy pakuję, a...

Dziewczyna mówiła dalej, tłumacząc obszernie, że ślub będzie bardzo cichy, bo panienka jest w żałobie... Ale Lance'a już nie było na schodach, z których zbiegł jak szalony i przebiegłszy przez hall i przez ganek, mając w uszach ustawicznie wyrazy: „ślub” i „za trzy dni”, wpadł do ogrodu.

Tutaj przetrząsnął wszystkie kąty, nadaremnie. Udał się do stajen, na podwórze folwarczne, ale nigdzie nie było Fay. Znalazł ją w końcu przy ogrodzeniu „jego żrebaków”, jak je nazywano. Patrzyła na ładne, młode zwierzęta, na ich ruchy, ich bunt przeciw dwóm trenerom, którzy uwijali się po placu. Fay stała z zewnętrznej strony parkanu, oparta o sztachety, ręce miała złożone, jak do modlitwy. Miękki grunt tłumiał odgłos jego kroków tak, że stanął tuż przy niej, zanim go zobaczyła.

— Nie zdoła pani uciec przede mną — rzekł z uśmiechem — gdzie by pani nie była, zawsze panią znajdę.

Wyciągnął do niej rękę z prostotą, gestem zupełnie naturalnym. Po paru sekundach wahania uścisnęła mu dłoń.

— Żrebaki rozwijają się wspaniale — rzekł i oparł się o parkan obok niej.

— Prawda? — odrzekła — ogromnie są miłe. Jednego chciałabym sobie wziąć pod wierzch. Ślicznie kłusuje.

— Dlaczegoż nie ma pani wziąć go sobie? Nie widzę przeszkody. Wzruszyła lekko ramionami.

— Farma winna być sprzedana z całym inwentarzem, a...

— A pani wychodzi za męża za trzy dni, o to chodzi!

— Kto panu to powiedział? — zapytała.

— Mniejsza o to, kto mi to powiedział. Ważne, że tak jest naprawdę, widzę to.

— No... tak!...

— Mogła mnie pani wcześniej zawiadomić.

— Będzie to cichy ślub, cywilny tylko... obecny będzie Tom...

— Tom wciąż bawi w Sans Souci?

— Tak. Przyjechał na przesłuchanie. Ale wraca do matki natychmiast po... moim ślubie.

— A dokąd pani pojedzie po ślubie?

— Do Sans Souci, przypuszczam.

— Do...Boże mój!

Pozornie nie dosłyszała tego okrzyku, tego krzyku raczej, krzyku zranionego zwierzęcia. Patrzyła pilnie na żrebaki, które teraz wprowadzono poza obręb ogrodzenia.

— Wspaniale się zapowiadają nasze koniki, Owenie! — zawołała do jednego ze służby folwarcznej.

— Pyszne bestyjki, Miss! Czy zechce pani pojeździć niebawem na jednym z nich? Pick-me-up jest miłutki i pełen ognia.

— Chętnie. Skoro się ochłodzi. Może mi go pokażecie z bliska, Owenie, dobrze?

— W tej chwili, Miss!

Poklepała żrebaka, powiedziała mu półgłosem kilka czułych słów, po czym odprowadzono zwierzęta do stajni, ale ona nie ruszyła się z miejsca. Lance stał za nią, widział jej delikatny profil na tle błękitnego nieba. Kapelusz o szerokim rondzie ocieniał jej oczy, ale nos i podbródek były wystawione na pełne światło słoneczne. Usta jej gorzkie były, kąciki drgały wymownie, nie można było się pomylić co do znaczenia tych mimowolnych oznak. Ślub... Jeszcze trzy dni... O! Boże, Boże!

— Nie czyn tego, Fay! — krzyknął nagle Lance. Boże mój, przecież to obraza Boska i ludzka, przecież ty nie możesz...

Zwróciła twarz ku niemu. Oczy jej były zmęczone, bez wyrazu, podkrążone głęboko, powieki zdawały się opadać, jakby pod ciężarem nagromadzonych łez.

— Nie krzycz na mnie, Amosie — rzekła zdławionym, rozdzierającym głosem. — Wiesz, że muszę przebyć to piekło. Po co więc?...

— Nie wierzę, aby ten łobuz wykonał swoje pogrożki, nawet gdybyś...

— Czy jesteś aż tak słabym znawcą ludzi — odparła Fay chłodniej. — Czy też chcesz mnie zgnębić, mieć pretekst do ganiaenia mnie w dalszym ciągu? Czyż ty myślisz, że ja nie wiem czego... czegokolwiek?...

— Czegokolwiek? Boże wielki, przecież nie wiesz chyba?... Skinęła głową twierdząco.

— Kto ci powiedział?

— Po pierwsze, Horfman...

— Podły tchórz...

— Potem spytałam Toma... nie zaprzeczył... Doprawdy, Amosie, o mało co nie odebrałam sobie życia, kiedy się dowiedziałam, że Tom, mój braciszek... jest zbrod...

Połknęła łzy, dzielna, silna dziewczyna! Zapanowało milczenie. Gdy przemówiła ponownie, nie patrzyła już na niego, wlepiała oczy w góry, rysujące się w oddali na horyzoncie, te góry czyste w swej niedostępności, których szczytów nie dosięgały namiętności i pod-łostki ludzkie.

— Na szczęście, zachowałam tyle przytomności, by pomyśleć

O matce — ciągnęła dalej Fay bezdźwięcznym głosem. — Byłoby to dla niej nowym ciosem, gdyby mnie straciła, a podobno jej system nerwowy nie może już znieść więcej... No, a przy tym ten biedny Tom wpadłby całkowicie w ręce Horfmana, a wówczas Bóg jeden wie, co by się stało...

Gdyby ktoś powiedział Lance'owi, że przyjdzie dzień, w którym, stojąc obok Fay, będzie słuchał, jak ona mówi o odebraniu sobie życia, Madoc byłby się roześmiał głośno, bo sama myśl wydałaby mu się tak nieprawdopodobna, że nawet nie warto by tracić słów na komentarze. Dokoła nich świat był cudnie piękny. Wszędzie — piękno i spokój. A ona, Fay, najcudniejszy stwór przyrody tej półkuli, ona cierpiała

I płakała. Dla niej ta cudna ziemia zbrukana będzie kontaktem z najciemniejszym, najpodlejszym osobnikiem pod słońcem. A jej rezygnacja, jej apatia, są największą w tym wszystkim tragedią.

— Oni... to znaczy, pan Horfman i Tom powiedzieli mi, że ty wiesz o wszystkim, Amosie, dlatego wspomniałam o tym...

— Tak — rzekł Lance — wiem o wszystkim.

— A zatem rozumiesz moje położenie? — ciągnęła dalej z dziwną nutą żalu i prośby w głosie. Mówiła tak, jakby on nie pojmował wzniosłości jej ofiary dla złej sprawy, dla człowieka bez wartości, jakby potrzebny jej był adwokat wobec tego mężczyzny, który by z chęcią całował jej stopy z uwielbieniem i pokorą!

— Rozumiem — szepnął Lance —jesteś najbardziej godną podziwu istotą...

— Nie, nic podobnego — odrzekła z bladym uśmiechem, ale nie mogę pozwolić, by mój rodzony brat...



Lance już, już miał powiedzieć: — Dlaczego nie?..., ale to byłoby niepotrzebne okrucieństwo i prawdopodobnie zamknęłaby się w sobie po tych słowach, stałaby się znowu zimną, nieprzystępną Fay, którą ongiś porównał w myśli do zorzy polarnej. Powiedział więc:

— Tom jest szaleńcem, szaleńcem i zbrodniarzem. Ale nie ma w nim nic istotnie złego, w gruncie rzeczy. Ten łotr jest wszystkiemu winien, wykorzystał zasadniczy rys Toma, jakim jest słabość charakteru. Horfmanowi pan van Menterghem zawadzał. Jest to diabeł i podły tchórz w jednej osobie, toteż nie chciał popełnić zbrodni własnoręcznie, ale chciał się pozbyć wroga, zastawiając pułapkę na Toma. A ten nieszczęsny chłopak wpadł w sidła po same uszy. Ale dlaczego pani ma być ofiarą?

— Tylko dlatego, że Horfman uwikłał Toma w sytuację bez wyjścia. Nie sądz, bym nie rozważała dniami i nocami wszelkich możliwości ucieczki z tego piekła. Ale on tym ostatnim posunięciem położył mi nóż na gardle i ... on na pewno zadenuncjuje Toma, jako... mordercę... zabójcę pana...

— Nie mów, Fay!

— A ma dwóch świadków, podobno, którzy...

— Łgarze i tchórze...

— Może być, ale na nieszczęście, tym razem nie skłamaliby. Tom popełnił...

Urwała, oddychała ciężko. Po chwili rzekła łagodnie:

— Z nikim nie mówiłam o tym dotychczas, Amosie. Przecież nie mam z kim. Dopiero teraz myślę głośno i coraz jaśniej widzę tę straszną konieczność.

— Ty biedne, biedne, kochane maleństwo. Nie płacz, nie martw się — rzekł Lance spokojnie. — Nie będę dzisiaj szalał, jak wówczas w ogrodzie, pamiętasz?... Dzisiaj, niestety, sprawa jest gorsza, niż wtedy, ale posłuchaj mnie Fay. Wiem, że mnie nie kochasz, przegrałem twoją miłość od dawna, obecnie jestem tylko zbiegiem z więzienia, jak słusznie mówi Horfman. Ale lubisz mnie dosyć, by mi zawierzyć twe najdroższe tajemnice, powierz mi jeszcze coś — samą siebie. Ucieknij ze mną, Fay! Świat jest duży! Ukryjemy się gdziekolwiek. Przysięgam Bogu, że zawsze będziesz dla mnie świętością, że będę na ciebie pracował i uwielbiał cię, nie żądając nic w zamian. Chodź ze mną, Fay! Zapomnijmy o tym

bagnie, w jakim nurzamy się tutaj, ukryjmy się gdzieś, gdzie będziemy mieli za całe towarzystwo ptaki i zwierzęta. Znajdziemy gdzieś odludną wyspę, zaufaj mi... wybudujemy sobie mały domek, a dokoła nas będzie przyroda, ta wiecznie niezawodna i będziemy mieli konie i psy i przedmioty martwe, jedyne, które nigdy nie opuszczają człowieka, Fay. Kupiłem ładny domek, tam, w głębi lasu. Tam możemy się kryć, dopóki nie uradzimy, co dalej... Nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy i co robimy, bo zanim zdążą nas wyśledzić...

Pozwoliła mu mówić do końca, mówił, jak chłopiec, mężczyźni bowiem są wiecznie chłopcami, nawet ci, którzy dużo przeżyli i przecierpieli. Amos Beyvin zawsze pozostanie chłopcem, biorącym swe życzenia za rzeczywistość, nie uznającym nic poza swą wolą. Pozwoliła mu nawet ująć obie swe rączki i trzymać je w rozpalonych dłoniach.

— Piękny sen, Amosie — rzekła Fay łagodnie, gdy przerwał, aby zaczerpnąć tchu.

— Urzeczywistnij ten sen, Fay! — błagał — uciekajmy... teraz... zaraz!

Wyrzekła jedno słowo: „Tom!”, puścił jej ręce. Dalsze prośby zamarły na jego ustach, ale przez zęby mruknął okropne przekleństwo.

— Przyznajesz, że może to być tylko snem, prawda? — spytała Fay.

— Byłoby czymś więcej — odrzekł mimo woli — gdybyś choć trochę mnie kochała.

— Musiałaby to być wielka, wielka miłość, mój drogi — odparła, mówiąc bardzo wolno i ważąc każde słowo — która skłoniłaby kobietę do posłania dobrowolnie brata na szubienicę dla ocalenia własnego szczęścia.

— Masz rację — rzekł Lance łagodnie. — To musiałaby być wielka, wielka miłość.

Po tym niewiele pozostawało do powiedzenia. Przynajmniej Lan-ce'owi tak się zdawało. Fay rzekła:

— Muszę wracać. — A Lance wziął to za hasło pożegnania. Poszedł z nią w kierunku domu, ku bramie wyjściowej zarazem. Gdy doszli do bramy ogrodu, zatrzymał się:

— Żegnaj cię, Amosie — rzekła Fay.

— Nie żegnaj cię jeszcze — odparł Lance. — Zobaczę cię za trzy dni.

— Nie, nie czyn tego... — zarumieniła się gwałtownie.

— Pozwól mi przyjść na chwilę — prosił — chcę cię tylko pożegnać.

— Nie, nie...

— Przyjdę wcześniej, zanim inni się zejdą... mogę sobie pożyczyć wcale dobrą „maszynkę”, którą przyjadę.

Pojedziemy w okolice z samego rana, za trzy dni... Po raz ostatni...

— Nie, Amosie... doprawdy.

— Przysięgam, że już szaleć nie będę, a wiesz przecież, Fay, że potem nie spotkamy się już nigdy więcej, a w każdym razie...

Tajała pod wpływem jego słów, potrząsała głową przecząco, ale spojrzenie jej szarych oczu upoważniło Lance'a do wypowiedzenia tych słów:

— No, w każdym razie przyjadę, poranki są teraz cudne, a nie możesz mnie potępić za to, że pragnę cię zobaczyć po raz ostatni.

— No, dobrze — rzekła w końcu. — Zobaczymy.

\* \* \*

Lance postanowił pojechać tegoż dnia wieczorem do Sans Souci, o ile nie spotka Horfmana w Glamisdale.

Pomyślnym zbiegiem okoliczności zobaczył go przed sobą w barze hotelowym, popijającego oranżadę w towarzystwie dwóch młodych ludzi — po których poznać było cudzoziemców.

— Mój drogi, Madoc, — zawołał Horfman, zobaczywszy Lance'a na progu — co za miła niespodzianka! Nie widziałem cię od wieków! Co się z tobą działo?

— Nie było mnie w tych stronach, wyjeżdżałem w interesach. Jak się pan miewa?

— Wybornie, dziękuję. Niechże pan siądzie, skoro już mamy sobie mówić „pan”. Czy mogę panu służyć czymś bardziej wzmacniającym niż ta nasza oranżada?

— Nie będę nic pić, dziękuję, panie Horfman.

— Mądry człowiek z pana, to takie paskudztwo... Lance nie przyjął poczęstunku, ale przysiadł się do stolika.

— Moi znajomi: Mr John Parker z Seattle i Mr Neumarkt

z Chicago. Ci panowie są u mnie na obiedzie dzisiaj wieczorem. Czy zechce pan się do nas przyłączyć, panie Madoc?

— Żałuję, nie mogę. Dzisiaj nie, panie Horfman. Ale czy nie zaprosi mnie pan na swój ślub?

— Na mój ślub? Kto... panu powiedział?

— Kto by to nie był — odrzekł Lance żartobliwie — poinformowany był dobrze.

— Żeni się pan, panie Horfman? — spytał ciekawie jeden z młodych ludzi.

— No, tak! Ale w Sans Souci nic się przez to nie zmieni. Będą panowie zawsze mile widzianymi gośćmi.

— Bardzo pan uprzejmy.

— A kiedy ślub, panie Horfman?

— Za trzy dni, o wpół do drugiej, w urzędzie cywilnym przy Mount Street.

— No, to życzymy panu szczęścia.

— Dziękuję. Ale na tę intencję wypijemy dzisiaj wieczorem w Sans Souci. Tak bym chciał pana dziś zobaczyć u siebie, panie Madoc!

— Chętnie bym służył, ale niestety jest to niemożliwe. Trudno. Zobaczę się z panem jeszcze. Może jutro.

— Dobrze. Ale! Muszę wiedzieć, kto panu powiedział o dacie ślubu? Nie chce pan powiedzieć? No, to będę zgadywał. Acha! Zapewne ta ładna pokojóweczka w Bootham! Ona jedna wie o tym, ponieważ pakuje rzeczy przyszłej pani Horfman. No, zgadłem, co?

— Możliwe.

Przyszła pani Horfman!... Boże, Boże!...

— Czy musi pan już odejść? — spytał Horfman. Nie może się pan zwolnić na dzisiejszy wieczór?

Horfman był bardzo uprzejmy! Na ulicy pożegnał się z Lance'em, jak ze swym najserdeczniejszym przyjacielem.

— Tom przebywa u mnie w domu, wie pan, panie Madoc — rzekł — jakoś niesporo mu było jechać na kilka dni do Bootham, spojrzeć w oczy swej siostrze...

— Czyżby?

— No — zaśmiał się pan Horfman — nie ma w tym nic dziwnego, przyzna pan? Dopiero, gdy ja zostanę mężem Fay, on poczuje się

bezpieczny i będziemy mogli żyć wszyscy po dawnemu, jakby nic się nie zdarzyło niezwykłego.

— To prawda, panie Horfman. Bardzo ładnie z pańskiej strony, że pan tak myśli.

— Doprawdy, szczerze pan to powiedział? Wie pan, ja już taki jestem, byle mi nie zawadzać, nikomu krzywdy nie zrobię. Byłem dla pana szorstki, ale nie trzeba mi tego brać za złe...

— Rozumiem i nie biorę panu nic za złe, panie Horfman — rzekł Lance — ale teraz muszę już iść.

— Ale przyjedzie pan niebawem do mnie?

— Jeśli będę mógł.

— W każdym razie, za trzy dni, o wpół do drugiej. Niech pan pamięta!

— Nie zapomnę. Stawię się.

Horfman powrócił do swych przyjaciół, czuł się wybornie, był usposobiony życzliwie dla całej ludzkości, co nieczęsto mu się zdarzało. Ten szaleniec Madoc był najwyraźniej ugłaskany. On już mu wody nie zamięci, a Horfman najbardziej obawiał się „nieprzyjemności” z tej strony. Wobec tego trzeba będzie pomóc mu sfinansować jakieś przedsięwzięcie w Stanach Zjednoczonych; ugłaszcz go się do reszty, a zarazem nie od rzeczy będzie pozbyć się z okolicy tego eks narzeczonego Fay, niewygodnego świadka zbyt wielu zdarzeń. Tak, to najważniejsze, zbyt wiele wie. Bo, co do uczuć młodzieńczych Madoca dla Fay, to przecież one wygasły już, zanim Beyvin został skazany na karę więzienia po owym niemiłym zajściu z policją londyńską.

\* \* \*

Był to uroczy poranek!

Nawet Fay, która spędziła ciężką, bezseną noc na łzach i żalu za przeszłością, na drzeniu przed przyszłością, nie mogła oprzeć się westchnieniu rozkoszy, skoro wyszedłszy do ogrodu odetchnęła cudownym, wonnym powietrzem i napelniła płuca zapachem siana, dolatującym z pobliskich łąk. Dokoła niej — zieloność i błękit przestworzy, błękit rysujących się mglisto w oślepiającym blasku słonecznym szczytów górskich.

Oczy jej, zbolale, piekace, patrzyly w dal, na szose. Czy Lance przyjedzie? Tu znów westchnęła... Tak, to byłoby dobrze! Szaleństwo!...Ale co by to szkodziło, zapomnieć na kilka godzin o wszystkim, zanim...? Ona każe mu się zawieźć na pobliskie wzgórze, tam, gdzie ciemne sosny odcinają się od przejrzystego powietrza, gdzie mchy takie są chłodne, takie orzeźwiające w dotknięciu.

Całkiem bezwiednie wyszła poza bramę ogrodową i szła z wolna brzegiem szosy. Pusto było dokoła. Nie było widać żywej duszy. Od południa powiewał lekki wietrzyk, przynosząc dźwięk dzwonu kościelnego z Glamisdale. Była godzina szósta rano. W chwilę później ukazał się na szosie mały samochód. Był to Lance w małym aucie dwuosobowym, który wynajął w Glamisdale. Na widok Fay zwiększył szybkość i w parę minut był przy niej. Wskoczył z samochodu.

— Nadzwyczajne! — wołał — nie przypuszczałem, że tak wcześnie się zerwiesz. Zamierzałem zatrzymać się gdzieś w cieniu i czekać, aż wstaniesz. Ani mi do głowy nie przyszło, że już jesteś na nogach.

— Nie tylko wstałam wcześnie — odrzekła — ale już byłam całkiem gotowa do przejażdżki.

Miała na sobie elegancki kostiumik i przylegający mały kapelusz na głowie. Lance był oczarowany.

— Zabrałem trochę kawy w termosie — rzekł — mam też chleb i masło, świeże poziomki i śmietanę w słoiku.

Wyszukamy sobie odpowiednie miejsce w lesie i zjemy razem śniadanie. Czy dobry pomysł miałem, powiedz!?

Przyznała, że pomysł jest pierwszorzędny.

— Muszę być z powrotem o 10-ej godzinie — rzekła bardzo poważnie, gdy usadowiła się wygodnie na poduszkach samochodu.

Cóż za cudna przejażdżka! „Maszyna” była pyszna, sunęła po wybojach, jak po asfaltowanej drodze. Wiatr chłodził rozpalone skronie Fay, wdychała pełną piersią zapachy ziemi i łąk, a im bliżej wzgórz lesistych, tym bardziej upajająca stawała się woń sosen, (idy przejeżdżali obok ogrodów i parków prywatnych, pachniały róże i heliotropy, kołysały się pola złociste za podmuchem wiatru, .lak to błogo tak oprzeć się głęboko, przymrużyć oczy i poddać się tej zawrotnej szybkości, i dać się tak uwozić w jakąś nieznaną dal, jakby

to się nigdy nie miało skończyć, nigdy... A otóż i niezła droga, prowadząca pod górę prosto do lasu. W lesie — postój.

— Masz ochotę powspinać się trochę? Znam tu śliczną polankę, niedaleko, 10 minut drogi pod górę. Dobrze? Tam pysznie nam się będzie jadło śniadanie. — Mówiąc to Lance zeskoczył na ziemię i wyjął z samochodu szereg przedmiotów: koszyk, termos, pled.

— A co zrobimy z samochodem? — spytała Fay.

— Zostawimy go tutaj. Wsunę go tylko trochę w gęstwinię, gdzie go oko ludzkie nie dojrzy. Istotnie obiecana polanka była niezbyt odległa od miejsca, gdzie wysiedli.

— I ja chcę coś nieść — mówiła Fay po drodze.

— Dobrze, możesz nieść termos, a drugą ręką trzymaj się mnie, bym cię mógł podeprzeć.

Propozycja została przyjęta, wdrapywali się po igłach, śmiejąc się i żartując. Polanka była prześliczna. Widok roztaczał się stąd rozległy i bardzo piękny. Rozpakowali prowianty i zaczęli ucztować. Nigdy jeszcze kawa tak im nie smakowała, nigdy poziomki ze śmietaną nie wydawały im się tak wyśmienite. Samochód stał nieco niżej, ukryty wśród krzewów, ale była to, zdawało się, zbyt duża przezorność: nikogo nie było widać jak okiem sięgnąć.

— Musisz znać tę boczną drogę, którą jechaliśmy przed chwilą? — pytał Lance. — Już na pewno jeździłaś tędy przedtem?...

— Nie przypominam sobie. Matka nie znosi jazdy samochodem, a w ogóle mieszkamy w tej okolicy od niedawna.

— Chcesz pójść jeszcze kawałek drogi pod górę? Tam wyżej roztacza się taki cudny widok z punktu, który szczególnie polubiłem i dlatego nazwałem go Wzgórze Amosa.

— Ale co będzie z samochodem?

— Skoro dojdziemy do wierzchołka wzgórza, odpoczniesz, a ja przez ten czas pobiegnę po samochód i podjadę od strony głównego traktu, który kończy się o pół kilometra stamtąd. Ty nasycisz się pięknym widokiem i razem zejdziemy w cztery minuty aż do naszego wozu.

— Muszę być w domu o dziesiątej — powtórzyła z naciskiem.

— Jest dopiero wpół do siódmej — odparł.

— Pewien jesteś, że samochód jest bezpieczny w tej gęstwinie?

— Całkiem bezpieczny. Zjedź jeszcze trochę poziomek, zanim pójdziemy w dalszą drogę.

— Dziękuję — rzekła, śmiejąc się — wszystko ma granice!

Fay była przez chwilę beztroska, zapomniała o swej niedoli, czuła się jak dziecko, oczy jej błyszczały, biegła, jakby miała skrzydła, głos jej rozbrzmiewał wśród drzew raz po raz srebrzystym śmiechem.

Droga była teraz stroma, trzeba było miejscami przedzierać się przez gęste krzewy. Ale i to zwalczanie przeszkód było przyjemnością. Lance szedł naprzód i podawał rękę Fay, gdy trudno jej było wspiąć się na jakiś kamień. Dokoła nich las szumiał tajemniczo...

— Tu jest ścieżka! — zawołała Fay tryumfalnie. — Powinniśmy byli przyjechać tu — ty na Emmie, a ja na moim pick-me-up. Nie wiedziałam, że można tu dojechać taką malowniczą ścieżką.

Zatrzymała się, by odsapnąć i patrzyła pod górę. Dokąd prowadzi ta ścieżka? — zapytała.

— Na skraj lasu — odrzekł. — Podejdźmy trochę wyżej, pokażę ci...

— Mówiłeś, że to tak niedaleko!

— Bo też to jest blisko — rzekł. — Chodź, przekonasz się.

— A samochód? — zatroszczyła się znowu.

— Samochód niech diabli wezmą... — na to dictum Fay musiała się roześmiać, rzecz jasna.

Nareszcie stali na wyżyńce, którą on nazwał Wzgórzem Amosa. Stali obok siebie, patrząc na cudny obraz, na miasteczka i wioski w dolinie, na szosę, wijącą się niby wstążka wśród drzew i domów, na dym, unoszący się z komina przed nimi, na widniejące w dali łańcuchy górskie. Wydała okrzyk zachwyty, skoro stanęła wobec tej wspaniałości, wydobywszy się po mozolnej wyprawie z ciemni gęstego lasu. Lance trzymał ją za łokieć i pokazywał jej różne punkty na horyzoncie, tłumacząc czym który jest.

— O! Patrz, Amosie, widzę na szosie czerwony samochód, to zapewne wóz Laffana, oni mają czerwony samochodzik. Ale naszego nigdzie i stąd nie widać, chyba nic mu się nie stało?...

Była nieco zdyszana forsownym marszem pod górę, a także tamowało jej oddech dawno nieoczekiwane podniecenie.



— Szkoda, że nie znalazłam dotychczas tego uroczego zakątka, Amosie, dlaczego nie mówiłeś mi nigdy o nim? Zdjęła kapelusz i wiatr rozwiewał swobodnie jej włosy. Zwróciła ku niemu swe roziskrzone oczy i spotkała jego spojrzenie. W tym wzroku była taka tęsknota, tyle ognia, że na chwilę posmutniała, uczuła zmęczenie fizyczne i ostry ból w sercu, ten sam, który dręczył ją od miesięcy, a który teraz powracał ze zdwojoną siłą.

— Czas na mnie — szepnęła.

— Usiądź tu na chwilę i odpocznij. Pójdę po samochód. Rozpostarła pled na ziemi i usiadła. Sądziła, że poszedł natychmiast

po samochód, ale, obejrzawszy się, ujrzała go za sobą nieruchomego.

— Amosie, muszę wracać.

— Wiem. Pójdę za minutę lub dwie, ale dlaczego nie mamy zajechać razem przed twój dom, Fay?

— Amosie — zaprotestowała — przyrzekłeś...

— Wiem. Przyrzekłem nie robić szaleństw. Ale teraz nie szaleję, Fay. Jestem obecnie bardzo mądrym człowiekiem, który patrzy w przyszłość i widzi, jak niemożliwe i niedorzeczne jest to, co ma stać się dzisiaj, co postanowiłaś uczynić. Dlatego po raz ostatni zadaję ci pytanie: Fay, czy zgadzasz się uciec ze mną?

Fay usiłowała zerwać się, ale daremnie, sił jej brakło.

— To nieszlachetne i niemądre, Amosie. Przywiozłeś mnie tutaj, a teraz wbrew przyrzeczeniu... teraz wszczynasz na nowo te najboleśniejże kwestie.

— Fay! Słuchaj! Słuchaj po raz ostatni!

— Nie! — krzyknęła z rozpaczą w głosie. — Nie chcę słuchać tych słów, a ty...

Znow usiłowała powstać z ziemi. Lance ujął jej rękę.

— Nie odchodź, Fay — rzekł spokojnie. — Nie powiem nic więcej. Zaczekaj tu na mnie chwilę. Wrócę niebawem. Zszedł w dół, nie oglądając się za siebie. Fay siedziała bez ruchu, obejmując rękami kolana. Przez parę sekund wsłuchiwała się w odgłos kroków Lance'a, cichnących w miarę, jak się oddalał. W końcu dokoła niej zapanowała cisza.

Z dołu dolatywały teraz jakieś dźwięki: życie się budziło w dolinie. Słysząc było gwizd lokomotywy, szum motoru, ale tu na górze wszystko

było spokojem i pięknem zarazem. Fay patrzyła na okolicę, jak człowiek umierający spogląda po raz ostatni na to, co najbardziej ukochał. Głębokie łkanie wstrząsnęło jej całym ciałem, ukryła twarz w dłoniach, szlochając, jak biedna, śmiertelnie ranna istota, nie mająca już sił do walki ze swą rozpaczą. Mówić nie mogła, mogła tylko płakać. W sercu jej odzywał się głos, a tym głosem był krzyk protestu:

— Boże mój! On ma słuszość. Ten ślub jest niemożliwością, ale Boże, dobry Boże, oświeć mnie, Panie, co czynić?  
— Fay!

Podniosła głowę i natychmiast odwróciła się w przeciwną stronę, podrażniona, że zastał ją we łzach. Nie słyszała, gdy nadchodził, zaskoczył ją. Teraz stał przy niej na polanie, a obok niego Emma i Mr Micawber, który siedział na tylnych nóżkach, machając ogonkiem i patrząc badawczo na Fay. Na Wzgórzu Amosa piesek nie przywykł oglądać ludzkich twarzy.

Fay otarła łzy jak mogła najszybciej i zdobyła się nawet na uśmiech:

— Emma kochana! — zawołała — skąd ona się tu wzięła?

— Wskocz na siodło — odrzekł Lance, nie odpowiadając na pytanie. — Ona zwiezie cię na dół, do samochodu.

— Ale skąd ona się wzięła? A Mr Micawber?

— Mniejsza o to, skąd oni się wzięli, ważne, że wiedzą, dokąd cię zawieść. Dosiądź Emmy, Fay. Ona jest taka zabawna, gdy z powagą zjeżdża po stromej pochyłości, nie tracąc ani na chwilę dumnej miny. Wypróbuj ją jako alpinistkę.

Dlaczego nie? Jakkolwiek suknia kępowała jej ruchy, Fay wskoczyła na konia. Emma stała spokojnie, jak wykuta z brązu. Fay zdjęła kapelusz, wiatr rozwiewał jej włosy, wyglądała, jak rusałka tych lasów.

— Mocno siedzisz w siodle? — zapytał Lance.

— Ależ tak, naturalnie — odrzekła Fay wesoło — nie po raz pierwszy zdarza mi się jechać konno na męskim siodle w wąskiej sukience.

Lance ujął Emmę za uzdę i prowadził ją po zboczu. Mr Micawber biegł naprzód, kręcąc radośnie ogon i -m i poszczekując dla okazania swej uciechy. Lance spojrział ukradkiem na Fay. Wygi;; lala spokojnie i ufnie.

— Wygodnie? — spytał.

— Pysznie! Dziękuję! — odrzuciła pogodnym głosem. Po upływie kilku minut byli na głównym trakcie.

— Co zrobisz z Emmą — zapytała nagle Fay — gdy wsiądziemy do samochodu?

Ze też ona od razu o tym nie pomyślała!

— Nie zechcesz chyba, bym sama poprowadziła auto aż do domu, a ty żebyś jechał na Emmie? — ciągnęła dalej.

Wtem wydało jej się, że Lance, który nie odpowiadał na żadne z jej pytań, prowadzi konia pod górę, a nie w dół.

— Dlaczego wiesz mnie?... — zaczęła, aż nagle z piersi jej wyrwał się krzyk:

— Amosie!

Bo wszystko to stało się w przeciągu dwunastu sekund: Emma szła, jakby nic się nie zdarzyło niezwykłego, ale Lance siedział teraz na siodle, za Fay, objął ją ramionami, trzymał mocno, a jeszcze mocniej uwięził ją pledem w tym objęciu, tak, że nie mogła walczyć, bo obezwładnił wszystkie jej ruchy. Fay nie bała się, ale... czuła się niewyraźnie.

— Amosie! — zawołała znowu. I jeszcze raz — Amosie!

Pled owinął jej głowę również. Brakło jej powietrza. Lance rozchylił nieco tę zasłonę i teraz widziała jego oczy w niej utkwione. Był pochylony nad nią, w twarzy jego był wyraz nieskończonej miękkości i dobroci. Patrzył na nią, jak ona sama spoglądałaby na biedne, bezbronne dziecko, które los krzywdzi okrutnie. Nie było w tych jego oczach nic dzikiego, ani cienia szału, ani nawet namiętności samczej,

— była tylko litość i głębokie uczucie, od czasu do czasu tylko zamigotał błysk żądz, który tak boleśnie raził ją w jego spojrzeniu od jakiegoś czasu, od chwili, kiedy w duszy spełniła już nieodwołalnie swą wielką, szczytną ofiarę. Ale nie miała teraz złudzeń co do celu, w jakim trzymał ją tak mocno, używając brutalnej przemocy fizycznej. Nie mogła się ruszyć. Krzyczeć, wołać na pomoc nie chciała, a przy tym na cóż by się to zdało? Kto by usłyszał wołanie na tym pustkowiu? A także wzbierało w niej oburzenie, które oddech jej tamowało, nie tylko słowa. Nie miała skłonności do omdleń, ale teraz czuła, że przytomność ją opuszcza. Może był to skutek upału, może wynik zbuntowanej woli, może dziewicze przerażenie wobec przewagi mężczyzny, zdobywającego przemocą kobietę, która

śmiała mu stawić opór... tak było coś pierwotnego w tej jeździe w objęciach silnego mężczyzny, który traktował ją w tej chwili jak niewolnicę. Zamknęła oczy w poczuciu swej bezsilności i dała się bez oporu wieść ku nieznanemu przeznaczeniu.

Lance coraz mocniej przyciskał do siebie swój drogi ciężar: Fay! Jego Fay! Jego! Tak jest — prawem zdobywcy. On był teraz panem jej przyszłych losów. Nie mógł zapanować nad wewnętrznym odruchem dumy samca, który przewyciężył podstępem i siłą opór dziewczyny. Dotychczas kochał ją, współczuł jej, był dla niej gotów do poświęceń, ale teraz ubóstwiał ją po prostu, bo była bezradna, bo była w jego mocy. Widział jej drogą twarzyczkę, na której nawet przez zamknięte powieki malowało się oburzenie. Lista zacisnęła w słodkim, bezsilnym uporze, iście kobiecym. Za nic nie odezwałaby się teraz do niego, za nic nie przerwałaby tego milczenia i spokoju, jaki panował w wielkim, nieprzejrzanym borze, gdzie była w jego mocy. On miał serce przepełnione wyrazami pociechy i miłości, ale nie śmiał ich wymówić. Milczał również, oczy jego tylko mówiły to, co było treścią całej jego duszy.

Emma szła coraz wolniej; była zmęczona.

Słońce było wysoko na niebie, ponad sosnami, w których cieniu Lance unosił ukochaną kobietę, unosił w dal, by uchronić ją przed strasznym losem, jaki ją czekał z tamtej strony lasu, w Bootham.

\* \* \*

Emmie nie trzeba było mówić, dokąd ma jechać, ani co ma uczynić, skoro przybędą na miejsce. Zatrzymała się w pobliżu domku stojącego jak prawdziwa niespodzianka wśród tej gęstwiny ponurej i milczącej. Stała, cierpliwie czekając, aż Lance zsiądzie z siodła i zdejmie swój cenny ciężar.

Błękitne Oczy stała na progu.

— Mój drogi! — wykrzyknęła z wyrzutem w głosie. — Co się stało, na Boga?

— Zemdląła, zdaje mi się — rzekł Lance.

— Ale...

— Nie pytaj o nic, droga pani. Niech mi pani pomoże wnieść ją do wnętrza domu.

Błękitne Oczy otworzyła drzwi, a Lance zaniósł Fay do sypialni i złożył nieprzytomną na łóżku.

— Nic jej nie będzie chyba? — pytał z niepokojem w głosie i spojrzeniu.

— Nic jej nie będzie — odrzekła Błękitne Oczy dość szorstko — o ile mnie ją pan powierzy i przestanie się mieszać w nieswoje rzeczy. Ale muszę najpierw wiedzieć...

— Opowiem pani wszystko. Tylko błagam, niech pani ocuci ją i uspokoi, a potem porozmawiamy. Czy zjadła pani pierwsze śniadanie?

— Owszem! I zmyłam statki, i odstawiłam je w porządku. Ale nie uprzedził mnie pan...

— Bo sam nie wiedziałem. Nie byłem pewien, czy i kiedy uda nam się przybyć.

— Nam?... Pan przyjechał, młody człowieku. Ona, biedaczka, została porwana...

Błękitne Oczy, rozmawiając, krzątała się równocześnie koło Fay. Podręczna apteczka i tutaj jej towarzyszyła, naszej zapobiegliwej Nurse Browne, znalazła się więc natychmiast woda kolońska, sole trzeźwiące, spirytus.

— Odzyska przytomność za minutę — rzekła teraz Lena. — Może pan zechce wyjść z pokoju? To będzie lepiej, sądzę.

— Przyrządzę herbatę — rzekł.

— Dobrze. A teraz proszę się wynieść stąd i zamknąć drzwi za sobą. Lance wysunął się na palcach i po cichutku zamknął drzwi. Potem

wyszedł z domu i przyniósł świeżej wody z pobliskiego strumyka górskiego. Zaparzył herbatę i czekał na przebudzenie się Fay.

Usiadł przed domem i wsłuchiwał się w szum lasu. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia. Przysięgł samemu sobie, przysięgał Fay, że nie poślubi ona nigdy tego opryszka i dotrzymał słowa. Chwycił za łeb Przeznaczenie i nie wypuści cugli z rąk, teraz on prowadzi! Postanowił więzić ją tutaj, dopóki nie odstąpi dobrowolnie od swej szaleńczej myśli poświęcenia się dla drugiego opryszka, Toma. Trzeba coś będzie obmyśleć na wypadek jej oporu: unieszkodliwić Horfmana. Najważniejsze zyskać na czasie! Tak, ale ona go znenawidzi za to

udaremnienie jej szaleńczo-szlachetnych zamysłów. Slusznie najpierw miłość, potem pogarda, potem obojętność, a wreszcie, teraz nienawiść! Ciężko mu było znieść jej pogardę, jej obojętność, ale jak on zniesie jej nienawiść?! Nie przewidział, że to tak boli. Ale myśl, że Oskar Horfman nie posiadzie jej nigdy łagodziła i tę piekącą ranę.

Drzwi domku zaskrzypiały. Lance zbudził się ze swych marzeń i rozważań i zerwał się na równe nogi. Błękitne Oczy slala na progu i rzekła:

— Ocknęła się. Napila się trochę gorącej herbaty. Ale życzy sobie mówić z panem, ja tu zaczekam.

— Czy ona bardzo się na mnie gniewa. Błękitne Oczy? spytał Lance.

— Bardzo.

— Ale pani dotrzyma przyrzeczenia, w każdym wypadku, prawda?

— Co pan rozumie przez: „w każdym wypadku?”

— No — rzekł ze śmiechem — nie wiem, co ze mnie zostanie po tej burzy, jaką teraz oberwę od Fay, ale pani zostanie tutaj?

— Czyż nie dotrzymałam już przyrzeczenia? — przerwała. — Obiecałam przybyć, gdy będę potrzebna. Wczoraj wezwał mnie pan i jestem.

— Wiem, Błękitne Oczy — rzekł miękko. — Jest pani zącą istotą. Ale przyrzekła mi pani wczoraj wieczorem, że cokolwiek by się stało ze mną, nie opuści pani Fay, póki ona tu będzie.

— No, tak! Uważałam całą tę rozmowę za bardzo głupią i powiedziałam to panu bez ogródek, jak zawsze. Nie mogłam przewidzieć i jeszcze nie wiem dokładnie, w jakie nadzwyczajne historie pan się uwikłał.

— Ale pani przyrzekła?

— Ależ tak, przyrzekłam, nie wiedząc, że pan wciągnie Fay w pułapkę, co mi się — nawiasem mówiąc — wcale nie podoba.

— Ale pani przyrzekła — nalegał uparcie.

— Nie jestem pewna, czy takie przyrzeczenie dane w nieświadomości obowiązuje...

— Nie pozwoli jej pani chodzić samej po lesie. Mnie tu nie będzie, ona nie wie, gdzie się znajduje, a pani też się nie orientuje jeszcze w tych borach. Mogłybyście zabłądzić w górach, więc nie oddalajcie się zbyt daleko, dobrze, Błękitne Oczy?

— Jest pan największym z wariatów, jakich w życiu oglądałam — odrzekła spokojnie na te przestrogi.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Czyżby? Jest pan uparty — zaślepiony i ... — Ale, na miłość Boską, Fay czeka!

Lance wszedł do wnętrza domu. Fay stała pośrodku pokoju. W twarzy i w całej postaci dziewczęcia oczy tylko zdawały się żyć. Była bardziej sztywna i nieruchoma, niż przed godziną, kiedy leżała jak martwa w jego ramionach. Była śmiertelnie blada, bielsza niż serweta na stoliku, przy którym stała, a całe ciało robiło wrażenie bezwładu. Ale te oczy! Nigdy jeszcze nie wydały się Lance'owi tak ciemne, jemu, który zawsze kochał się w tych szaro-zielonych tęczęwkach, przypominających barwę północnych wód oceanu. Ale teraz, pod wpływem oburzenia i urazy, oczy te miały blask nienaturalny i przypominały niebo w nocy, w którą dany jest mieszkańcom tych okolic cud zorzy północnej.

— Jak długo ma trwać ta farsa? — spytała.

— Farsą to nazywasz — odpari, wzruszając ramionami. — Ja traktuję tę rzecz z całą powagą. A nawet jest w tym dla mnie niemała tragedia. Przewiduję bowiem, że mnie znienawidzisz.

— Nie. Żadnej nienawiści nie odczuwam — odrzekła — uważam cię po prostu za szaleńca i za — tchórza.

— W porządku, kochanie — rzekł Lance spokojnie — możesz mi wymyślać. Ale nie wyjdiesz za mąż za pana Oskara Horfmana.

— Chciałabym wiedzieć, jak długo ma trwać ta głupia farsa?

— Skoro nic ci już nie będzie zagrażać, wrócisz do domu. Tymczasem staraj się sobie możliwie najprzyjemniej urządzić ten pobyt który, niestety, jest pobytem przymusowym. Błękitne Oczy zostanie przy tobie, macie tu pod ręką wszystko, co jest najniezbędniejsze dla wygody dwóch pań, nawet bardzo rozpieszczonych, lecz bądź co bądź przyzwyczajonych do życia na wsi. A poza tym...

— I ty sobie wyobrażasz naprawdę, że ja tu pozostanę choćby tylko godzinę jeszcze?

— Ależ, droga moja — odrzekł Lance — ty musisz tu pozostać Nie wiesz, którądy iść w stronę domu. Jesteś o dziesiątki mil oddalona od Bootham i od Glamisdale i nie masz pojęcia, jak się stąd wydostać

— Niebawem zorientuję się. Ale nie mówmy o tym. Zdajesz się nie doceniać mojej inteligencji.

— No, a ty moją doceniasz? — odparł z uśmiechem.

Nie raczyła odpowiedzieć na ten żart, ale policzki jej zaróżowiły się lekko. Lance zauważył to i serce w nim żywiej zabiło z radości. Była jeszcze strasznie zagniewana i nadąsana, ale wróciła jej pewna żywotność, już nie poddawała się rozpacz.

— Sądzę — rzekła zimno — że powziąłeś chwalebny myśl skompromitowania mnie tak dalece, aby małżeństwo moje było tym samym uniemożliwione i zostało zerwane z woli pana Horfmana.

— Wiem tylko jedno, Fay, przysięgam, że ten łotr przeklęty nie posiadzie cię i pewien jestem teraz, że temu przeszkodziłem. Tylko to mnie obchodzi.

— A ja cię nie obchodzę, tak, to jest oczywiste. Bardzo męska cecha zresztą! I ty uważasz, że jesteś we mnie zakochany, że mnie kochasz, ty to nazywasz miłością? Boże wielki!... Przypuszczasz w swej naiwności, że zapomnę o wszystkim i wszystkich i padnę w twoje objęcia i do nóg ci się rzucę, dlatego tylko, że podobało ci się odegrać rolę pierwotnego mężczyzny.

— Tak to ujęłaś, Fay? Nie przychodzi ci na myśl, że nawet najobojętniejszy człowiek, przeciętnie dobry i uczciwy, nie zniósłby podobnego małżeństwa między czystą, złą dziewczyną, a największym łajdakiem, jakiego kiedykolwiek święta ziemia nosiła.

— To moja rzecz i — moje życzenie.

— Nie, to nie jest twoim życzeniem. A przy tym jest to i moja rzecz. Ponieważ Tom nie jest mężczyzną, godnym tego miana i nie zapobiegł tej hańbie i temu nieszczęściu...

— Tom nie mógł nic uczynić... wiesz o tym dobrze. A zatem?..

— Ponieważ jedyny twój opiekun nie żyje, przeto sprawa ta stała się moją sprawą, na mnie spadł całkowity ciężar...

— W żadnym wypadku nie na ciebie.

— Ktoś musiał przeszkodzić... za wszelką cenę... nawet ryzykując narażenie się na twoją nienawiść, co jest najgorszym nieszczęściem, jakie mogłoby mnie spotkać. Ponieważ jestem jedynym człowiekiem, mogącym cię ocalić, więc nie miałem czasu do namysłu, trzeba było działać szybko i bezwzględnie, ratować cię wbrew twojej woli tak, jak się nil uje samobójcę.



— Jakim prawem, chciałabym wiedzieć?

— Prawem człowieka, który nigdy nie przestał cię kochać. Roześmiała się ironicznym śmiechem. Udało jej się dotknąć go do żywego.

— Kochałeś mnie całe życie, nigdy nie przestałeś, czy tak? Ty? Przezabawne!

— Wiem, co masz na myśli. Jestem wyrzutkiem społeczeństwa, zbiegiem z więzienia, wiem...

— Nie o to chodzi...

— Chodzi o to, że jestem szaleńcem, głupcem, na którego słusznie spoglądasz ironicznym, wiem to wszystko... Byłem szaleńcem jako Amos Beyvin i niewiele więcej wart jest mój mózg obecny, mózg Lancea Madoca...

— Niewiele więcej... w przeciwnym razie nie byłabym tu w tej chwili.

— Twoja obecność tutaj jest najmądrzejszą rzeczą, jakiej dokonałem w ciągu całego mojego istnienia: przysiągłem, że nie poślubisz Horfmana i dotrzymałem słowa.

— Tak, jakby to głupie gadanie mogło mnie odwieść od mego postanowienia...

— To może nie... ale nie wydobędziesz się stąd, Fay, póki nie unieszkodliwię tego opryszka. Możesz nawet zabłądzić w lesie, możesz wciągnąć te biedne Błękitne Oczy w najnieprawdopodobniejsze przygody, na nic się to nie zda. Ale przygody skracają czas, a gdy dzieci zabłądzą w lesie, nie mogą trafić przez kilka dni do domu. Dostyc. Nie wyjdiesz za mąż za Horfmana, Fay, nie wyjdiesz. Musisz się z tym pogodzić. Ta potworna ofiara nie zostanie spełniona. Nie będziesz żoną Oskara Horfmana!

Mówił z naciskiem. Fay pozwoliła mu się wygadać, nie próbując przerywać. Była zresztą zbyt przygnębiona, by się bronić. Mówił zimno i stanowczo, nie unosił się, nie podniósł głosu ani razu. Ale jego nieugiętość tamowała jej oddech: on, Amos Beyvin, czy też Lance Madoc, śmiał mówić do niej w ten sposób, do niej, która zawsze decydowała o sobie. Niestychane!... Gdy skończył i stał przed nią z pytającym spojrzeniem, czekając najwidoczniej na jakieś słowo z jej ust, przemówiła, wypowiedziała to, co jej najbardziej ciążyło, co wciąż

miała zamiar powiedzieć, od początku tej wymiany zdań dwojga ludzi: samobójczyni i jej nieproszonego wybawcy.  
— A Tom?

Podeszła ku niemu o krok bliżej, chcąc widzieć każdą zmarszczkę, każde załamanie fałd w jego twarzy, gdy jej odpowie na to palące pytanie.

— Co będzie z Tomem? — powtórzyła, — Przypuszczam, że w tych wszystkich pięknych planach ocalenia mnie, zapomniałeś zupełnie o Tomie. Ale wiedz, że...

— Wiem z góry wszystko, co powiesz — odrzekł — i nie spodziewam się nawet, że mi uwierzysz, gdy cię zapewnię, że Tomowi również włos z głowy nie spadnie. Toma uratuję także, przysięgam, przysięgam na wszystko... Wiesz, co myślałem dotychczas o tej sprawie, ale teraz zmieniłem zdanie. Tom nie poniesie zasłużonej kary, ponieważ jest twoim bratem, ponieważ tu chodzi o twój spokój, o twoje szczęście. Wiem, że mi nie dowierzasz, że przechodzić będziesz tu istne piekło trwogi i niepokoju o Toma. Ale przysięgam ci, że z chwilą, kiedy opuścisz ten cudny zakątek i wrócisz w dolinę, gdzie żyją ludzie, gdzie wznoszą się miasta, gdzie jeździ pociąg po szynach kolejowych, gdzie każda prawie rzecz jest brzydka — z tą chwilą odnajdziesz Toma zdrowego i całego, na wolnej stopie.

— Nie wierzę — odparła. — Jakże mogę wierzyć w słowa człowieka, który naopowiadał mi tyle kłamstw, by mnie tu zwabić? Sam nazywasz siebie szaleńcem, ale nie zgadzasz się na nazwę tchórza, dlaczego? Ten podstęp wobec mnie jest dziełem podłego tchórza, obstaję przy tym. Gotowa jestem uczynić to jedno, czym mogę uratować Toma, mego braciszka, którego... Co mnie obchodzi mój własny los? Czym jest nieszczęśliwe małżeństwo w porównaniu z tym, co może się zdarzyć... tam..., gdy ja tu siedzę uwięziona? Bezradna jestem, bezsilna... Ty mówisz o... Groziło jej znów zasłabnięcie. Głos jej drżał i cichł. Wyrazy więzły w krtani, ciałem jej wstrząsał szloch rozpaczony. Tak pragnęła okazać się silną wobec niego! Zdobyła się na wysiłek: podeszła do lustra wiszącego na ścianie i poprawiła włosy.

Lance z rozrzewnieniem patrzył na jej śliczną twarzyczkę, zarumienioną teraz pod wpływem oburzenia i zażenowania zarazem. Ale nie dał

po sobie poznać tego odruchu serca, by go nie wyśmiała, a on musiał obecnie panować nad nią, zachować przewagę, zdobytą z takim trudem, bo ta jego przewaga nad nią była jedyną rękojmią jej szczęścia i spokoju.

— Jeżeli nie masz mi już nic do powiedzenia — rzekł chłodno — to pozwolisz, że pójdę stąd. Błękitne Oczy jest przed domem.

Nic nie odpowiedziała. Trzymał rękę na klamce, wahał się, czy odejść bez pożegnania? W końcu rzekł:

— Przyznasz chyba, że nie usiłowałem się usprawiedliwić z mego postępków ani jednym słowem. Wiem, że popełniłem czyn karygodny z punktu widzenia praw zwyczajowych naszej cywilizacji, ale nie uważam się za tchórze, jakkolwiek ty nie zmienisz zdania o mnie, wiem o tym i nie będę nawet próbował cię przekonać. Ale wyrzekłaś przed chwilą coś, co ci jednak rad bym sprostować...

— Wszystko, co mówiłam, mówiłam z pełną świadomością — przerwała lodowato.

— Tym bardziej chcę sprostować twe mniemanie. Mówisz, że nie dbam o twoje losy, że wmawiam w siebie uczucie miłości, a nie kocham cię, może myślisz nawet, że nie umiem kochać... W tej chwili wymawiam prawdopodobnie ostatnie wyrazy, jakie kiedykolwiek ode mnie usłyszysz i dlatego daruj, że będę bezwzględnie szczery. Mówiąc, że cię nie kocham, skłamałaś. Może sama o tym nie wiesz, ale okrutnie skłamałaś. Kocham cię każdą myślą i sercem. O tobie marzę we dnie, o tobie śnię w nocy. Każda godzina mego życia jest bólem tęsknoty za twą postacią, za dotknięciem twojej ręki, twoich ust. Oszalałbym chyba, gdybym nagle, dzięki niespodziewanemu obrotowi rzeczy, mógł dotknąć twoich ust. Wiem dobrze, że straciłem cię na skutek własnego szaleństwa, własnych grzechów młodości, ale chyba rozumiałaś, przez jakie piekło pokuty przeszedłem, przekonawszy się o tym. I dlatego, że to rozumiałaś, że patrzyłaś na moją mękę, dlatego nie wolno ci było rzucić mi w twarz tych wszystkich słów.

— Przykro mi — szepnęła mimo woli — że...

— Nie, nie jest ci przykro, że mnie dotknęłaś do żywego — odrzekł — kobiety nigdy nie żałują, gdy obrażą mężczyznę, a zwłaszcza, gdy go upokorzą, podobnie jak mężczyzna nie odczuwa najmniejszej skruchy, skoro uda mu się ukraść pocałunek. Ale na tym nie koniec: powiedziałaś jeszcze jedno kłamstwo, twierdząc, że sądziłem, iż pad-

niesz mi w objęcia, ujarzmiona odegraną przeze mnie rolą pierwotnego samca! To też obelga.

— Amosie!

— Nie cofam tych słów. Wiem, że nie padniesz w moje objęcia nigdy i w żadnym wypadku, tak, jak księżyc nie spadnie na ziemię i nie znajdzie się pod moimi stopami. Zdajesz sobie chyba sprawę, jak łatwym zadaniem byłoby dla mnie wyzyskać twój pobyt tutaj na moją korzyść zakochanego, pożądanego mężczyzny? Nikt nie wie, gdzie jesteś; gdybym chciał... Czyż byłbym sprowadzał tutaj Błękitne Oczy, gdybym był łotrem, za którego mnie miałaś?

— Nie chciałam przez to powiedzieć, że...

— Mniejsza o to! Pozbyłaś się mnie na zawsze. Nie żegnam się nawet. Pozostaniesz tu jakiś czas, ale rychło odzyskasz wolność, tylko nie po to, aby wyjść za mąż za Horfmana. Przyślę po ciebie Toma. Bywaj zdrowa.

Lance Madoc wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą. Błękitne Oczy siedziała przed drzwiami; łokciami wsparła się o kolana, dłońmi podpierała twarz i patrzyła w dal. Czekwała cierpliwie.

— No i cóż? — spytała — doszłście do porozumienia? Ja ze swej strony nie dziwię się, że ona gniewa się na pana. Panu zaś nie dziwię się również i nie potępiam pana za chęć przeszkodzenia jej w tym małżeństwie z Horfmanem. Ale sądzę, że pan źle się wziął do dzieła.

— Czyżby? — odrzekł z uśmiechem. — A coż należało uczynić? Przyjrzała mu się uważnie. Starła się czytać w jego myślach.

— Widzi pani — ciągnął dalej Lance ze smutnym uśmiechem. — Widzi pani, ona by mnie nie usłuchała. Nie chciała mnie słuchać. Musiałem użyć siły. Ona mnie nienawidzi, pogardza mną, nie wiem, co gorsze...

Błękitne Oczy potrząsnęła głową z powagą.

— Jesteś pan szaleńcem, drogi przyjacielu — rzekła.

— Wszyscy mi to mówią — odrzekł naiwnie.

Błękitnooka była widocznie zdania, że po tym stwierdzeniu faktu zasadniczego, nic już nie pozostało do omówienia. Zamilkła, po chwili wstała i czekała, aż Lance dosiądzie konia.

— Niech pani powie, że pani nie może iść pieszo, że pani źle się czuje, czy coś w tym rodzaju... — rzekł Lance, siedząc już w siodle,

gotów do drogi — słysząc to, ona nie zostawi pani samej, za dobra jest na to, a ona musi tu siedzieć zamknięta, Błękitne Oczy, musi, dopóki...

— Dopóki?...

— Ze dwa dni najwyżej — dokończył Lance — posiedzicie panie w ukryciu. Uczyni to pani dla mnie, prawda?

— Hm, podobno przyrzekłam nieopatrzenie...

— Jest pani najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek Bóg zesłał człowiekowi na ziemię.

— Najuleplejszym, chciał pan powiedzieć.

— Może! Może miałem na myśli najuleplejszym, ale nie w tym znaczeniu, jak pani to rozumie. Ale zaciągam ponownie wobec pani dług wdzięczności.

— Nie o to chodzi — odrzekła ze zwykłym spokojem — ale przez te dwa dni dostanę na pewno palpitacji serca, póki pana nie zobaczę z powrotem.

— Zobaczmy się na pewno! — odrzekł.

Emma zaczęła powoli schodzić w dół. Mr Micawber zaszczekał radośnie, co było hasłem odjazdu i pomknął za klaczą, kręcąc ogonkiem i patrząc pod górę na swego pana. Był nieco urażony, że Lance nie zaprosił go ani jednym spojrzeniem do wskoczenia za nim na siodło. Wobec tego po krótkotrwałym klusiku obok Emmy, zawrócił nagle: zdjęła go ciekawość, co też te dwie kobiety tam robią na górze. Jego pan był dziś tak mało rozmowny, że nie warto było ciągle mu towarzyszyć. A skoro Emma idzie stępą, to on swym galopem jamnika z łatwością ją dogoni.

Lance nie zauważył, że piesek wrócił do domu. Mr Micawber stwierdził, że jedna z kobiet wciąż stała nieruchomo przed domem, czekając widocznie, aż ogon Emmy zniknie za zakrętem. Na widok Mr Micawbera, zawołała na niego i usiadła, by mógł wskoczyć na jej kolana. Uległ pokusie, ale ona nieopatrzenie objęła go ramionami, a przecież tego nie może znieść szanujący się pies. Mr Micawber zaczął się szamotać i wrywać. Ale nic mu nie pomogło: trzymano go mocno i nagle poczuł na uszach i na nosie czułe pocałunki. Bardzo to lubił, poddał się z zamkniętymi oczami jej pieścizotom, a gdy skończyła i postawiła go na ziemi, poszedł za nią w głąb domu, gdzie dała mu biskopt, maczany w mleku, potrawę, za którą Mr Micawber przepadał.

Po tych smakołykach Mr Micawber powędrował do koszyka w rogu pokoju, zwinął się w kłębek i usnął. Gdy się obudził, pomyślał natychmiast o Emmie i o panu. Dużo godzin upłynęło od chwili, gdy ich porzucił. Czas najwyższy iść na poszukiwania. Mniejsza o kobiety! Nie siedziały spokojnie ani chwili. Wciąż wstawały, chodziły po pokojach, wychodziły przed dom, wracały znowu, denerwowało to rozsądnego Mr Micawbera, który nie rozumiał tego kręcenia się w kółko, całkiem bezcelowego. Pewną troskę napełniała Mr Micawbera myśl o obiedzie; czy i gdzie jeść go będzie? Trudno, coś zaryzykować trzeba! I ruszył w dół, traktem leśnym.

\* \* \*

Była godzina piąta po, południu. Lance Madoc zajechał przed willę Sans Souci. Zastał pana Horfmana w palarni, popijającego martini w towarzystwie Toma, który wyglądał ospale i ponuro.

— Nie przeszkadzam, panie Horfman? — spytał uprzejmie Lance, skoro służbisty lokaj wprowadził go bez szmeru do palarni i dyskretnie zamknął drzwi za sobą.

— Przyjeżdżam nie w porę, zdaję sobie z tego sprawę, proszę mi to darować.

— Jest pan bardzo mile widziany, Mr Madoc — rzekł pan Horfman również uprzejmie.

— Niech pan usiądzie, proszę. Czego się pan napije?

— Dziękuję. Pan wie, że nie bardzo lubię koktaile. Następnie Lance zwrócił się do Toma:

— Dzień dobry, Tomie! — Nie czekając na odpowiedź, usiadł.

— Słyszał pan ostatnie nowinki? — spytał chłodno Horfman.

— Dotyczące Miss Mazeline? Owszem, słyszałem, ale nie orientuję się, ile w tym jest prawdy, ani co właściwie zaszło.

— Dobrze, że nie urządziłem oficjalnego ślubu, ani przyjęcia weselnego, byłbym teraz wystrychnięty na dudka — rzekł nadąsany Horfman. Wstał, nalał sobie martini z butelki, stojącej na stoliku i znowu opadł na fotel.

— A więc to prawda? — spytał Lance.

— Prawda, że Miss Mazeline dała mi kosza na dzień dzisiejszy. Tom pojechał do Bootham po pannę młodą, a ja czekałem w urzędzie cywilnym. W Bootham okazało się, że Fay wyszła, nie wiadomo kiedy, ani dokąd. Podobno pokojówka Julia weszła jak zwykle do jej pokoju o siódmej rano, lecz pokój był pusty. W łóżku pościel i prześcieradła były pomięte, Fay spała jeszcze w domu ubiegłej nocy, ale ubrała się sama i widocznie wymknęła się skoro świt, nie uprzedzając nikogo. O pierwszej godzinie, gdy Tom przyjechał po nią, jeszcze nie wróciła.

— Czy nie obawia się pan jakiegoś wypadku?...

— Skądże! Nie zabrała ani konia, ani samochodu. Poszła pieszo widocznie, a następnie pojechała koleją...

— Czy mogę coś uczynić, pomóc panu?...

— Dziękuję serdecznie, panie Madoc. Nie widzę, co by pan mógł zrobić, przy tym, wie pan, ja nie przejąłem się tym zbyt.

Horfman powiedział te słowa tonem zupełnie obojętnym.

— Jak już rzekłem, szczęśliwie się stało, że nie poinformowałem nikogo o dacie ślubu i nie zaprosiłem przyjaciół, nawet najbliższych, prócz świadków. Tylko tych dwóch ludzi, wie pan kto, ci dwaj młodzi Amerykanie, dowiedzieli się przypadkowo, ale to nie odgrywa roli... Urzędnicy stanu cywilnego nie paplą, obowiązani są do dyskrecji, a w całym sąsiedztwie nikt się nie domyśla, że dzisiaj miał się odbyć nasz ślub. Tak więc nie udało się pannie Mazeline wystrychnąć mnie na dudka wobec ludzi.

— A pan nie domyśla się, dokąd ona mogła pojechać?

— O! Pewien jestem, że pojechała do matki koleją albo też wynajęła samochód w Glamisdale z samego rana. Dobrze wychowane panienki zawsze tulą się do łona matki, gdy mają zawrzeć związek małżeński nie po ich myśli. Fakt, że Miss Mazeline pojechała. Kaprys dziewczęcy. Nie ma co wiele słów tracić na ten temat. Wróci niebawem i wszystko się załatwi... — zakończył Horfman z uśmiechem, pełnym ufności w siebie. Nie trudno było zgadnąć, że „wszystko się załatwi”, znaczy: „ślub odbędzie się wówczas”.

Obojętność Horfmana, istotna, czy udawana, zarówno jak jego ostatnia uwaga, zarozumiała i arogancka, wyrwały z odrętwienia Toma Mazeline'a. Kołysał się w fotelu na biegunach, ręce miał w kieszeniach,

wyjmował je tylko, by sięgnąć po kieliszek, lub dolać sobie whisky i wody sodowej, ale teraz nagłym wysiłkiem, uniósł się i usiadł prosto.

— Słuchaj, Oskarze — rzekł patrząc spode łba na Horfmana. — Nie mogę powiedzieć, że bym był twego zdania. Sensu nie miało, żeś mi nie dał samochodu i nie pozwolił jechać zaraz dzisiaj do Lake Louise...

— Nie zależało ci tak bardzo na tej jeździe, mój drogi — odrzekł ironicznie Horfman — w przeciwnym razie nie byłbyś odbył ze mną całej drogi powrotnej aż do Sans Souci.

— Musiałem się przecież naradzić z tobą, porozumieć, a przy tym chciałem ochłonąć z wrażenia...

— No, dobrze! Ja zdecydowałem, że najlepiej będzie zatelefonować do Lake Louise do hotelu pani Mazeline — tak też zrobiłem.

— Jaki rezultat? — rzucił Lance.

— Panienska nie przyjechała jeszcze o tej porze, kiedy dzwoniłem. Ale wytłumaczyłem Tomowi, że trudno było się spodziewać innej odpowiedzi: za wcześnie było. Zatelefonujemy później.

— Nie zamierza pan dać znać policji w razie gdyby nie znalazła się dziś jeszcze Miss Mazeline? — zapytał Lance.

— Ani myślę, mój drogi — rzekł Horfman — nie myślę mieszać w tę sprawę policji. Rozważaliśmy tę możliwość, Tom i ja, ale sądzymy obaj, że lepiej poczekać dzień, dwa. Nieprawdaż, Tomie, stary druhu?

Patrzył uporczywie na Toma, który unikał jego spojrzenia i wyglądał, jak pies, pochwycony przez swego pana na gorącym uczynku. Horfman zaśmiał się nagle i wzruszył ramionami. Po czym napełnił ponownie swój kieliszek. Skoro tylko odwrócił się plecami, Tom drgnął i twarz jego przybrała wyraz nieopisanej nienawiści. Rozchylił wargi, jakby chciał przemówić, ale Lance położył mu rękę na ramieniu. Obawiał się słów, jakie paść mogły z ust tego chłopca, doprowadzonego do ostateczności, sądząc po błysku jego skądinąd apatycznych oczu.

— Sądzę, że zgodzicie się obaj ze mną, iż lepiej trzymać język za zębami co do całej sprawy — rzekł teraz Horfman, wychyliwszy jednym haustem zawartość kieliszka. Tom podzielała moje zdanie na pewno, wiem o tym. A pan, Mr Madoc?

Lance nic nie odpowiedział. Horfman wziął widocznie milczenie za akt zgody. Usiadł znowu. W postawie jego nic nie zdradzało niepokoju,



ani wzburzenia. Nawet ruchy rąk były opanowane; z ust jego nie schodził pogodny uśmiech.

Po paru minutach Lance wstał i rzekł jak zwykle:

— No, muszę już iść, panie Horfman.

— Cóż panu tak pilno? — zaprotestował Horfman. — Niechże pan zostanie na obiedzie, a potem odeślemy pana do domu samochodem.

— Dziękuję — rzekł Lance. — Przyjechałem konno; mój koń czeka w pańskiej stajni. Czy na pewno w niczym nie mogę być panu pomocny?

— Nie, drogi panie, w niczym — odrzekł Horfman. Zamyślił się i spojrzał w oczy najpierw Tomowi, a potem z kolei Madocowi. Obaj mieli niepokój w oczach, jakby czekali na wyrok, jaki zapadnie. Wyraz bezmiernej radości rozlał się na obliczu Horfmana. Oparł się o poręcz fotela, odrzucił cygaro i rozkoszował się w pełni swoją władzą nad tymi dwoma głupcami, którzy w przyszłości będą jego powolnym narzędziem: nad Tomem Mazelinem miał tę władzę już od dawna, ale ten zbiegły więzień-przestępca był nową zdobyczą i mógł stać się nader pożyteczny, ponieważ miał o wiele więcej sprytu niż ten idiota Tom. Horfman trzymał go mocno w rękę; z niewielu rzeczy w życiu cieszył się tak jak z tego triumfu. Doznawał uczucia myśliwego, któremu udało się złapać w sidła niebezpieczne zwierzę; teraz poskromi je w krótkim czasie. Należy wyzyskać sytuację, nie zwlekając, bo rzeczywiście ten Madoc może okazać się nieoceniony w sprawie ucieczki Fay. To pomyślawszy, Horfman rzekł ze słodkim uśmiechem:

— Na razie nic nie możecie poradzić, ani pan, ani Tom. Ale wzruszony jestem tą waszą przyjaźnią. Możecie tylko oddać mi tę jedną przysługę: milczeć! Nie mówić nikomu, co zaszło między mną a Miss Mazeline. Jeżeli ona posunęłaby się zbyt daleko na drodze niesmacznego żartu w stosunku do mnie, to odpokutować musiałby Tom, a nawet wy oboje. Miejmy nadzieję że do tego nie dojdzie, a nie chcę, by wiadano, że między moją żoną a mną nie było przed ślubem idylli, jaka zazwyczaj jest przywilejem okresu narzeczeństwa.

Ta elegancka przemowa, pełna wyszukanych zwrotów, przerwana została przeciągłym dzwonkiem telefonicznym. Aparat stał na biurku po drugiej stronie pokoju. Horfman dźwignął się niechętnie

ze swego fotela, przeszedł ciężkim krokiem przez całą palarnię i zdjął słuchawkę:

— Hallo! Hallo! Tak! Tak! Kto mówi? Tu mówi Oskar Horfman... Tak!

Apatyczny Tom nie zwracał uwagi na przebieg rozmowy. Lance również zdawał się zachowywać całkowitą obojętność, ale w istocie nie spuszczał oka z Horfmana i obserwował każdy skurcz mięśni w jego twarzy. Horfman zmarszczył się nagle, źrenice rozszerzyły mu się nadmiernie, palce zacisnęły się kurczowo dokoła słuchawki; policzki jego pokryła śmiertelna bladość, usta mu drżały, stopniowo na twarzy występowało okropne przerażenie, zgroza, zmieniająca do niepoznaki rysy, które przed chwilą jeszcze tak były spokojne i pogodne.

Po chwili, z ohydnyim przekleństwem Horfman odwiesił słuchawkę i rzucił zdyszanyim głosem rozkaz Tomowi:

— Zadzwoń na służącego!

Polecenie wykonał Lance, bo Tom nie ruszał się chętnie; mruknął tylko opryskliwie:

— Co znów się stało?

— Co się stało? — powtórzył pan Horfman przedrzeźniając Toma płaczkliwy sposób mówienia — głupstwo! Policja będzie tu za godzinę, ot i wszystko...

— Co ty opowiadasz, do diabła?!

— To, co słyszysz... Twoja cudowna siostrzyczka widocznie nas... Zapukano do drzwi. Horfman wrzasnął dzikim głosem:

— Wchodzić, do diabła! Po co dzwonię? Wszedł służbisty lokaj.

— Czy ktoś gra, Tomaszu?

— Owszem, 10 — 12 osób.

— Niech przestaną natychmiast — rozkazał Horfman twardym, bezapelacyjnym tonem. — Niech się wynoszą, rozumiesz. Poślij po samochody. W ciągu pięciu minut dom musi wyglądać, jak najzwyklejsza willa prywatna. Policja jest w drodze.

— Horfman, skąd wiesz?... — To z ust Toma wyrwał się ten krzyk rozpaczliwy; chłopiec zerwał się na równe nogi. Służbisty lokaj znikł bez szmeru, tak jak przyszedł i jakby otrzymał najbanalniejszy, najbardziej codzienny rozkaz. Horfman zwrócił się do Lance'a:

— Pomóż mi, dobrze?

Usiłował mianowicie wyciągnąć z kąta ciężką skrzynię z żelaznymi okuciami. Lance pomógł mu ruszyć ją z miejsca. Horfman wyjął z kieszeni pęk kluczy. Za skrzynią mieścił się w ścianie żelazny sejf, który teraz był widoczny. W minutę po odsunięciu skrzyni, Horfman zajęty był gorączkowym wyjmowaniem z sejfu papierów. Przeglądał każdą kartkę, po czym wrzucił jedne z powrotem do skrytki, a inne wsunął pośpiesznie do kieszeni.

— Skąd wiesz? — powtórzył Tom pytanie. — Kto ci powiedział?

— Mam dwóch przyjaciół w Glamisdale — odrzekł pan Horfman. — Jeden z nich musiał zwaćać pismo nosem.

— Kto taki? I co powiedział dosłownie?

— Nie dosłyszałem nazwiska, ale to musi być Tarnstoff albo Brownshaw. Oni wiecznie się wałęsają po całym mieście i słyszą dużo nowinek. Policja dowiedziała się podobno o wszystkim dzisiaj po południu... Niech diabli wezmą tego przekłętę zdrację, kim by on nie był...

Mówiąc to i klnąc, nie ustawał w pracy. Sortował papiery zawzięcie, odczytując niektóre z największym skupieniem, ze ściągniętymi brwiami. Chwilami nasłuchiwał: dochodziły jego uszu szmery, trzaskanie drzwiami, przyspieszone kroki, podniesione głosy, cichnące nagle, szepty na korytarzu, a w tym wszystkim można było rozróżnić ogólną nutę szalonego pośpiechu i zamętu.

Nagle Horfman zwrócił się do Toma ruchem dzikiego zwierzęcia, które skacze z zasadzki:

— Dla ciebie kiepska historia — krzyknął dziko — gorsza niż dla mnie. To mnie pociesza.

Tom zerwał się i rzucił się na Horfmana. Porwał go za ramiona i trząśł nim — Horfman! Nie wydasz mnie...

Horfman zrzucił te drżące ręce ze swych ramion.

— Dlaczego nie? — spytał zimno. — Czyż nie ostrzegałem cię, że jeśli ktokolwiek stanie mi na drodze, ty zapłacisz głową za zabójstwo twego ojczyma? Ktoś stanął na mej drodze, to jest jasne, mógłbym pomyśleć, że to twoja własna siostra, pozory są przeciw niej, ale nie posądzam jej o taką głupotę... Bądź co bądź...

— Horfman — rzekł Tom spokojniej — jeżeli to uczynisz...

Zacisnął pięści, oczy jego rzuciły złowieszcze ognie. Horfman jak zwykle zaśmiał się i wzruszył ramionami. — Niewiele by ci przyszło z zamordowania mnie z kolei, drogi przyjacielu — rzekł. — Teraz już za późno, orientujesz się...

— Mówię ci, Horfman... Lance przerwał mu:

— Nie kłóćcie się, nie pora na to. Traciecie cenny czas. O ile ta wiadomość telefoniczna jest ścisła, musimy się starać zapobiec konsekwencjom jak najrychlej.

— Co pan rozumie przez zapobieżenie konsekwencjom?

— Uważam, że pańska obecność tutaj jest niewskazana. Przecież oskarżonym będzie pan, jako właściciel domu gry. Gdy zaś pana nie zastaną, służba wykręci się z tej opresji bardzo łatwo, no, a klienci są nieuchwytni. Zatem cała afera zostanie zatuszowana.

Na twarzy Oskara Horfmana zgasł jego zwykły, radośnie okrutny, bestialski błysk.

— Więcej panu powiem — ciągnął dalej Lance, obserwując uważnie wrażenia tamtego:

— Pan, właściciel willi, wyjechał. Nie jest pan odpowiedzialny za to, co służba robi w czasie pańskiej nieobecności.

— Rozumiem, ale...

— Ale co? Bardzo proste: nie zdąży pan zrobić z sali gry istnej nursery do przybycia policji, tak, że ślady zostaną w każdym razie...

— To prawda. A zatem...

— Zatem mogą być różne możliwości, ale najlepsza jest to jedna: ucieczka. Niech się tłumaczy Tomasz i inni lokaje. Pan przyjedzie za parę dni, niewinny jak baranek.

— Dobra myśl. Byłem w podróży poślubnej. Dzisiejsza nieobecność narzeczonej jest faktem nieznanym... Ale...

— Co za ale?

— Dokąd mam pojechać, do licha ciężkiego?

— Znam kryjówkę... samotny domek, niedaleko stąd, mogę tam was zawieźć, pana i Toma i będę wam dostarczał żywności, dopóki...

— Gdzie to jest?...

— W górach, przy trakcie, niedaleko, ale w odludnym miejscu. Nikt chyba nie wie o tym ustroniu prócz mnie. Nigdy nie spotkałem tam żywej duszy.

— Przy trakcie, w górach? To znaczy, że musimy zostawić samochód na szosie, a to nas zdradzi i naprowadzi na ślad...

— Wcale się tak nie znaczy. To znaczy, że dojedziemy konno na samo miejsce przeznaczenia. Ma pan parę koni w stajni?

— Naturalnie.

— Ja mam ze sobą moją klacz, jak mówiłem. Możemy razem wyjechać, skoro tylko wasze konie będą osiodłane. Znam dobrze drogę, pojedziemy na przełaj, nikt się nie domyśli...

Horfman nie był jeszcze zdecydowany, ale słuchał z natężoną uwagą. Wstrętą mu była myśl o zetknięciu się z policją. Instynkt uniknięcia najgorszych chwil doradzał mu zgodzić się na propozycję Madoca.

— Nie ma czasu do stracenia — rzekł Lance, gdy Horfman otwierał usta, aby znów przemówić. Tom milczał. Stał pośrodku pokoju, nieruchomy, zmartwiał z przerażenia, które obezwładniło mu nogi i mózg. Oczy jego błądziły od jednego do drugiego z obecnych, a chwilami zatrzymywały się z wyrazem nieopisanej grozy na drzwiach, przez które dolatywały gniewne głosy i spieszne kroki.

— Musiałbym... — zaczął pan Horfman.

— Może pan skorzystać z mojej rady, lub nie — rzekł Lance i skierował się ku drzwiom — aleja idę stąd w każdym razie, a jeżeli Tom jest rozsądny, pójdzie za mną.

— Bez mej wiedzy nie wyjdziecie...

— Jakże pan chce zatrzymać mnie tutaj, mając policję tuż przed swymi drzwiami?

Odczekał chwilę, mierzyli się oczami. Czy Horfmanowi zaświtała myśl, że może Madoc nie jest takim głupcem, na jakiego wygląda? Horfman zawsze wysławiał swój zmysł psychologiczny, swoją znajomość duszy ludzkiej. Jedyną omyłką, jaką popełnił w życiu, było mniemanie, że Amos Beyvin, vel Lance Madoc, żywi wobec policji ten sam strach, co on sam, Oskar Horfman i że dzięki tej trwodze Oskar Horfman trzyma w szachu zbiegłego więźnia.

— Ja jestem za ucieczką — wybuchnął Tom. Wiedział, że Lance zna istotnie samotne kryjówki w górach. A Tomem miotał strach, dziki,

nieopisany strach, nie było w nim miejsca na inne myśli, na inne uczucie, cały w lęk się obrócił, okropny, niewyrozumowany lęk, w którym żył od szeregu tygodni, tak, że to przeszło w stan chroniczny. — Idź do stajen, Madoc — szepnął — tam się spotkamy.

— Masz słuszość — rzekł Lance. — Aleja sądzę, że i Mr Horfman się zdecyduje.

Horfman oparł palec na dzwonku. Tom otworzył drzwi. Usłyszeli zgiełk, słyhać było zmieszane głosy ludzkie.

— Kiedy nareszcie zajedzie ten przeklęty samochód?

— Czyż nie ma, do diabła, innej drogi, by się stąd wydostać, tylko ta jedna?

— No, śliczna historia, byłabym zostawiła kapelusz z tego wszystkiego...

Tom wymknął się i biegł korytarzem, spotykając „gości” Sans Souci, biegnących bezładnie w stronę przeciwną. Tom znał dobrze rozkład domu i drogi, prowadzące we wszystkich kierunkach. W końcu natknął się na Tomasza, który go zatrzymał ruchem pełnym szacunku.

— Czy pan Horfman dzwonił, Mr Mazeline? — zapytał.

Ale Tom nie miał zamiaru odpowiadać mu teraz na pytania. Odepchnął go i pobiegł dalej.

W sekundę później Tomasz pukał do drzwi palarni.

— Czy pan dzwonił, Sir?

— Tak, dzwoniłem — odrzekł Horfman. — Zamknij drzwi. Przez chwilę patrzyli na siebie, pan i służący, patrzyli badawczo,

starając się odgadnąć, co każdy z nich kryje poza przywartą maską. Bóg tylko, a może szatan mógł wiedzieć, ile niecnoty lub wręcz zbrodniczości zawierają te dwie istoty ludzkie. Dlaczego jeden był zawsze tak służalczy i tak dyskretny, a drugi tak pewien swej władzy.

— Uciekam, Tomaszu — rzekł Horfman. — Odjeżdżam raczej na kilka dni. Ale nazywać się ma, że wyjechałem dzisiaj już od wczesnego ranka i nie widziałeś mnie od tej chwili, rozumiesz?

— Tak, Sir.

— Zdaje ci się, że wyjechałem dziś rano na swój ślub i że pojechałem na lotnisko gdzieś w góry, na miodowy miesiąc.

— Rozumiem, Sir.

— Podczas mojej nieobecności, ty i twoi koledzy postanowiliście zaprosić paru przyjaciół na whisky i na partyjkę. Już nie po raz pierwszy to czynicie i dotychczas udawało wam się zawsze ukryć te wybryki przede mną.

— Tak powiem, Sir.

— Jeżeli mnie dobrze rozumiałeś, Tomaszu, — rzekł teraz Horfman — otrzymasz po moim powrocie 2000 dolarów dla ciebie i po 500 dla każdego z twych kolegów. Zrozumiałeś mnie?

— Doskonale, Sir.

— Karę pieniężną, jaką wam naznaczą, poniosę ja, rzecz jasna. Powiedz Katnerowi, aby osiodłał konie, dwa — jeden dla mnie, a jeden dla Mr Mazeline. Idziemy na górę przebrać się. Zaczekaj! Dojrzyj, czy koń pana Madoca jest gotów do drogi i nie podprowadzaj koni przed główny zajazd, wsiądziemy w stajniach.

— Tak jest, Sir.

— Czekaj! Niech Katner zapakuje mi najniezbędniejsze przybory toaletowe do najmniejszej walizy, jaka jest w domu. Powiedz jemu i Roundleyowi, że jeśli wszystko będzie w porządku, otrzymają ode mnie po 1000 dolarów.

— Dziękuję, Sir.

— Możesz odejść.

Równie dyskretnie jak przyszedł, wycofał się Tomasz, zamykając ostrożnie drzwi.

— To się nazywa dobrze wytresowana służba, panie Madoc — rzekł z zadowoleniem Oskar Horfman.

— Im grozi więcej niż kara pieniężna — zauważył Lance.

— Nie pierwszozna im będzie „posiedzieć” trochę — rzekł Horfman ze śmiechem. — Tomasz na pewno uzna, że mu się to opłaca.

Wyjął ze srebrnego pudełka cygaro hawańskie i sięgnął po zapalki.

— Można pana poczęstować cygarem? — spytał.

— Nie, dziękuję.

— No, to jeżeli pan jest gotów do drogi... Ja tylko pobiegnę przebrać się. Tego idiotę, Toma, spotka pan w stajni, niech go pan przyśle na górę do mego pokoju, dobrze? On zna drogę, trafi.

— Dobrze.

- Dobrą myśl pan powziął, Madoc. Ciekaw jestem, skąd ci to do głowy przyszło.
- Sam pan to powiedział, panie Horfman: lepiej dla nas wszystkich, aby policja nie mieszała się do naszych spraw.
- Słusznie. Byczy chłop z pana, wie pan? Może mi pan z czasem być nader użyteczny, gdy ta burza minie.
- Bardzo pan łaskaw dla mnie, panie Horfman.
- Pana zasługa, nie moja. Zobaczymy się za 10 minut.

Wyszedł z pokoju, pogwizdując jakąś najnowszą melodię taneczną. Lance poszedł wolnym krokiem za nim. Kiedy minęli drzwi hallu, Horfman obejrzał się, skinął mu głową przyjaźnie i wbiegł na schody, a Lance wyszedł bocznymi drzwiami do stajen. Tomasz i inni służący uspakajali rozbieganych, wystraszonych gości Sans Souci. Przed głównym zajazdem czekały już dwa lub trzy samochody. Tomasz, sztywny służbista jak zawsze pomagał wszystkim sadować się na poduszkach, zatrząskiwał drzwiczki i kłaniał się głęboko. W popłochu większość klientów zapomniała o zwykłych napiwkach. Ale Tomasz patrzył dziś z góry na tak drobne zyski. Dwa tysiące dolarów! Nie wymkną mu się one. Wiedział, że pan Horfman nie może prowadzić tego interesu bez niego, a grzywna, czy nawet kara więzienia osobistego nic nie zaszkodzi Tomaszowi, tym się tacy jak on nie przejmują. Dwa tysiące dolarów powiększą niebawem jego depozyt w banku, gdzie składał grosze na czarną godzinę.

Tak! Pan Horfman będzie z niego zadowolony, ale i on, Tomasz, otrzyma należyte wynagrodzenie za swe usługi. Z tą świadomością w duszy czekał spokojnie na przybycie policji, nie bał się niczego, gotów był na wszystko.

\* \* \*

Jeźdźcy minęli Glamisdale, nie wjeżdżając do miasta. Wiedzieli, że w tejże chwili policja jest już niezawodnie w opuszczonym zawczasu Sans Souci i Tomasz przyznaje się z pozorną skruchą do swej rzekomej winy.

— Dobrą myśl powziąłeś, Madoc — powtórzył Horfman, dając



kuksańca Stelli, by zrównać się z Emmą. Dotychczas jechał obok Toma, a Madoc sam prowadził na przedzie. Tom przez cały czas milczał;

Horfmanowi sprzykrzyło się to ogólne milczenie, wszczął więc pogawędkę.

— Było to jedyne wyjście, wszak prawda, panie Horfman? — spytał Lance.

— Z innym służącym nie mógłbym sobie pozwolić na wykonanie tego pańskiego pomysłu.

— Naturalnie. Ale wiedziałem z góry, że na Tomaszu będzie pan mógł polegać.

— Nadzwyczajny służący, nieprawdaż?

— Istotnie, zwłaszcza, że on zdaje sobie sprawę, w jaką kabałę się wikła.

— Lubię otaczać się takimi ludźmi, Mr Madoc — rzekł Horfman. — Ludźmi, którzy doznali przeciwności losu, jak na przykład pan i Tom. Lubię wiedzieć o nich wszystko, znać ich przeszłość dokładnie, rozumie pan?

— Doskonale rozumiem.

— No, i potem uszczęśliwiam ich. Spójrz pan na tego Tomasza. On w szybkim tempie staje się kapitalistą.

Horfman urwał na chwilę, po czym dodał:

— Ja i pana uszczęśliwię, panie Madoc, jeżeli mnie pan będzie wiernie wspierał.

— Czyż nie czynię tego, panie Horfman?

— I nie pożałuje pan, że pan to zrobił, drogi przyjacielu.

— Pozwoli pan — przerwał Lance spokojnym głosem — że znów pojedę naprzód. Wąwóz jest bardzo wąski w tym miejscu.

— Czy daleka jeszcze droga nas czeka?

— Nie. Kilkaset jardów.

Emma wysunęła się naprzód. Znała drogę, klus jej był wyciągnięty, lekki. Stella i Red Robin, mniej otrzaskani z traktami górskimi zostali w tyle, nie mogli nadążyć. Lance odwrócił się na siodle i zawołał:

— Musimy zatrzymać się na chwilę i dać odetchnąć koniom.

— Ale nie na tym trakcie przecież...

— Nie. Na lewo stąd. Bardzo miłe miejsce wśród lasu, nadające się wybornie do wypoczynku.

— A co będziemy jedli i pili? Jestem okropnie głodny i mam pragnienie.

— Niech pan będzie spokojny, panie Horfman. Wszystko się znajdzie.

— Nadzwyczajny z pana chłopiec, Madoc. Prawda, Tomie? Lance skierował Emmę na ścieżkę, prowadzącą na Wzgórze Amosa.

— Panie — zawołał Horfman — Stella nigdy nie przejdzie tędy!

— No, to niech pan zaczeka, pomogę jej się wygramolić. Lance zeskoczył na ziemię, przywiązał Emmę do drzewa, ujął Stellę

za uźdę i poprowadził ją pod górę stromym szlakiem. Stella szła z łatwością, jakby ją prowadzono po wygodnej szosie.

— Wiem już, że pan umie obchodzić się z końmi — rzekł łaskawie Horfman. — Pamięta pan nasze pierwsze spotkanie u pana Crumcha? To też był ładny wyczyn pana Madoca, Tomie! Kto by to był pomyślał wówczas, że staniemy się takimi przyjaciółmi! Co?

Stella doszła do wierzchołka, nie okazując zmęczenia.

— Może pan zsiądzie i da odpocząć Stelli, panie Horfman — zaproponował Lance. — Ja zaś zejść na dół i pomogę wjechać Tomowi.

— Dobrze.

Horfman zsiadł, a Lance przywiązał Stellę do grubej sosny, poklepał zwierzę przyjaźnie, zajrzał mu w oczy serdecznie tak, by poczuło, że ma tuż przy sobie przychylną duszę ludzką.

— Teraz rozumiem, Madoc — rzekł Horfman, rozglądając się.

— Co, panie Horfman?

— Pan był tutaj, gdy palił się samochód starego Holendra?...

— Tak — odrzekł Lance lakonicznie. Horfman usiadł na kamieniu i zapalił papierosa.

— Wraca pan zaraz? — zawołał za Lance'em.

— Za pięć minut.

— Nie mam zamiaru siedzieć tu całą wieczność, wie pan? Umieram z pragnienia.

— Chwileczkę, panie Horfman, muszę tylko zejść po Toma. Lance znikł w gęstwinie. Horfman mógł się oddać ze skupieniem

kontemplacji przyrody. Tom siedział na dole, na grzbiecie Red Robina i rozglądał się dokoła. Mózg jego był ustawicznie zamglony, ale nie mniej ciążyła mu wciąż okropna podświadomość, iż stoi nad brzegiem

przepaści. Nie wiedział, jaki był udział Fay w tej przygodzie, którą przeżywał obecnie, ale chwilami przebłyskiwała mu myśl, że ona by dobrowolnie nie rozpętała tej burzy. Zgodziła się zaślubić Horfmana, aby ocalić brata. Trudno przypuszczać, iż w ostatniej chwili porzuciła go na pastwę losu. Nie było to w jej stylu, było to wręcz zbyt śmiało posunięcie. A przy tym ona kochała czule swego braciszka, czyżby go więc pozostawiła w szponach tej bestii Horfmana, zdając go na jego łaskę i niełaskę? A zatem, któż, do diabła, wypłatał ten brudny figiel i gdzież była Fay?

— Hallo? — rozległ się głos Madoca. Tom odpowiedział: — Hallo! Lance podszedł do Emmy, odwiązał ją i podprowadził do Toma, którego konia wziął za uzdę.

— Słuchaj, Tomie, uważaj dobrze na to, co ci powiem, jeśli ci życie miłe. Musisz wykonać wszystko, co ci każę, rozumiesz?

— Co to znaczy? Gdzie jest Horfman?

— Mniejsza o niego na razie. Wsiądziesz, Tomie, na mego konia, na Emmę i dasz się jej wieźć, dokąd będzie chciała, nie kierując nią. Ona wie, dokąd pojechać. Niedaleko stąd jest jej stajenka, tak, że zawiezie cię prosto do domu...

— Ależ ja nie...

— Nie przerywaj mi. Zrobisz, jak mówię. Tam, gdzie jest stajenka Emmy, tam jest dom, w którym chwilowo mieszka Fay. Ona nie jest tam sama, bo Nurse Browne jest przy niej. Jest im tam zupełnie dobrze, a ponieważ będzie już ciemno, gdy tam przybędziesz, będziesz mógł przenocować u nich, całkiem wygodnie.

— Ale, na miłość Boską, człowieku, co to wszystko znaczy? Nie mogę...

— To znaczy, mój chłopcze, że nie mogłem dopuścić do małżeństwa Fay z tym łotrem. Chyba zdajesz sobie sprawę, kim on jest?

— Mój Boże! zbrodniarz skończony. On namówił mnie...

— Nie traćmy czasu. Przede wszystkim nie do pomyślenia było wydanie Fay w ręce tego zbrodniarza.

— Ale nawet w tym wypadku...

— Ja muszę rozmówić się w cztery oczy z Horfmanem, ale musiałem najpierw ukryć przed nim Fay, a teraz z kolei ciebie. Teraz dosiądź Emmy i puść wolno cugle. Ona zawiezie cię w bezpieczne miejsce.

Przyrzekłem Fay, że włos ci z głowy nie spadnie, a ona nie wyjdzie za Horfmana. Zaufaj mi, Tomie! Oddałbym życie za jej szczęście, a ona nie może być szczęśliwa, o ile tobie stałoby się coś złego. Za długo rozmawiamy, Horfman z pewnością niecierpliwi się tam, na górze. No, przesiądź się na grzbiet poczciwej Emmy i umykaj! Zaufaj jej, ona zna każdy zakątek w tych stronach i otrzaskana jest ze szlakami górskimi.

Trzeba było silnej woli, by przełamać inercję tego słabego człowieka. Tom wahał się, był przerażony: same niespodzianki i to nie najprzyjemniejsze! Ale pod wpływem wzroku Lance'a, zsunął się jak zahipnotyzowany z siodła i dosiadł Emmy, która stała przez cały czas, istne wcielenie cierpliwości i czekała aż się skończą te roztrząsania. Gdy Tom jej dosiadł nareszcie, klacz pochyliła wdzięcznie łeb, a na hasło swego pana rzucone jej do ucha, ruszyła ochoczo w kierunku domu.

Lance patrzył za swym konikiem i za jeźdźcem, dopóki nie znikli mu z oczu, po czym podążył przedzierając się przez gęstwinę na Wzgórze Amosa.

\* \* \*

Horfman czekał spokojnie. Nerwy jego doznały nie lada wstrząsu parę godzin temu i rad był, że wypoczywa bezmyślnie, patrząc na piękną przyrodę, na której ciszę szczególnie czuł w tej chwili.

Nie wątpił zresztą, że wybrnie ze wszystkiego. Dotychczas zawsze mu się udawało, cokolwiek przedsięwziął. Pierwszym niepowodzeniem była ta niefortunna historia z Fay Mazeline, a potem ta jeszcze głupsza historia z policją. Hm, tak... ale po co myśleć o tym? Grunt, że załatwi wszystko i to pomyślnie.

— Hallo! — rzekł Horfman, widząc Lance'a wyłaniającego się z krzaków. — Cóż się dzieje z Tomem?

— Nic mu się nie stało złego. Nie troszcz się pan o jego losy. Lance podszedł do pana Horfmana i zajrzał mu z bliska w oczy.

— Czas już, bym panu oznajmił, panie Horfman — rzekł, nie podnosząc głosu — że to ja zadenuncjowałem pana policji dziś po południu.

Zdjął marynarkę i trzymał ją na ręku. Stał przed wrogiem w koszuli i w bryczesach, smukły, zgrabny, obraz młodości i energii. Oczy mu błyszczały, widać było, że jest gotów na wszystko. Horfman drgnął na dźwięk jego słów i rzucił się w tył, jakby nie mogąc znieść bliskości tego człowieka, który mu to wyrządził.

— Niech cię diabli wezmą! — syknął — a zatem nabrałeś mnie po prostu?

— Po prostu. Nie mogłem cię wyciągnąć inaczej z twoich kątów, prawda?

— I zawiozłeś mnie tutaj? W jakim celu, chciałbym się dowiedzieć?

— W celu ułożenia warunków. Twarde będą, ale można się będzie porozumieć.

Horfman odrzucił papierosa. Wstał z kamienia, na którym siedział, wziął się pod boki i zapytał wyzywająco:

— O co panu chodzi, Mr Amos Beyvin?

— O zawarcie układu, o którym nikt nie będzie wiedział prócz pana i mnie samego; w razie niezawarcia go, nikt nie będzie wiedział, gdzie pan się podział, podobnie, jak nikt się nie domyślił, w jaki sposób zginął pan van Menterghem.

— A jak zamierza pan to wszystko przeprowadzić, przyjacielu?

— zapytał z głośnym śmiechem Horfman.

— Za pomocą pióra i kawałka papieru, a mam przy sobie jedno i drugie. W razie, gdyby pan się okazał uparty, użyję perswazji, wreszcie wyzyskam moją przewagę moralną i fizyczną.

— Bardzo pięknie, śliczny plan, ale czy pan sądzi, że taki układ, gdybym się zgodził go podpisać, ważny jest wobec prawa?

— Zredagujemy go tak, aby był ważny — rzekł Lance spokojnie. Horfman wzruszył ramionami i odwrócił się.

Lance chwycił go w ramiona i zmusił do spojrzenia mu w oczy.

— A zatem do roboty, panie Horfman, albo będzie z panem źle! — rzekł brutalnie.

— Myślisz mnie zamordować? — rzekł zimno Horfman z pogardliwym uśmiechem na ustach.

— Nie nazywamy morderstwem zgładzenie wściekłego psa lub zdeptanie jadowitego węża — odrzekł Lance. — Ale jakkolwiek jesteś podlejszy od najwstrętniejszego węża, niebezpieczniejszy niż szakal,

zabiję cię tylko w ostateczności, a w najgorszym razie zginiemy obaj, ale ciebie unieszkodliwię.

— Zapominasz, że moja służba wie, iż wyruszyliśmy razem, tak, że jeżeli wyjdiesz żywy z tej bohaterskiej walki, to odpokutujesz srodze tę osobliwą odwagę.

— Nie o to chodzi! — zachnął się Lance. — Ja mogę być zesłań-cem, mogę umrzeć, ale ty nie zniszczysz życia kobiety, którą ja... Proszę mnie posłuchać uważnie, panie Oskarze Horfman: Pan uczyniłeś z chłopca, jakim jest Tom, bydlę i zbrodniarza. Na twój rozkaz zamordował tego zacnego starego Holendra! Ja zaś nie będę patrzył spokojnie na twój związek z Fay Mazeline, na Bóg wie jakie upokorzenia, których ona będzie przedmiotem z twojej strony. I za tę sprawę gotów jestem zginąć z radością. Czy zgadzasz się pan podpisać układ, który mieć muszę, czy też chcesz zdjąć marynarkę i bić się ze mną, jak na mężczyzn przystało?

— Ani jedno, ani drugie, mój biedny chłopcze — odrzekł Horfman z ironicznym politowaniem. — Nie możesz mnie zmusić ani do podpisu, ani do bójki, więc na co to próżne gadanie?

Ale Lance bez chwili namysłu chwycił go w tejsze sekundzie za kołnierz. Zaciągnął go w oka mgnieniu nad brzeg urwistej przepaści po drugiej stronie wzgórza.

— Masz słuszość — rzekł Lance równie spokojnie jak przedtem. — Ale jeżeli nie zgodzisz się podpisać moich warunków, ani walczyć ze mną, strącę cię w tę przepaść bez wahania, a potem z kolei odbiorę sobie życie.

Nigdy jeszcze śmierć nie zajrzała Oskarowi Horfmanowi w oczy z tak bliska. Instynktownie podniósł ręce do twarzy, jakby chcąc się zasłonić od tego straszego obrazu własnego ciała, obróconego w miazgę i leżącego na dnie przepaści. Poczul, że dostał się w szpony nie tyle Amosa Beyvina, ile bogini Nemezis, która wygraża mu swym mieczem, aż w oczach mu ciemnieje z przerażenia. Godzina zapłaty wybiła.

Oderwał ręce od twarzy, spojrzal w dół. Nie zapanował nad dreszczem grozy. Wezwał na pomoc wszystkie swe zdolności i fortele.

— Podpiszę, co zechcesz — rzekł.

Lance odstąpił od skraju wzgórza, ciągnąc Horfmana ze sobą, ale nie zostawiając go ani przez chwilę za sobą. Oskar Horfman wyglądał jak

cień człowieka, w parę minut zmienił się do niepoznaki. Opuściła go cała pewność siebie, był blady, zestarzał się, chwiały się na nogach.

— Masz papier przy sobie? — zapytał Horfman.

— Mam papier w kieszeni marynarki — odrzekł Lance.

'— Dobrze. Wyjmij ten papier. Ja mam własne pióro przy sobie — mówiąc to, sięgnął do tylnej kieszeni. W tejże chwili z okrzykiem: „Oto masz!” wyjął z niej rewolwer i wycelował do Lance'a. — Sam się tego domagałeś, wiesz — dodał.

Padł strzał, ale o pół sekundy za późno, gdyż Lance ze zwinnością, jakiej nabył na drugiej półkuli, w dziewiczych lasach i na preriach, schylił się i padł pod nogi Horfmana, zaskoczonego tym niespodzianym manewrem. Lance chwycił go za obie nogi, Horfman stracił równowagę i również padł na ziemię, wówczas obaj mężczyźni, spleceni w strasznym uścisku, zaczęli walczyć po kamienistym gruncie. Była to walka pierwotna, walka o życie, o dobra doczesne i o kobietę, słowem o wszystko, o co walczyliśmy od wieków.

Kula Horfmana zdążyła zadrasnąć Lance'a w lewy łokieć. Tracił trochę krwi i odczuwał ból. To mu przeszkadzało. Ale nic nie mogło go powstrzymać, póki mu tchu starczyło do zwalczania tego śmiertelnego wroga szczęścia Fay Mazeline. Lance zdołał wytrącić przeciwnikowi rewolwer z ręki, przy czym padł znowu strzał w powietrze.

Rewolwer leżał teraz na ziemi, Lance kopnął go nogą umyślnie, trzeci strzał wstrząsnął powietrzem. Obaj mężczyźni oślepieni wściekłością coraz mniej wiedzieli, co się dzieje dokoła na tym pustkowiu, gdzie w założeniu nic się dziać nie mogło.

Nagle rozległ się jakiś hałas, szczekanie psa! Lance, który w tym momencie miał przeciwnika pod sobą i usiłował objąć mu szyję oburącz, usłyszał ten dźwięk znajomy, otworzył oczy i zobaczył na wzgórzu Mr Micawbera. Pies stanął jak wryty, patrzył... Lance również patrzył z rozrzewnieniem w oczy jedyne stworzenia, które go nie opuściło do ostatniej chwili... To rozrzewnienie stało się jego zgubą: Horfman skorzystał z jego roztargnienia, z osłabnięcia żelaznego dotychczas uścisku i zdołał pochwycić rewolwer, leżący nieopodal na ziemi. Machinalnie niemal, wiedziony trwogą śmiertelną, instynktem samozachowawczym, nacisnął cyngiel...

W tejże chwili rozległ się krzyk kobiety: — Tomie, nie pozwól mu!...

Strzał padł. Dwa ciała stoczyły się do brzegu przepaści i runęły w dół, w stumetrową otchłań. Trzecie ciało ludzkie, bezwładne, zakrwawione, leżało na Wzgórzu Amosa.

\* \* \*

Niebo było cudne. Mieniło się barwami tęczowymi, wszystkimi blaskami zachodu. Słońce rzucało krwawe plamy na góry i na dolinę, gdzie tu i ówdzie rozbłyskiwały światełka w oknach domostw ludzkich.

Na Wzgórzu Amosa widniały ślady wielkiej tragedii: powyrywane mchy, toczące się jeszcze siłą rozpędu kamienie, a zwłaszcza krew, krew...

— Niech pani idzie ze mną, Miss Mazeline. Nie widzę powodu, aby pani z kolei ryzykowała życie. Musimy zejść na dół, póki widać drogę i sprowadzimy pomoc.

Milczenie wzgórza przerwane zostało w ten spokojny, racjonalny sposób, chłodnym, ale miłym głosem kobiecym. Dotychczas żadna z dwóch obecnych kobiet nie wymówiła ani słowa, od chwili, kiedy oba ciała walczących mężczyzn stoczyły się w przepaść. Przybyły obie na polanę w momencie, kiedy Oskar Horfman mierzył po raz ostatni z rewolweru do Lancea. Wówczas to Fay krzyknęła: „Tomie, nie pozwól mu!...” Ten krzyk zbudził w Tomie nie tylko uśpiony dotychczas instynkt odwagi i męskości, ale i całą nienawiść do tego człowieka, który mu zniszczył życie i uczynił z niego zbrodniarza.

Jednym susem był przy Horfmanie, wytrącił mu z ręki rewolwer, a kolana oparł mu na piersiach. Gdy strzał padł, Fay i Lena zobaczyły oba splecione ciała Toma i Horfmana staczające się w przepaść; Lance, trafiony w klatkę piersiową legł na ziemi bez ruchu.

Fay, odrętwiała ze zgrozy zdołała jednak pobiec na krawędź wzgórza i zajrzała w przepaść, ale zapadający mrok ukrył przed jej wzrokiem tę okropność...

Instynktem Nurse'y Browne było raczej ratowanie żyjących, niż oplakiwanie zmarłych. Była bystra, praktyczna i rozsądna. Uklękła przy rannym i usiłowała zatamować krew chusteczką od nosa.



— Musimy dostać się co rychlej do jakiegoś miasteczka — rzekła teraz stanowczo. — Proszę, zechce mi pani teraz pomóc, Miss Mazeline...

Fay nadludzkim wysiłkiem oderwała się od tej jamy, w której Tom, jej mimo wszystko gorąco ukochany braciszek, znalazł śmierć, pragnąc udaremnić zbrodniczy gest Horfmana.

\* \* \*

Tom, rozstawszy się z Lance'em, zaufał Emmie i dał się wieźć przez nią tak, jak mu polecił Lance. Nie ujechał daleko: spotkali Mr Micawbera, który dążył w przeciwnym kierunku z miną harcerza, spełniającego jakieś zaszczytne zadanie. Mr Micawber, pamiętamy, iż zbudził się w koszyczku, w kącie pokoju z poczuciem winy względem swego pana, którego już nie widział od wielu godzin. Wyruszył więc co rychlej na spotkanie pana.

Fay, widząc to, rzekła rezolutnie do Leny:

— Ten pies zna drogę, Nurse Browne — idę za nim, bez względu na to, czy mi wolno wychodzić czy nie.

Nurse Browne nigdy nie traciła czasu na przekonywanie kogoś, kto się nie da przekonać. Przyrzekła Lance'owi nie odstępować Fay, więc poszła za nią. Tak więc obie młode dziewczyny pobiegły leśnym traktem w dół, pod wodzą Mr Micawbera.

Były w drodze cztery godziny, kiedy nareszcie spotkały Toma. Obie padały za zmęczenia. Gdyby Błękitnooka ze zwykłym sobie zmysłem praktycznym nie wzięła paczki biszkoptów do kieszeni palta, byłyby zapewne obie omdlały z wyczerpania.

Widok Toma na grzbiecie Emmy był dla obu dziewcząt wielką niespodzianką. Nie od razu wydobyły z chłopca jakieś logiczne, powiązane wyrazy. Spotkanie z Fay, tak nieoczekiwane, zachwiało do reszty jego i tak już nadwyreżoną równowagę nerwową. Mówił beładnie o Horfmanie, o niedoszłym ślubie, o Lance'ie, o policji w Sans Souci i o ucieczce konnej w góry. Podczas jego opowiadania rozległ się pierwszy wystrzał rewolwerowy.

Każdy człowiek posiada szósty zmysł, który w ważnych chwilach w nim się odzywa. Tym szóstym zmysłem jest intuicja, działająca u kobiety sprawniej niż u mężczyzny. Fay i Błękitne Oczy, obie pobiegły za Mr Micawberem, nie oglądając się na Toma, który zawrócił teraz i jechał za nimi. W psie intuicja jest również przemożna, zwłaszcza kiedy chodzi o życie jego pana. Faktem jest, że Mr Micawber, który przystanął, by pogawędzić z Emmą, popędził nagle jak szalony prosto ku Wzgórzom Amosa.

Znał drogę dobrze, Emma również; kobiety biegły posłusznie za tymi wiernymi zwierzętami.

A teraz wszystko skończone. Tom odpokutował za swą słabość woli, za swe ciężkie przewinienia. Zdobył się na bohaterski gest obrony niewinnego i wyrwał go ze szponów wspólnego wroga. Fay wyrwała się z kontemplacji siłą woli: oderwała się od tej ciemnej jamy, w której gdzieś, głęboko, leżało zmiażdżone ciało jej brata.

Czekało je niemałe zadanie: musiały podnieść Lance'a z ziemi i przerzucić go przez grzbiet Emmy, cierplivej, zmęczonej Emmy, która stała smutna, wierna, nieruchoma, jak posąg i pozwoliła robić ze sobą, co się im podoba. Kobiety w takich chwilach zdobywają się na niezwykłą moc i hart! Zdają się mieć wówczas siłę fizyczną, której normalnie natura im skąpi.

— Musimy teraz iść znów za psem — rzekła Lena swym stanowczym tonem. Jesteśmy blisko szosy, mam wrażenie, że skoro tam się znajdziemy, nie trudno będzie o ratunek.

\* \* \*

W szpitalu w Glamisdale, w małym, białym łóżku leżał Lance Madoc; bardzo powoli wracały mu siły.

Gdy po raz pierwszy odzyskał świadomość, doznał wrażenia, że budzi się z kilkunastu letniego snu. Wzrok jego spoczął na białych firankach, na białym suficie, na kwitnącym kasztanie, którego gałęzie niemal do pokoju się wciskały przez otwarte, niewielkie okno. Przy łóżku stała pielęgniarka z łyżką lekarstwa. Posłusznie połknął płyn, który mu podawała. Oczy tak go bolały, że nie mógł patrzeć, zamknął je

znowu, ale posłyszał jednocześnie kojący, nieco chłodny głos, mówiący bardzo łagodnie:

— Teraz niech się pan stara usnąć.

I po dawnemu opatrzyła mu rany, obandażowała mu głowę w swój zwykły sposób, systematyczny, spokojny, a gdy skończyła, poklepała go po ręce i rzekła:

— Przepraszam, że pana wymęczyłam.

Czy to było wczoraj, czy też już w zeszłym tygodniu? Jechał koleją między dwoma policjantami, miał na sobie ubranie więzienne. Pociąg rozbił się, on pamięta, tak... Czy to on przybył potem do Ameryki, gdzie o wszystkim, co złe może człowiek zapomnieć w zetknięciu z czarownicą, przeczystą przyrodą?

Oczywiście, to dociekanie przeszkadza mu usnąć. Dziwnie nierzeczywiste wydaje mu się całe otoczenie. Jedyną realnością jest postać tej, którą nazywa w myślach po dawnemu: Błękitne Oczy. Ona nosi jak ongiś biały fartuch, białe czepek i białe pantofle na niskich obcasach.

Gdy poczuł się silniejszy, zapytał, czy znajduje się w Anglii, czy jest okryty hańbą po wsze czasy i czy Fay, Fay jest doprawdy stracona dla niego na zawsze?

— Proszę nie zadawać głupich pytań — odrzekła Błękitne Oczy. — Jest pan w Kanadzie, w szpitalu i ma pan obowiązek zachowywać się całkiem spokojnie.

Razu pewnego zniecierpliwiła się bardzo, bo wciąż próbował rozmawiać, zamiast spać. Odpowiedział:

— Gdyby mi pani przyrzekła, że nigdy więcej się nie obudzę, usnąłbym jak posłuszny, łagodny baranek.

Te słowa rozgniewały ją jeszcze bardziej.

— Jest pan czarnym niewdzięcznikiem! — wykrzyknęła. — Czyż nie zdaje pan sobie sprawy z tego? Tyle kłopotu z panem było i to wszystko ma być daremne?

— Ależ, Błękitne Oczy — protestował — czy może mi pani wskazać cel mego dalszego życia? Czekają mnie znów rzeczy straszne: proces, wyrok, znam to już, bo już to przeszedłem... Mniejsza o to, rozumie się, ponieważ ten łajdak zgładzony jest ze świata i Fay...

Przerwała mu ten wybuch i opowiedziała, co się stało.

— Musiałam panu to powiedzieć dzisiaj — rzekła — bo lekarz byłby zdumiony i bardzo niezadowolony, widząc pana w stanie podniecenia.

Uspokoił się istotnie, słuchając jej opowiadania o tym, co się stało, gdy zostawił ją i Fay w leśnym domku.

— Narzędziem Opatrzności był ten mały, kochany Mr Micawber

— rzekła.

— Dla Toma lepiej, że tak się stało — ciągnęła dalej po chwili.

— Zginął jak mężczyzna, usiłując wyratować pana z opresji. Śledztwo wykazało to niezbiecie, a Miss Mazeine i ja poparłyśmy to naszymi zeznaniami, jako naoczni świadkowie.

Opowiedziała mu wszystkie szczegóły, cały przebieg zdarzenia. Słuchał uważnie, aż w końcu rzekł:

— Chwała Bogu Najwyższemu, że ten opryszek nie może jej osiąść.

— Po czym zapytał o Mr Micawbera.

— Czy pozwolą mi go zobaczyć? — spytał.

— Zasadniczo niechętnie widzujemy psy w szpitalach — odparła Błękitnooka — ale poproszę o specjalne pozwolenie.

— Gdzie on jest teraz?

— Miss Mazeine wzięła go do siebie.

Wstała, by wyjść z pokoju, ale on zawołał znowu:

— Błękitne Oczy!

— Słucham?

— Czy ona... czy Fay... nienawidzi mnie bardziej, niż przedtem? Błękitne Oczy milczały.

— Z powodu Toma, mam na myśli... no, i do pewnego stopnia...

— Proszę być cicho i spać! — odrzekła szorstko i wyszła z pokoju. Ale Lance nie usnął. Widział oczyma duszy cudną noc zimową,

wygwieżdzone niebo, na którym nagle pojawiło się niezwykle, wspaniałe zjawisko zorzy polarnej. On stał z Fay na pomoście i czekał na przybycie statku, który miał go zawieźć, het, daleko. Ona miała kołnierz futrzany, który krył jej twarzyczkę do połowy. Marzył, że odsuwa ten kołnierz, by zobaczyć z bliska jej rozchylone usteczka i oczy koloru zorzy północnej.

I we śnie wyciągnął ramiona przed siebie, gestem nieopisanej tęsknoty i namiętności.

Wtem poczuł na piersiach coś miękkiego, ciepłego, ruszającego się żwawo: gorący języczek lizał go po twarzy.

— Halo! Mr Micawber! — zawołał, od razu rozbudzony na dobre, obejmując ramionami ulubionego pieska. — Skąd się tu wzięłeś?

— Pomyślałam, że dobrze będzie go przyprowadzić — rozległ się przy nim słodki, czule brzmiący głosik. — Nurse Browne powiedziała mi, że mogę przyjść z naszym pieskiem.

I przy nim, na poduszce spoczęła jasna główka, słodki, aksamitny policzek podsunął się tuż pod jego usta. Szyję Lance'a otoczyło miękkie ramię, a głosik przy jego uchu wyszeptał:

— Amosie!

I sen stał się rzeczywistością.

\* \* \*

W kilka minut później weszła do pokoju Nurse Browne. A raczej wpadła i natychmiast wysunęła się na palcach. Zamknęła drzwi za sobą i stała chwilę bez ruchu na pustym korytarzu. Wreszcie podniosła rękę do oczu i przesunęła po nich palcami.

— .Wszystko w porządku, Leno Browne — rzekła głośno - nie bądź głupia!

K O N I E C